

KATARZYNA DRYŃSKA

BRUK  
ANDALUZYSKI

*Oficyjnka*

KATARZYNA DRYŃSKA

KRUK  
ANDALUZYSKI



OFICYNKA  
WYDAWNICTWO



*Przeszłość jest nie do zamieszkania.*  
Federico García Lorca

## PROLOG

Czterdzieści pięć centymetrów. Prawa stopa skrzycona wokół własnej osi. Świeży uraz, sądząc po naprężonym mięśniu łydki. Skóra zaróżowiona. Raz. Spodnie czyste, świeżo wyprasowane. Ściągnięte do połowy uda. Jądro lewe zmiażdżone, prawe naderwane. Czerwone smugi wzdłuż obu nogawek. Dwa. Dłoń wbita w ziemię, nie głębiej niż do połowy. Błąd. Cztery palce obcięte równo, cztery kości śródrezcza pionowo wpuszczone w posadzkę. Kciuk luźny. Trzy. Dziesięć centymetrów. Lewa stopa bez obuwia. Zdeformowana, duży palec pozbawiony paznokcia. Widoczne otarcia na kostce. Strumień światła zawraca. Całkowita perforacja jamy brzusznej, jelito grube i otrzewna przemieszczone na zewnątrz. Ciało w pozycji bocznej. Cztery. Włosy blond, kręcone, do ramion. Cherubinek. Reflektor na klatce piersiowej. Rana postrzałowa, średnica wlotu kuli maksymalnie sześćdziesiąt pięć milimetrów. Pięć. Staw łokciowy prawy w stanie wyjściowym, wyraźne ślady kompresji piszczela. Sześć. Żywi pośród martwych są jak dzieci, od których ci pierwsi różnią się tylko tym, że nigdy nie staną się dorosłymi. Siedem. Martwi pośród żywych są jak zdjęcia z rodzinnego albumu. Nieruchome. Nieme. Krzyk trupów wpełza w ciała i umysły ocalałych. Sączy jad, zatruwa, zamraża czas. W najlepszym wypadku onieśmiela. Osiem. Pary jednorodne – martwi wśród martwych i żywi wśród żywych – mają największe szanse na udane życie. Doczesne lub wieczne, wybór jest – rzecz jasna – niemożliwy. Przy czym jedno drugiego nie wyklucza, a szczęśliwcy cieszą się podwójnie. Dziewięć. Krew rozlana na chodniku to nie lustro i nie można się w niej przejrzeć. Dziesięć. Wojna jest zła.

Bukareszt. Plac Uniwersytecki. Biegnę. Kamera przestała być tarczą ze cztery dekady temu, więc wiara w to, że w uniknięciu kulki pomoże mi legitymacja prasowa Agence France Presse, jest – szczerze mówiąc – fantasmagorią idioty. Calderon<sup>[1]</sup> zginął trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Huwé<sup>[2]</sup> też nie miał szczęścia, gdy snajper wycelował do niego, myśląc, że eliminuje zasłużonego propagandzistę Ceaușescu. Intercontinental dzieli od Placu jakieś pięćset metrów, i jest to odległość wystarczająca, by dać się załatwić przypadkowi. Lub czyjejsz złej woli, o ile będzie ona elementem planu eksterminacji ludność cywilnej na terenie opanowanym przez wywrotowe siły rewolucyjne. Przyspieszam. Przed wejściem do hotelu potykam się o kolejne zwłoki, tym razem niczyje. Jakiś John Doe. Jakiś Jan Kowalski. Świadectwo bezczelności lub błędnie wymierzonej trajektorii pocisku, biorąc pod uwagę to, że w Intercontinentalu siedzą dziennikarze największych agencji informacyjnych świata. Fundowanie im takiego obrazka można uznać za prowokację. W zasadzie lub mimo wszystko, bo podejrzliwość Casteksa<sup>[3]</sup> – to mój szef – rośnie z dnia na dzień. Choć podziurawione jak durszlak ciało „Geniusza Karpat”<sup>[4]</sup> już dawno ostygło na cmentarzu komunalnym Ghencea, pytania o okoliczności masakry w Timisoarze nie

milkną.

Mam na imię Ewa. Jestem dziennikarką. Michel wysłał mnie do Bukaresztu z reporterami AFP. Wie, że mam nosa do tej roboty. Niedawno skończyłam osiemnaście lat, który to fakt ustanowił granicę wpływu świata na mój skromny żywot. Dobrze mi z tym.

---

[1] Jean-Louis Calderon – dziennikarz francuski, korespondent radia Europe 1 oraz kanału telewizyjnego La Cinq, rozjechany na Placu Uniwersyteckim przez transporter opancerzony 22 grudnia 1989 podczas pełnienia obowiązków służbowych.

[2] Danny Huwé – dziennikarz belgijski, wysłannik flamandzkiej stacji Vlaamse Televisie Maatschappij, zastrzelony 24 grudnia 1989 roku podczas próby wjazdu do Bukaresztu po wizycie w Sofii.

[3] Michel Castex – dziennikarz francuski, szef ekipy Agence France Presse, relacjonującej wydarzenia rewolucji rumuńskiej w grudniu 1989 r. Autor książki *Un mensonge gros comme le siècle: Roumanie, histoire d'une manipulation*, w której postawił tezę o politycznej mistyfikacji, wskazującej na Michaiła Gorbaczowa jako rzeczywistego architekta zdarzeń, które ostatecznie doprowadziły do upadku reżimu Nicolae Ceaușescu. Zdaniem Casteksa koniec dyktatury był skutkiem zamachu stanu zainspirowanego przez rosyjskiego przywódcę, a nie presji oddolnej, ukierunkowanej przez rumuńskie siły demokratyczne.

[4] „Geniusz Karpat” – jeden z tytułów, którymi posługiwano się, mówiąc o Nicolae Ceaușescu za jego życia. Dyktatora nazywano także „Słońcem Karpat”, „Budowniczym wszystkiego” czy „Pierwszym sługą ojczyzny”.

## ROZDZIAŁ 1

### KIELISZEK EWY MULNER

Strach towarzyszył jej od dziecka. Początkowo bała się czerni, duchów zmarłych przeglądających się w lustrze zaraz po śmierci i wielkich samochodów porywających niegrzeczne dziewczynki. W szkole lista wydłużyła się o wyniki klasówek, niespełnienie nadziei rodziców i nazbyt pewne siebie koleżanki. Czasy uniwersyteckiego szaleństwa utrwaliły w niej niechęć do nauki, a każda sesja paraliżowała ją w sposób zagrażający ukończeniu studiów. Kiedy i ten etap się skończył, wkroczyła mocno niepewnym krokiem w świat dorosłych. Wtedy okazało się, że przyjaciele nie są jej oddani tak bardzo, jak by tego oczekiwała, a człowiek żartobliwie nazywany przez nią małżonkiem wcale jej nie kocha.

Pewnie spisałyby samą siebie na straty, gdyby nie ciekawość świata. Tak wielka, że momentami graniczyła z naiwnością dziecka. Cechę tę tonował jednak fatalistyczny stosunek do świata. Ewa Mulner była bowiem kobietą przesadną. Wierzyła w duchy i upiory, ukradkiem czytała horoskopy. Kiedyś była nawet u wróżki. Na ścianach własnego domu zawiesiła talizmany, w oknach – lustra mające odbijać złą energię. Widząc czarnego kota, pluła trzy razy przez lewe ramię, ale dla pewności wołała ten rytuał powtarzać co najmniej trzykrotnie. „Strzeżonego pan Bóg strzeże”, mawiała na przekór niedowiarkom, którzy po cichu szydzili z jej dziwactw. W totka nie grywała z zasady. Pospolitość i powszedniość mierzyły ją, gwarancji własnej skuteczności szukała gdzie indziej. Pielęgnowała w sobie przekonanie, że wpływ człowieka na jego własny żywot jest mocno ograniczony siłami nie z tego świata. Wierze w determinizm lubiła przeciwstawiać pytania o to, w jaki sposób można wyprzedzić czas i wiedzieć w teraźniejszości o tym wszystkim, co miało się dopiero wydarzyć.

Tego dnia Ewa jak zwykle zwlekła się z łóżka z potwornym bólem głowy. Pod sufitem sypialni unosiła się cienka papierosowa mgła – ślad po przemyśleniach poprzedniej nocy. Pościel – choć trudno w to uwierzyć – kiedyś śnieżnobiała, obleczona starą koronką – dziś była nieświeża tak bardzo, że zbierało się na wymioty. Ewa podeszła do lustra. Twarz szara, zmęczona, włosy splecione w strąki. Zdejmując przeпоconą koszulę, uświadomiła sobie, że nie kąpała się od dwóch dni. Jesteś żałosna, pomyślała, wpatrując się ze zdziwieniem we własne odbicie. Fizyczność, którą jeszcze parę miesięcy temu tak bardzo pielęgnowała, napawała ją obrzydzeniem. Delikatnie ścierała resztki makijażu. Tusz w przedziwny sposób zawisł na spuchniętych powiekach, ale puder już dawno wytarła w poduszkę. Usta, choć jeszcze naturalnie pełne, wyglądały jak doklejone do zmęczonego ciała. Zaczęła przyglądać się sobie jeszcze dokładniej – piersi, takie nie jej, zmarszczki na dłoniach. Tylko uda zdawały się należeć do osoby, którą kiedyś podziwiali wszyscy. Kim jesteś, kim? –

dudniło w głowie.

Ukryła twarz w dłoniach. Woda. Ciężkie krople uderzały o wannę. Ewa – bezbronna jak dziecko – stała, czekając, aż ożywczy strumień zmyje z niej wszystko to, co nagromadziło się przez tyle miesięcy. „Wystarczy...”, powiedziała głośno, zastanawiając się, co przyniesie kolejny dzień. Nie chodziła do pracy od kilku tygodni. Redakcja dała jej wolne, spodziewając się, że w tym czasie uporządkuje swoje życie i przyniesie interesujący tekst. Czas płynął, a ona tkwiła w marazmie, zastanawiając się, kiedy wszyscy w końcu się zorientują, że napędzanie kabzy zdemoralizowanym reklamodawcom jest ostatnią rzeczą, na którą ma teraz ochotę. Z odrętwienia wyrwał ją dzwonek telefonu.

– Ewa?

– Tak. Kto mówi?

– Dzwonię na prośbę naczelniej. Prosiła, żebyś w przyszły poniedziałek pojawiła się u nas z jakimś tematem.

– Aha.

– Posłuchaj, ona jest wściekła. Zaszylaś się gdzieś na wsi, nie można się z tobą skontaktować. Co się dzieje?

– Nic. Kto mówi?

– Nie znamy się jeszcze. Pracuję tu dopiero od dwóch dni. Naczelnia kazała mi do ciebie zadzwonić i przekazać informację.

– Aha...

– Ewa, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Muszę. Za to mi płacicie.

– Naprawdę? Zniknęłaś, nikt nie wie, co się z tobą dzieje.

– Pracujesz od dwóch dni, więc skąd możesz wiedzieć. Nieważne. I tak miałam się odezwać. Temat już mam, potrzebuję tylko trochę pieniędzy. Jakies pięćdziesiąt tysięcy dolarów na początek. Załatwisz to?

– Naczelnia wie, o co chodzi? Wiesz, to okrągła sumka...

– Jeszcze nie, sprawa jest świeża. Dostałam kontakt, reszta nie przez telefon. Mam tylko jedną prośbę. Załatw przelew na moje konto i przekaż naczelniej, że spotkam się z nią w przyszły poniedziałek. Zgoda?

– Sama nie wiem. Dlaczego mam ci ufać?

– Bo zjadłam zęby na tej robocie. Nowa jesteś, tak? Dobrze, jak młodzi ufają starszym.

– Akurat! Ale wiadomość przekażę. Odbierzesz, gdy zadzwonię?

– Płacicie mi za to, żebym odpowiadała na różne pytania. Takie też.

– Gdzie wyjeżdżasz? Daleko?

– Wiem, co robię. Nie martwicie się o mnie, będzie dobrze. Pa.

Odłożyła słuchawkę zadowolona z końca kolejnej nudnej rozmowy. Nie wiedziała jeszcze, co i gdzie będzie robić. Jasne było zaś, że zyskała właśnie kilka dni spokoju. Zabaluje gdzieś, pomyśli, może coś samo wpadnie jej do głowy. Złudne nadzieje, i tak

mam wszystko w dupie. A tam jest ciemno, wąsko i wilgotno.

Nuda zabija. Popycha do irracjonalnie ryzykownych zachowań. Skutecznie wytłumia reakcje na najbardziej nawet oczywiste bodźce, wypychając człowieka w kolejne używki. Ewa uwielbiała smak i zapach czerwonego wina. Palila przynajmniej paczkę papierosów dziennie. Z czasem zrozumiała, dlaczego w życiu odpowiada jej wysoki poziom adrenaliny. Początkowo nakręcał pozytywnie. Mawiała, że szybka jazda samochodem pozwala poczuć rytm życia. Mechanizm pozostawał ten sam – tylko wtedy czuła cokolwiek. Myśl domykała figurę – intuicyjnie wyczuwała, że to, co nazywa się normalnością, jest jej organicznie obce. Biegła przed siebie tylko po to, żeby po raz kolejny rozbić się o te same wnioski. Nie uciekniesz, mówiła sobie. Możesz się zabić, ale nic ci to nie da. Życie i tak będzie toczyło się swoimi torami. Możesz tego chcieć. Możesz nie chcieć. Nic z tego nie wynika, bo taka jest konstrukcja całego świata. Niestety po śmierci też jest jakieś życie. Inne, ale jest. Rezygnacja z tego życia – życia tu i teraz – jest całkowicie bezsensowna. Eksperymenty związane ze zwiększaniem dawek epinefryny stawały się coraz bardziej kosztowne. Finansowo i emocjonalnie. Z czasem również nieprzyjemne, biorąc po uwagę zjazd, który zaliczała po kolejnym wypadku do nocnego klubu.

Mijały kolejne godziny. Ewa wpatrywała się w okno, negocjując ze sobą moment wyjścia z domu. Telefon zadzwonił tak natrętnie, że nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, żeby go nie odebrać.

– Ewa?

– Aha...

– Naczelną podpisze przelew. Warunkiem jest kilkudzaniowy opis tego, co ci chodzi po głowie. Masz dziesięć minut na wykonanie tego telefonu. Co mam jej powiedzieć?

– Że zadzwonię za dziesięć minut.

Nie najgorszy układ. Zarobić tyle kasy w niecały kwadrans to prawdziwa sztuka. Ale przyjemności, które czekają mnie później, są warte ryzyka związanego z wymyśleniem wyjątkowo absurdalnej historii w tak krótkim czasie. Po chwili Ewa nie miała już żadnych wątpliwości, jak przekonać naczelną.

– Dzień dobry, Aniu... Wiem, że czekasz na pewne informacje.

– Posłuchaj, udziałowcy siedzą mi na karku od kilku tygodni. Międlą w palcach każdą złotówkę, a ty chcesz budżetu walutowego na pomysł, o którym nie wiem kompletnie nic. Masz talent, o tym wiedzą wszyscy. Ale jesteś leniwa, ostatnio skrajnie niesłowna i nieodpowiedzialna. Nie podłożę się nawet dla ciebie. Co planujesz?

– Za kilka dni wylatuję do Caracas. Z lotniska odbierze mnie Martinez, kiedyś ci o nim wspominałam. Jest moim informatorem od dłuższego czasu. Pamiętasz historię małżeństwa Majchrzaków z Rzeszowa? Niedawno rozpisywała się o nich cała polska prasa. Porwanie dla okupu tym razem nie ma żadnego sensu. Politycznie uzasadnienie również jest karkołomne, bo Rzeczpospolita Polska nie prowadzi żadnych istotnych dla siebie interesów w tej części świata. Może oczywiście chodzić o próbę wywarcia presji na Stanach, ale Obama ma dość problemów z własnymi obywatelami



w Wenezueli, żeby miał negocjować na rzecz sojusznika, z którym wiązą go pozornie ważne związki w Iraku. Historia nie trzyma się kupy. Być może chodzi o powiązania tych ludzi z rodziną Cháveza? Mam na myśli romans, który z Rosą Virginią miał syn Majchrzaka. Być może jeszcze o coś. Nie dowiem się tego, jeśli tam nie pojedę. Wiesz dobrze, że nikt poza mną nie dysponuje na miejscu sprawdzonymi kontaktami. I nikt nie ma takiej siły przekonywania, jak ja. Nikt z tych, którymi z taką lubością się otaczasz.

– Daruj sobie ten sarkazm. Kiedy dostanę tekst?

– Muszę mieć co najmniej dwa miesiące.

– Cztery tygodnie i ani dnia więcej. I to pod warunkiem, że będziesz się ze mną kontaktować co tydzień. Muszę wiedzieć, gdzie jesteś.

– Zgoda. Ale miesiąc na taki temat to za mało. Znasz tę robotę od podszewki, nie żądaj ode mnie cudów. Muszę być ostrożna i mieć czas na to, żeby zaskarbić sobie zaufanie różnych ludzi. Także partyzantów. To młodzi chłopcy. Opętani ideologią, która daje im poczucie przynależności do świata ich dziecięcych marzeń.

– Ewa, warunki znasz, decyzja należy do ciebie. Nie będę ryzykować. Więc?

– Twarda jesteś. Zawsze taka byłaś. Spróbuję.

– Przelew podpiszę w ciągu godziny. Na połowę sumy. Druga rata, gdy dostanę pierwszą wersję tego materiału. Pierwszy kontakt ma nastąpić zaraz po wylądowaniu. Gdyby coś się stało, daj znać Władkowi. Pracuje w polskiej ambasadzie w Caracas. Pamiętasz go?

– Tak.

– To attaché do spraw politycznych, ale ze względu na swoje upodobania – pomijam ich naturę – zna tam bardzo wielu ludzi.

– Jaką naturę?

– Jego numer prześlę ci esemesem. I naucz się w końcu, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Gdybyś rzeczywiście tak myślała, nie dałabyś mi aż dziesięciu minut na wykonanie tego telefonu. Prześlij pieniądze. Bilet i resztę załatwię sama.

Ewa nigdy nie podważyłaby zaufania, którym obdarzała ją naczelna. Jednak ta rozmowa była dziwaczna. Anka zainwestowała wiele swojego prywatnego czasu w to, żeby przekonać Ewę, jak bardzo zadbała o komfort psychiczny swojej redakcyjnej ulubienicy. W Polsce kryzys, ekonomiści nadymają bańkę negatywnych prognoz do rozmiaru Pałacu Kultury, a ona zgadza się na taki wydatek. Pomyślała sobie jednak, że cele jej i Anki od pewnego czasu wcale nie muszą być zbieżne. Co więcej – że niezupełnie obchodzą ją przyczyny tej sytuacji. Dysproporcja potrzeb jest integralną częścią relacji międzyludzkich. Rozpad więzi – nawet bardzo bliskich – zdarza się w sposób naturalny i nierozsądne jest poświęcanie analizie jego przyczyn zbyt dużo czasu. Propozycja była klarowna. Ewa wysili swój intelekt dość nieznacznie, Anka skokowo zwiększy wyniki czytelnictwa swojej gazety. Uczciwy układ...

Przynajmniej do pewnego stopnia, biorąc po uwagę fakt, że znajomość Ewy z Martinezem miała charakter dość luźny. Poznała go kilka lat temu na wakacjach.

Był w nieoczywisty sposób przystojny. Erudyta i poliglota. Kobiety go uwielbiały. Wiedział, jak o nie zabiegać, jak dać im to, o czym ich mężowie mogli tylko pomarzyć. Oni spłacali kredyty i strzegli domowego ogniska dokładnie w tym samym czasie, gdy ich żony fantazjowały o kolejnej nocy w ramionach wenezuelskiego awanturnika. Stylem życia przypominał Hemingwaya. Był bezczelny i egoistyczny. Wiedział, jak każdą prowincjonalną gąskę skutecznie utwierdzić w przekonaniu, że ma na niego wpływ absolutnie narkotyczny. Poczucie wyjątkowości, które im dawał, wykluczało zadawanie pytań o prawdziwą przyczynę jego starań. Choć może się to wydawać nielogiczne, zaufanie, którym go obdarzały w nadziei na to, że je bezgranicznie odwzajemni, skłaniało je do deklaracji całkowicie absurdalnych w treści i równie intratnych w formie – dla niego.

Jednak do Ewy Martinez miał stosunek zgoła inny. Intrygowała go. Damy takie jak ona spotykał raczej rzadko. Były to te przedstawicielki płci pięknej, które doskonale zdawały sobie sprawę z niuansów rządzących przestrzenią pojawiającą się na przecięciu świata kobiet i mężczyzn. Sprawnie rozpoznawały tych, którzy odczytują subtelne sygnały przez nie same wysyłane, i równie szybko potrafiły je puentować w sposób, który dawał im samym satysfakcję.

Liczba parametrów charakteryzujących Ewę nieustannie się zmieniała, a ona sama pozostawała kostką Rubika. Nigdy nie zostawiała wątpliwości, że ta znajomość – choć z pewnością ważna – ma służyć celom znacznie wykraczającym poza jego potrzeby. Za informacje płaciła regularnie. W walucie, która była dla Martineza zawsze najbardziej satysfakcjonującą formą wynagrodzenia – również. Bywało, że zastanawiał się, kim – tak naprawdę – jest kobieta, która pod jego wpływem otwierała się w sposób dla niego zaskakujący, a która tak sprawnie prowadziła skomplikowane interesy w różnych częściach świata. Ewa pozwalała na pytania. Odpowiadała tylko na te, które uznawała za istotne – dla niej samej, rzecz jasna. Nigdy nie wchodziła w głębszą dyskusję na tematy zawodowe, wiedząc, że Martinez jest tylko informatorem i tylko w takiej roli może występować.

– Pedro? Pedro Martinez?

– Tak. Kto mówi?

– Ewa.

– Minęło dużo czasu.

– Dużo...

– Dlaczego się odezwałeś?

– Powód się nie zmienił. Dużo wiesz....

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy.

– Dwadzieścia tysięcy? Czego?

– Amerykańskich dolarów, mój drogi.

– Żałosna stawka. Za co?

– Twoi przyjaciele cenią się o połowę niżej.

– Moi przyjaciele – o ile ich mam – nie wiedzą nic.

– Pedro?

– Tak?

– Dwadzieścia tysięcy to dużo. Nie targuj się ze mną. Kasa taka, jak zwykle. Płacę ci kupę forsy również za to, żebyś był miły.

– Jestem miły.

– Miły być może będziesz. Wtedy gdy się spotkamy.

– Jakie masz plany?

– Przylatuję za kilka dni. Odbierzesz mnie z lotniska. Muszę mieć dobry hotel. Taki, który nie wzbudzi podejrzeń.

– Nierealne. Możesz mieszkać u mnie.

– Chciałabym. Ale nie mogę. Mam trudny temat.

– Jak trudny?

– Bardzo trudny.

– Kotku, u mnie jest miło i bezpiecznie.

– Pedro, ja nie mam czasu. Załatw mi hotel, dobrze? Spotkamy się później. A „kotka” zachowaj dla swojej kolejnej cizi, bo ja z tym słowem skojarzenia mam dość niewdzięczne.

Lot Lufthasą to co najmniej trzy przesiadki. Podróż Swissairem trwa o sześć godzin za długo, poza tym nie lubiła pasa startowego w Zurychu. Przewertowała kilkanaście stron firm pośredniczących w sprzedaży biletów. Po dwóch godzinach znalazła w końcu to, o co jej chodziło. Sprawdziła konto i znalazła na nim pieniądze z redakcji. Natychmiast zrobiła rezerwację i zaczęła się pakować. Przed wyjazdem powinna jeszcze opłacić wszystkie rachunki, w tym również te z wydłużonym terminem płatności. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wróci, a kontakt z komornikiem wolała odłożyć na później. Nawet gdyby okazał się on mężczyzną zabójczo przystojnym.

Wylot miał nastąpić dokładnie ósmego sierpnia. Ewa zapięła wszystko na ostatni guzik. Wiedziała, że skłonność do nieustannego przekraczania akceptowalnego poziomu ryzyka nigdy nie może ujawniać się w sytuacjach o charakterze zawodowym, bo mogłaby to przypłacić własnym życiem. Nie miała do niego przesadnego szacunku, ale odkąd została matką, wiele się zmieniło. Zosia była słodką dziewczynką. Wychowywała ją sama. Teraz chodziło tylko o to, żeby świat, w którym dorasta jej córka, pozbawiony był niepokoju, doskonale znanego Ewie z własnego dzieciństwa. Musiała nauczyć się cierpliwości. Odpowiedzialność za życie dziecka pojawiła się dopiero po pewnym czasie. To Elżbieta wkładała jej latami do głowy, że świat dziecka i świat ludzi dorosłych – choć się przenikają – nie są takie same. I że dziecko trzeba chronić, otaczać opieką. Stawiać granice, ale również umożliwiać mu taki rozwój, jakiego ono pragnie, w tempie, na które samo pozwoli. Tryb życia i wykonywany przez Ewę zawód były wyzwaniem, z którym Zosia radziła sobie doskonale, mimo swojego młodego wieku. Ale chciała, żeby mama nieustannie przytulała, odganiała duchy, zaprzeczała opowieściom o złych ludziach, którzy wchodzą przez okno do mieszkania i ją porywają. Ewa przyjmowała te prośby nad

wyraz spokojnie. Tłumaczyła swojej filigranowej córeczce, że nie pozwoli, by ktoś ją skrzywdził. Perspektywa zniknięcia na dwa miesiące napawała ją strachem o stabilność emocjonalną własnego dziecka. Wiedziała jednak, że musi zarobić określoną sumę pieniędzy, która pozwoli im obu na kilka miesięcy dostatniego życia. Zosię do własnego wyjazdu przygotowała zaledwie przez kilka dni. Wiedziała, że po raz kolejny naraża się na niebezpieczeństwa, które wiążą się z dziennikarstwem śledczym – zwłaszcza w kraju tak niespokojnym, jak Wenezuela. W rozmowach z własnym dzieckiem pomagała jej świadomość tego, czym są wybory dorosłych i dojrzałych ludzi. Jak również konsekwencje, które z nich wynikają.

Fascynacja wojną i istotą konfliktu zbrojnego pojawiły się u Ewy już w dzieciństwie, pod wpływem reportaży z Libanu. W czasach gdy jej koleżdy i koleżanki z piaskownicy interesowali się głównie przygodami Kaczora Donalda, ona – przyklejona do ekranu odbiornika – przeżywała obrazy, na których krew ofiar konfliktu bliskowschodniego przelewana była w sposób szczodry. Charakter politycznych uwarunkowań tych wydarzeń pozostawał dla niej niezrozumiały. Wiedziała wtedy tylko tyle, że obserwuje rzeczywisty świat. To, dlaczego jego fotograficzna reprezentacja okazała się tak ważna, dotarło do niej o wiele później. Odpowiedzi na skrywane przez lata pytania okazały się oczywiste dopiero w momencie, gdy zaczęła kwestionować fundamenty relacji z własnym ojcem. Ewa zdawała sobie jednak sprawę, że wprowadzanie Kai w zawilości własnego dzieciństwa nie ma sensu, co więcej – może być szkodliwe. Istotne było tylko to, żeby jej córeczka wiedziała o miłości i szacunku, którym ją darzy. Jak również o tym, że mamy są istotami, które wracają. Zawsze. Zosia dała się przekonać dość szybko. Po ich ostatniej rozmowie nie miała wątpliwości, że zrobiła wszystko, żeby ochronić ją przed nieprzyjemnościami wynikającymi ze swojej nieobecności.

Teraz mogła się zająć tylko sobą. Wizyta w salonie kosmetyczna wydała się jej pomysłem dość absurdalnym, biorąc pod uwagę okoliczności towarzyszące kontaktom z partyzantami. Wenezuela była jednakże krajem, w którym mężczyźni darzyli kobiety dość szczególnymi względami. Płeć piękna stanowiła integralną część ich świata, jednak granica ich od niej dzieląca rysowała się znacznie wyraźniej niż pod każdą inną szerokością geograficzną. Ci, których Ewa poznała w Ameryce Południowej – choć namiętni – nigdy nie byli wulgarni. Potrafili uwodzić w sposób wyjątkowo banalny, czasami tandetny. Natomiast Europejczycy zbyt szybko zapominali, jak istotną rolę w tej grze odgrywa teatralny charakter pierwszych chwil spędzanych z nowo poznaną kobietą. Nawet ich komplementy były dla Ewy zbyt przewidywalne. Południowcy – choć mieli słowiańską fantazję – odwagą swoich dalszych poczynań bili na głowę konkurentów z odległych części globu. Byli również znacznie bardziej wymagający. To właśnie o tych wymaganiach myślała Ewa, patrząc, jak Betti pieczołowicie nakłada na jej paznokcie kolejną warstwę lakieru. Czerwień jest atrybutem kobiecości. Czyż nie?

Po powrocie do domu po raz kolejny sprawdziła, czy wszystko jest gotowe do podróży. Potem otworzyła butelkę wina. Z każdym łykiem oddalała się od wszystkiego, co spotkało ją przez ostatni rok. Nauczyła się panować nad

wspomnieniami, w czym pomogli jej mężczyźni poznani przez ostatnich kilka miesięcy. Ewa wybierała sobie partnerów bardzo świadomie. Katalog niebieskich ptaków odwiedzających modne warszawskie kluby jest dość imponujący. Godziła się na bycie uwiedzioną tylko przez tych, którzy nie mieli do zaoferowania nic poza obsceną alkowy, ale decyzję o przebiegu wieczoru podejmowała zawsze po wielogodzinnym przebywaniu w czyimś towarzystwie. Wykroczenie poza schemat narzucony przez kurtuazję koktajlowych rozmów gwarantował jej przyjemności z najwyższej półki. Mężczyźni bardzo inteligentni mogą odczuwać więcej – to wiedziała od zawsze. Wygrywali ci, którzy posiadli zdolność opisywania rzeczywistości w plastyczny sposób. Najwyżej w hierarchii definiującej poziom satysfakcji z relacji międzyludzkich Ewa zawsze stawiała osoby potrafiące wpłynąć na nią w taki sposób, żeby zrobiła coś wbrew sobie – ale z pełną świadomością dyskomfortu z tego wynikającego.

Kolejny kieliszek przypomniał jej o Błażeju. Nalegał, żeby spędzić z nią choć jedną noc, mimo że nie potrafił podać adresu mieszkania, do którego chciałby ją zaprosić. Nie krył swoich poglądów dotyczących celibatu. Żarliwość argumentacji podważającej zasadność nieposiadania żony lub partnerki utwierdziła ją w przekonaniu, że jest księdzem. Brak koloratki okazał się niewiele znaczącym szczegółem, biorąc pod uwagę informacje, którymi tak szczerze się z Ewą dzielił. Całował ją w bardzo bezpruderyjny sposób. Liczne doświadczenia z kobietami były istotnym kontrapunktem dla życia, które powierzył Panu Bogu.

Alkohol – choć już wyczuwalny w organizmie – nie pozwalał Ewie zasnąć. Wspomnienie kolejnego mężczyzny nadal pozostawało żywe. Maćka poznała w tym samym miejscu, w którym znalazł ją Błażej. Trzydzieści lat młodszy, nieśmiały i beczelny. Nosił ją na rękach, pozwalając na kolejne kaprysy. Był pierwszym, któremu pozwoliła się dotknąć we własnym łóżku od czasu, gdy tata Kai podjął decyzję o jego opuszczeniu. Zapamiętała, że do swoich przyjaciół zaliczał również Cyganów – nigdy nie nazwał ich Romami... Maciek był nieobliczalny. Areszty śledcze w zachodniej części Europy znał na wylot. Opowiadał o nich tak, jakby były zupełnie nieistotnym epizodem jego życia. Ze wspomnieniami ponurego dzieciństwa poradził sobie dzięki literaturze pięknej. Czytał dużo i szybko, czasami wracał do wybranych książek kilka razy. Pił dokładnie tyle, co jego ulubieni autorzy. Nigdy nie potrafił postawić sobie samemu granicy. Nie lubił też, gdy w rolę krytyka wchodziła Ewa. Lubiał zaś z nią rozmawiać, lubił też wsłuchiwać się w kolejne historie, które tak radośnie wplatała w ich intymność. Zdzierał z niej ubranie w sposób charakterystyczny dla mężczyzn doskonale rozpoznających atawistyczną granicę między płciami. Pragnął jej ciała jak żaden z mężczyzn, którzy mieli okazję spędzić z nią noc. Nigdy nie pozwolił jednak, by później choć przez chwilę pomyślała, że chciałby jej pomóc w budowaniu szacunku do siebie samej. Kiedyś zapytała o to, kim – jego zdaniem – jest kobieta, która otworzyła przed nim drzwi swojego domu. „Nie zastanawiałem się nad tym” – odparł natychmiast, uśmiechając się w nic nieznaczący sposób. Ewa ceniła sobie mężczyzn potrafiących połączyć sztuk weneckiego artysty z odpowiedzialnością słowiańskiego rzemieślnika. Ten pierwszy budził w niej kobietę

totalną. Drugi utwierdzał w przekonaniu, że dawanie kobiecie złudnych nadziei jest kardynalnym błędem popełnianym tylko przez tych, którzy nie znają jakże trudnej sztuki obcowania z płcią piękną w okolicznościach dalece odbiegających od tych, które określa się mianem romantycznych. Ewa nie żyła złudzeniami. Maciek dał jej bardzo dużo, nie robiąc w tym celu absolutnie nic. Dzięki niemu po raz kolejny obudziła w sobie pasję do czytelnich poszukiwań, tak dobrze znanych z wczesnego dzieciństwa. O tym, że stała się tematem jego dość niewybrednych rozmów z kolegami, dowiedziała się dopiero po kilku tygodniach. Zaskakujące... Pomyślała tylko, że był za młody, aby uszanować jedną z najbardziej oczywistych reguł rządzących wolnością alkowy.

Pusty kieliszek przypomniał jej o tym, że musi natychmiast położyć się do łóżka i spróbować zasnąć. Na lotnisku miała się pojawić wcześniej rano. Sen długo nie przychodził. Przed oczami nieustannie miała Zosię, którą dzień wcześniej odwiozła do jej ukochanej babci.

Obudziła się sama, choć budzik był nastawiony na piątą. Słońce wlewało się do pokoju. Ściany – nagrzewane przez kilka godzin – zatrzymały temperaturę, więc w nocy zrzuciła kołdrę, pozwalając swojemu ciału na niczym nieskrępowany odpoczynek. Wylegając się łóżku, zastanawiała się, czy Martinezowi udało się znaleźć hotel o interesujących ją parametrach. Zadanie, którego się podjęła, było bardzo delikatne – wymagało nie tylko wiedzy czysto zawodowej, lecz przede wszystkim znajomości najodleglejszych zaułków ludzkiej psychiki. Rzekomy romans Rosy Virginii Chávez z synem polskich biznesmenów był tylko jednym z możliwych scenariuszy, jednak najmniej prawdopodobnym. Podejrzewała, że prawdziwa przyczyna zaginięcia małżeństwa Majchrzaków mogła być niezmiernie prozaiczna. Wystarczyło bowiem nieznacznie zboczyć w interior, by Wenezuela zamieniła się w kraj najeżony niebezpieczeństwami o najprzeróżniejszym charakterze. Partyzanci surowo piętnowali każdą próbę wejścia na tereny, które od lat uznawali za swój prywatny folwark. Równie nieprzyjazna mogła się okazać miejscowa ludność, zwłaszcza na obszarach oddalonych od ludzkich siedzib, a więc z reguły biednych. Widok dwojga zamożnych osób na takim odludziu od razu stawał się obietnicą łatwego zarobku. Warunki naturalne sprzyjały tylko tym, którzy znali je doskonale, ale potrafili wzbudzić w sobie pokorę w stosunku do tego, co nieznane. Przemierzanie górzystych rejonów kraju – tak bardzo pociągających swą malowniczością – wymagało świetnego przygotowania kondycyjnego i doskonałej znajomości topografii. Ewa brała więc pod uwagę, że Majchrzakowie mogli się po prostu zgubić. Mieli pieniądze pozwalające na realizowanie podróźniczych pasji, ale niechętnie liczyli się z ograniczeniami, których nie dało się dzięki ich posiadaniu usunąć. Osoby przez nich zatrudnione w rozmowie z Ewą wielokrotnie zwracały uwagę na to, że konfliktowe usposobienie ich pracodawców skutecznie nadwerżyło kilka intratnych relacji handlowych. Potencjalni partnerzy – nie mogąc zrozumieć nadmiernego przywiązania właścicieli do własnej strategii rozwoju przedsiębiorstwa i notorycznego ignorowania zmieniających się uwarunkowań makroekonomicznych – rezygnowali z możliwości wspólnego prowadzenia interesów. To pozwalało jej podejrzewać, że

jeśli małżeństwo wdało się w gwałtowną wymianę zdań z Wenezuelczykami mieszkającymi na przykład w dolinie Orinoko, ich szanse na bezpieczny powrót do Rzeszowa mogły być dość marne. Takie obrazki nie napawały Ewy szczególnym optymizmem. Lata doświadczeń nauczyły ją, że najprostsze odpowiedzi sprawdzają się w takich sytuacjach znacznie częściej, niż te, które wymagały od niej skomplikowanych analiz poprzedzonych długotrwałym gromadzeniem suchych danych. Rozczarowanie to miało podłoże ściśle emocjonalne. Zarobkowy aspekt wyprawy do Wenezueli był z pewnością niezmiernie istotny, ale tym razem ważniejsza okazała się możliwość uczestniczenia w kolejnej przygodzie. Odpowiadało jej życie nomada – nie przywiązywała się do niczego, a już z pewnością do nikogo. Skrzętnie unikała ludzi mogących mieć w stosunku do niej jakiegokolwiek oczekiwania, zwłaszcza jeśli miały charakter emocjonalny. Wiedziała jednak, że choć granice stawiała bardzo wyraźnie, nie mogła mieć przecież zbyt wielkiego wpływu na sposób myślenia i potrzeby osób, które los postawił na jej drodze.

Martinez był mężczyzną o dość chłodnym stosunku do przedstawicielek płci pięknej. Choć liczba kontaktów z nimi przyprawiała o zawrót głowy, on nigdy nie zgodziłby się ze stwierdzeniem, że zmienia je jak rękawiczki. Zmieniał rzeczywiście bardzo często – nierzadko nawet kilka razy w ciągu nocy – ale zawsze je szanował. Był w stosunku do nich czuły, empatyczny i opiekuńczy. Nigdy nie tworzył jednak atmosfery prawdziwej bliskości – głównie przez szacunek dla uczuć tych pań. Tym większe było więc zdziwienie Ewy, gdy kilka lat temu dostała od niego przedziwny w treści i formie list.

*Droga Ewo,*

*okazałaś się największą niespodzianką tego wieczoru, a Twoje reakcje do dziś pozostają zagadką. Są rzeczy, które poświęciłbym za to, by móc utulić Cię w swoich ramionach jeszcze raz. Wrodzona nieśmiałość nie pozwala mi zapytać, kim jest osoba, którą tak pieczołowicie ukrywasz przed całym światem. Z całą pewnością jest niezwykła... Również skomplikowana – w skali nieskończoności porównywalnie trudnej do zdefiniowania.*

*Obcowanie z Tobą sprawia mi przyjemność, której nie znam i której uczę się bardzo powoli – tylko dzięki temu, że pozwalasz mi się obserwować raz na kilka miesięcy.*

*Odkrywanie mapy Twojego ciała jest wędrówką ku granicom kobiecości... Konsekwencje wynikające z ich przekroczenia zmieniłyby moje życie w sposób, na który czekam od dawna.*

*Myślę o Tobie codziennie*

*Pedro*

Otrzymawszy ten list Ewa pomyślała o tym, jak trudno jest panować nad drugim człowiekiem w sytuacjach o charakterze czysto erotycznym. Skłonność do mylenia miłości z popędem seksualnym, jak również stanu zauroczenia lub fascynacji z gwałtownym skokiem adrenaliny, znała doskonale z własnego życia. Pedra uważała

zaś zawsze za mężczyznę, który nigdy nie pozwoliłby sobie na tak kosztowny błąd.

Wspomnienie nieoczekiwanej deklaracji Martineza sprawiło, że Ewa spojrzała na zegarek. Była dokładnie szesnasta czterdzieści pięć. Ustawiając budzik, pomyliła przyciski i 'AM' zamieniła na 'PM'. Oznaczało to, że samolot do Caras znajdował się w powietrzu już od dobrych kilku godzin, a ona miała niewiele czasu na przemyślenie pierwszego raportu, którego wymagała naczelna.

– Martinez?

– Doleciałaś?

– Musiałam skorygować plany i nie wsiadłam do samolotu.

– Po co dzwonisz?

– Mam pewną prośbę. Dość nietypową...

– Takie prośby zazwyczaj kosztują fortunę. Czego chcesz tym razem?

– Jutro zadzwonisz do Polski. Ta kobieta ma imię Anna. Grzecznie się jej przedstawisz, uprzedzałam ją, że będziesz mi pomagał, więc rozpozna cię po nazwisku. Powiesz, że zaginęłam. Resztę zostawiam twojej fantazji. Potrzebuję dwóch tygodni spokoju, po tym czasie się odnajdę.

– Nie wiem, kim jest ta dama, ale oczekujesz rzeczy nierealnej. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że tak po prostu zaginęłaś. Poza tym ona natychmiast sprawdzi listę pasażerów, na której nie będzie twojego nazwiska.

– Ta dama bardzo lubi mężczyzn. Nie wątpię, że wykorzystasz to, przygotowując się do rozmowy. I pamiętaj, że to od seniory Anny zależy moje wynagrodzenie, więc twoje również. Dogadamy się?

– Co cię opętało tym razem?

– Na wyjaśnienia przyjdzie czas, gdy się spotkamy. Dwa tygodnie to dużo czasu. Muszę odpocząć. Kolejne dziesięć tysięcy powinno zakończyć listę pytań.

– Stąpasz po bardzo kruchym lodzie, ale niech będzie. Daj ten telefon.

Ewa niespiesznie wstała z łóżka. Kiedyś w takiej sytuacji skłęłaby samą siebie jak szewc, jednak tym razem jej uwagę zwróciła nieprzypadkowość całej sytuacji. Usiadła przed komputerem i zaczęła w spokoju przeglądać oferty biur podróży. Przypadła jej do gustu Dominikana, ale po chwili pomyślała, że hotele na południu Europy są równie wygodne, a nie miała ochoty na zbyt długi lot. Picasso fascynował ją od czasów szkoły średniej, nieplanowana wyprawa do Andaluzji stanowiłaby idealną okazję do odwiedzenia kilku muzeów z jego pracami oraz domu, w którym się urodził. Mogłaby też przy tej okazji udać się do Kordoby, w której ostatnio była dziesięć lat temu. Costa del Sol jest najdroższą częścią hiszpańskiego wybrzeża, jednocześnie najbardziej fantazyjną, co dawało Ewie możliwość poznania ludzi o podobnym do niej horyzoncie umysłowym. Niczym nieskrępowanej radości życia dopiero się uczyła. Nie miała jednak wątpliwości, że ten wybór zaspokoi wszystkie potrzeby kobiety, która w ostatnim czasie nie miała nazbyt wielu powodów do jej celebrowania. Formalności dokonała w kwadrans. Musiała się spieszyć, ponieważ do odprawy zostały tylko trzy godziny.

Zadania, które powierzała jej redakcja, wymagały szybkiego przemieszczania się



w różne części świata. O ile zmiana miejsca pobytu zawsze wywoływała ekscytację, przebywanie na pokładzie samolotu – reakcję zgoła odmienną. Nie znała praw aerodynamiki. Zbiór metalowych części powiązanych ze sobą w kompletnie niezrozumiały dla niej sposób kierował myśli w stronę metafizyki. Poza tym znała też kilku pilotów boeingów. Jednego dość blisko, przyjaźnili się od wielu lat. Adam był mężczyzną ambitnym, stadnym indywidualistą trudno radzącym sobie z konsekwencjami decyzji mających w swoim podłożu ludzką głupotę lub równie ludzki strach przed obnażeniem niewiedzy. Poznała go na początku swojej zawodowej kariery. Z tamtych czasów zapamiętała go jako człowieka z wielkimi marzeniami. Charyzmę dostrzegła znacznie później... Mimo tego, że kilka razy złamał dla Ewy procedury bezpieczeństwa, pozwalając jej wejść do kabiny i usiąść na miejscu drugiego pilota. Mieli romans, choć po kilkunastu latach on nazwał go zaledwie flirtem. Kryteria, według których mężczyźni porządkują relacje z kobietami, są dość szczególne. Pocałunki Adama były niewinne. Płytkie, lecz nie nieśmiałe, ale dotyk już zdecydowany i nienasycony. Wspominając go, pomyślała, jak ważna zawsze była dla niej świadomość, że za sterami samolotu mógłby siedzieć właśnie on.

Droga na lotnisko dłużyła się niemiłosiernie. Ewa obserwowała korowody aut pełnych ludzi opuszczających Warszawę w nadziei, że odległość od stolicy zmyje z ich twarzy ślady zmęczenia. Chodnikami maszerowali w ten piątek tylko ci, którzy znali to miasto co najmniej tak długo, jak ona. Na pasach można było także dostrzec kobiety ubiorem przypominające amerykańskie diwy – prawie zawsze w towarzystwie mężczyzn, którzy zdawali się skrycie marzyć o przyjaźni z bossami rosyjskiej mafii. Nie zauważyła starców, dzieci już dawno spały.

Uwagę Ewy zaprzętnęła po chwili odprawa celna. Przez polską granicę musiała przewieźć urządzenie, w które wyposażyła ją redakcja. Był to komputer modułowy, zapewniający łączność z każdym miejscem na Ziemi. Bardzo kosztowny i niezmiernie skomplikowany w obsłudze. Z legitymacji prasowej korzystała rzadko, tym razem miała ją przy sobie, wiedząc, że bez niej nie uda się przekonać obsługi lotniska, by mogła umieścić to cudo w luku przeznaczonym dla bagażu podręcznego. Przepisy bezpieczeństwa umożliwiały co prawda podróżowanie ze sprzętem elektronicznym, jednak nie tego typu. Komputer mieścił się bowiem w skórzanej walizce, a jak komputer nie wyglądał. Przedstawicielowi straży granicznej kojarzył się zupełnie inaczej. Ewa była przygotowana na trudną rozmowę. W torebce miała już list od naczelnej, wyjaśniający powody, dla których – jako pracownik redakcji – została zobowiązana do realizacji projektu wymagającego stałego nadzoru nad tym urządzeniem.

Od startu minęła godzina. Ewa wtuliła się w fotel, mając nadzieję, że za chwilę zaśnie. Sen nie nadchodził, mimo że była wykończona rozmyślaniami o tym, jak Martinez poprowadzi rozmowę z Anką. Nie miała wątpliwości, że sobie poradzi – zastanawiała się tylko, jakiego fortelu użyje, starając się ją przekonać, że zniknięcie Ewy nie ma przypadkowego charakteru.

Świata Ewa uczyła się, wsłuchując się w jego dźwięki – zwłaszcza te, które zostawiały po sobie słowa. Rozpoznawała kolejne cechy swoich rozmówców nie tylko

na podstawie używanego przez nich słownictwa. Rytm zdania, jego melodia, wreszcie sprawne rozłożenie akcentów logicznych stanowiły klucz pozwalający zrozumieć ich najskrytsze pobudki. Ta przedziwna zdolność pomogła jej w kilku najtrudniejszych projektach w pracy. Naprawdę bezcenna była jednak w życiu prywatnym, tym bardziej że większość znanych jej osób łączyła słowa w związki wyrazowe równie nieporadnie, jak samych siebie w pary. Ci, którzy przelatywali przez jej życie jak meteoryty, mieli często więcej odwagi, aby własne przekonania i dążenia manifestować w sposób znacznie bardziej zorganizowany, a przez to bardziej wiarygodny. Byli również znacznie rozsądniejsi w swoich wyborach. Językowych i ludzkich... Tę prawidłowość warunkował w dużej mierze czas. Człowiek, który nim dysponuje, nazbyt starannie dobiera słowa. Ten, który nie ma go wcale, nie koncentruje się na celach – w tej grze wygrywają jego rzeczywiste potrzeby. Przewaga umysłu nad emocjami bywa iluzoryczna.

Dawno temu zrozumiała też, że czysta informacja nie obroni się sama. Nie ma na świecie takiego zdarzenia, które nie potrzebuje odpowiedniej oprawy. Właściwie jest dokładnie odwrotnie – fakty można tworzyć na różnych poziomach, można nimi manipulować w dowolny sposób, można wreszcie nazywać nimi sytuacje, które nigdy nie miały miejsca. To ostatnie spostrzeżenie idealnie opisywało stopień zaangażowania Ewy w kolejne reporterskie fantasmagorie przełożonych. Kwoty, które co miesiąc znajdowała na swoim koncie, odsuwały jednak na bok wszelkie etyczne dylematy z tego wynikające.

## ROZDZIAŁ 2

### CO SIĘ WYDARZYŁO W LA TORRE?

Ewa stanęła na płycie lotniska w Maladze po niespełna czterech godzinach lotu. Rezydent zajmujący się grupą turystów, wśród których była Ewa, okazał się człowiekiem opryskliwym, nieszczególnie zainteresowanym komfortem swoich nowo poznanych znajomych. Zwróciła jednak uwagę na jego kolegę. Pewny siebie i dość nonszalancki przy pierwszym kontakcie. Koraliaki, które zawiesił sobie na szyi, mogły świadczyć o dość luźnym stosunku do zobowiązań wszelkiej maści, w tym także tych, które wykraczały poza sferę ściśle zawodową. Przez chwilę pomyślała nawet, że wieczór w jego towarzystwie mogłaby zaliczyć do udanych. Dalsze rozważania na ten temat przerwały dyskusje o kolejności umieszczenia walizek w luku bagażowym autokaru oczekującego na komplet gości.

Hotel jej nie rozczarował. Nie potrzebowała wiele – basen ze słodką wodą, bliska odległość baru i otwartego morza stanowiły podstawowe kryteria wyboru. Kolor ścian, przestronność pokoi, a tym bardziej różnorodność potraw serwowanych przez miejscową kuchnię, nie miały większego znaczenia.

Pierwsze kilka dni spędziła, nie ruszając się poza jego granice. Przepływała basen wzdłuż i wszerz, zaprzyjaźniła się z barmanami, którzy szybko przestali się pytać, jakie wino lubi i dlaczego nigdy nie zamawia tak cenionych przez gości naleśników. Szczególną sympatię wzbudził w niej Miguel. Śmiał się, gdy zaczęła nazywać go Michałem i wytłumaczyła, że jest Polką, a Rosję z jej ojczyzną łączą więzi dość szczególne. W przerwach dużo czytała, przywiozła ze sobą kilka książek, resztę dokupiła w miejscowym antykwariacie oferującym anglojęzyczne tytuły. Wieczorami spacerowała po plaży. Godzinami brodziła w płytkiej wodzie, szukając muszelek. Segregując je, myślała o Kai – o tym, które spodobałyby się jej na tyle, żeby zechciała się nimi pochwalić rówieśnikom.

Ewa ubóstwiała kawę. Szczególną wagę przywiązywała do *cremy* – delikatnej śmietankowej pianki przykrywającej napar z nasion kawowca. Napój serwowany w hotelu w niczym nie przypominał jednak tego, który sprawiał jej tak wielką przyjemność. Pierwszego popołudnia szybko znalazła małą kafenię, której wystrój i oddalenie od pierwszej linii wybrzeża obiecywały ofertę *à la carte* w pełni zgodną z jej oczekiwaniami.

Tego dnia temperatura sięgała prawie czterdziestu stopni Celsjusza. W środku La Torre panował półmrok. Klientów było niewielu – ich większość stanowili Hiszpanie, wśród których wyróżniali się rdzenni malagijczycy. Ogorzałe od słońca twarze i zniszczone dłonie mówiły o cenie, jaką zapłacili za możliwość usługiwania turystom przybyłym z najdalszych zakątków świata. Kryzys, z którym każdego dnia mierzył się Zapatero, zmusił ich do podjęcia pracy w zawodach dotąd zarezerwowanych dla

emigrantów. Niewygodę codzienności znosili w spokoju. Choć znali gniew, historia nauczyła ich tonowania emocji na forum międzynarodowym. Europa Zachodnia chłonęła negatywne komentarze amerykańskich analityków giełdowych z wdziękiem gejszy, jednak dyskusje toczące się w kuluarach Parlamentu Europejskiego wskazywały, jak nieprawdziwe są sygnały wysyłane przez jego przedstawicieli. Na tym tle Hiszpania jawiła się jako państwo potrafiące przetrwać zawirowania makroekonomiczne w sposób godny pozazdroszczenia. Kultura wyrosła w kulcie słońca, celebrująca najbardziej nawet błahe przyjemności życia, odgradzała ten kraj od dekadentkich rozwiązań.

Ewa usiadła niedaleko baru. Była w La Torre już kilka razy, miała nawet swoje ulubione miejsce – skromny stolik z widokiem na sąsiednią uliczkę. Lubiła, gdy sjesta miała się ku końcowi, wtedy do kafeterii ściągало więcej osób. Tym razem zabrała laptopa, umówiła się z Martinezem, że w czasie dla niego dogodnym będzie informował ją o postępach rozmów z Anną.

- *Café con leche, por favor.* I popielniczkę, gdyby pan był łaskaw.
- Kobieta tak niezwykła w miejscu powszechnie znanym ze swojej pospolitości?
- Miejsce nie jest złe. Czyni go takim życie. Poda pan tę kawę?
- Proszę dać mi chwilę, seniora.

Ewę zawsze zastanawiało, dlaczego nie pasowała – zdaniem wielu osób – ani do lokali, w których obsługiwano szeroko rozumianą klasę średnią, ani tym bardziej do spelun gromadzących bon vivantów wszelkiej proweniencji. Mówiono, że energią zgrywa się najpełniej z pięciogwiazdkowymi hotelami goszczącymi gwiazdy największego światowego formatu i rekiny finansjery. Kastowość była jej całkowicie obca. Jednakowo dobrze czuła się w towarzystwie prezesów banków, jak i lumpów. Potrafiła być damą – w jej żyłach płynęła niebieska krew. Wiedziała jednak, że zamknięcie drzwi przed człowiekiem, który dawno temu zapomniał, czym jest gorący posiłek, jest nie tyle nieludzkie, co wyjątkowo nielogiczne. „Fortuna kołem się toczy”, powtarzała swoim przyjaciółom. Uwielbiali ją ludzie potrafiący dostrzec, jak głęboko nie zgadza się z podziałami społecznymi, ale cenili tylko ci, którzy mieli odwagę przyznać, że ich własnej tożsamości nie da się określić kryteriami z brukowej prasy.

Ewa delektowała się kolejnym łykiem kawy, obserwując gości La Torre. Przychodzili tam jak do własnego domu. Kelner najczęściej nie pytał o zamówienie – musiał znać ich od lat, z łatwością odgadywał kulinarne nastroje swoich podopiecznych. Jej uwagę zwrócił mężczyzna stojący przy barze. Bardzo wysoki, o atletycznej budowie ciała. Asymetria rysów jego twarzy mogła być skutkiem urazu przebytego w dzieciństwie. Lub mieć przyczyny neuropsychiczne, związane ze zdarzeniami odległymi w czasie i przestrzeni. Nonszalancka postawa zdradzała człowieka ceniącego czas i tylko własne towarzystwo. Świetnie znał właściciela, sądząc po serdeczności ich rozmowy. Ewa wyjęła z torebki papierosa. Tytoń owijała cienką bibułka delikatnie nasączona olejkiem z papryczek piri-piri, nadającym mu nieco ostrzejszy smak. Już samo trzymanie papierosa w dłoni sprawiało jej przyjemność. Zaciągnęła się.

- Zna pani przepisy obowiązujące w tym kraju? Na początku tego roku

wprowadzono zakaz palenia w miejscach publicznych.

Ewa odwróciła się w kierunku, z którego dobiegał głos. Mężczyzna stojący wcześniej przy barze opierał się o sąsiedni stolik.

– Nie znam ani tego kraju, ani – tym bardziej – miejscowego prawodawstwa. Jak się pan domyśla, jestem tu na wakacjach. Wszelkie nakazy i zakazy powinno się umieszczać w widocznym miejscu. Nie każdy zna hiszpański, więc nie zaszkodziłoby zainwestować kilku centów w tłumaczenie. Chyba się nie mylę? – odparła, natychmiast gasząc papierosa w filiżance pełnej kawy.

– Mogła pani poczekać na popielniczkę – stwierdził, uśmiechając się w sposób, który Ewa przypomniał sobie kilka miesięcy później.

– Mogłam. Ale nie czekałam.

Ewa powoli wstała z krzesła. Wychodząc z kafeterii, spojrzała na niego kątem oka. Szczyt bezczelności, pomyślała, nie zastanawiając się, dlaczego opuszcza tak miłe miejsce nie dopiwszy ulubionego napoju. Jeszcze całkiem niedawno przekonałaby właściciela kafeterii o konieczności wyproszenia gościa niepotrafiącego – jej zdaniem – okazać należnego jej szacunku. Choć nigdy nie twierdziła, że prawa turystów są ważniejsze od praw rdzennych mieszkańców danego regionu, była przekonana, że przynajmniej czasami jedne muszą ustępować drugim. We współczesnym świecie rację ma często ten, kto płaci. Przyzwyczaiała się do stawiania warunków, potrafiła sprawnie wzmacniać własną pozycję kosztem drugiej strony. Tym bardziej nienaturalna wydała się jej własna reakcja. Ewa była jednak zbyt skupiona na zaplanowanej na wieczór rozmowie z Martinezem, by zagłębiać się w pobudki, które pokierowały nią tym razem.

Wróciła do hotelu. Spacer nadmorską promenadą okazał się dość męczący – o tej porze kłębił się tam tłum turystów. Nie miała ochoty na nawiązywanie przypadkowych znajomości w takim miejscu i o tej porze. Weszła do pokoju. Zdjęła ubranie, temperatura powietrza przekraczała trzydzieści pięć stopni Celsjusza. Miała ochotę rzucić się na łóżko i przespać przynajmniej godzinę. Jednak świadomość, że Martinez czeka na jej ruch, skutecznie przegnała tę myśl. Rozejrzała się wokół, szukając laptopa. Urządzenie, w które wyposażyła ją redakcja, było połączeniem komputera, telefonu, detektora ruchu, szyfratora i kilku innych zmyślnych narzędzi umożliwiających komunikację z każdym miejscem na Ziemi za pomocą satelity. Koszt zakupu tego cacka przekraczał jej miesięczne wynagrodzenie – nie zdziwiło jej więc, że kwitując jego odbiór, musiała podpisać weksel na sumę pokrywającą jego wartość, powiększoną o kwotę ubezpieczenia. Niestety laptopa w pokoju nie było. Ewa przeszukała każdy kąt, pamiętając, że w stanach skrajnego zmęczenia zdarzało się jej umieszczać różne rzeczy w miejscach niekojarzących się w żaden sposób z ich przeznaczeniem. Bielizna lądowała w lodówce, karty kredytowe w koszu na brudną bieliznę, a klucze od mieszkania w piwnicy. Tym razem była jednak pewna, że tego rodzaju pomyłka nie wchodzi w grę. Usiadła na łóżku. Z rozmyślań wytrącił ją dźwięk dzwonka telefonu.

– Seniora Mulner?

– Si.

- W recepcji czeka na panią przesyłka.
- Od kogo? Nie spodziewam się żadnego listu.
- Seniora, na pani nazwisko dostarczono paczkę, nie list. Zejdzie pani na dół czy przysłać kogoś na górę?
- Proszę poczekać. Kto ją przyniósł?
- Nie ma danych nadawcy. Obawiam się, że nie będziemy mogli pomóc.
- Proszę w takim razie opisać osobę, od której ją odebraliście.
- Ktoś stąd.
- Hiszpan?
- W rzeczy samej, seniora.
- Jak wyglądał?
- Niewysoki, nierzucający się w oczy mężczyzna. Nie był specjalnie rozmowny.
- Jak był ubrany?
- Zwyczajnie.
- Mogłabym prosić o więcej szczegółów?
- Seniora, proszę wybaczyć, czekają kolejni goście.
- Proszę zostawić tę paczkę, zaraz po nią zejdę.

Ewę zastanowiło, kto mógł zadać sobie trud przesłania jej czegokolwiek. W Hiszpanii nie znała nikogo. W Polsce nikt nie wiedział, w którym hotelu się zatrzymała i dlaczego nie wsiadła do samolotu do Caracas. Choć Anna powinna już wiedzieć o jej rzekomym zaginięciu, Martinez nie potrafiłby jej odnaleźć w tak krótkim czasie. Był skuteczny, ale czasem brakowało mu dystansu do powierzonych zadań. Wierzył w spiskowe teorie jak wróżka w moc sprawczą kart tarota, co nie pomagało mu dochodzić do wniosków opartych na racjonalnych przesłankach.

Ewa pokwitowała odbiór przesyłki. Dotarła do pokoju i zaczęła ją rozpakowywać. W środku był laptop. Ktoś włożył wiele wysiłku w to, żeby się nie uszkodził, obkładając go gazetami i folią bąbelkową. Na dnie kartonu znalazła list. Zastanowiło ją to, że napisano go w jej ojczystym języku. Oras to, skąd ktoś znał nazwę hotelu, w którym się zatrzymała.

*Droga Turystko,*

*zwracam to cudo, nie wiedząc nawet, jaką ma nazwę. Zakładam, że musi być Pani w czymś pomocne. W tym kraju rzadko kto zabiera ze sobą do kawiarni coś, co kojarzy się z jakimkolwiek wysiłkiem. W szczegóły nie śmiem wnikać. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że praca nie wypełnia Pani życia na tyle szczerze, żeby nie udało się odetchnąć po trudach pracowitego roku.*

*Przesyłam życzenia udanego wypoczynku.*

*Piotr*

Ewa nie miała wątpliwości, kto był autorem tego listu. Zastanawiało ją jedynie, dlaczego zguba została zwrócona w tak elegancki sposób. Hiszpania ma opinię kraju dość bezpiecznego, jednak na wybrzeżu wskaźnik drobnej przestępczości jest wysoki

od wielu lat. Ostrzeżenia przed kieszonkowcami zamieszczane są w każdym przewodniku, a lokalna prasa pełna jest doniesień o wyczynach Rumunów i Marokańczyków polujących na portfele hotelowych gości. La Torre nie było jednak miejscem nastawionym na turystów. Wręcz przeciwnie – zarówno menu, jak i wystrój adresowane były do klienteli składającej się w znakomitej większości z Andaluzyjczyków. To do pewnego stopnia mogło tłumaczyć motywy, którymi kierował się poznany tam mężczyzna. Postanowiła, że – choć w kawiarni zachował się w stosunku do niej grubiańsko – postara się go odszukać i podziękuje za fatygę. Wybawił ją z nie lada kłopotu. Brak laptopa uniemożliwiłby kontakt z Martinezem i utrudnił gromadzenie materiałów potrzebnych do zamówionego przez redakcję reportażu. Nie wspominając o konsekwencjach finansowych, które w znaczący sposób nadwerężyłyby jej domowy budżet. Nie wątpiła, że odnalezienie tajemniczego Piotra nie będzie stanowiło problemu. Ponowna wizyta w La Torre powinna zakończyć się uzyskaniem numeru jego telefonu lub nawet spotkaniem, gdyby akurat znalazł się tam w tym samym czasie.

Ewa włączyła laptop. Moduł telefoniczny odmówił posłuszeństwa. Nawiązanie połączenia wymagało ustawienia na balkonie specjalnej anteny, która poszerzała zasięg urządzenia i wzmacniała siłę sygnału wysyłanego i ściąganego za pośrednictwem satelity. Po chwili usłyszała głos Martineza.

– Dobry wieczór, Pedro.

– Ewo, co się z tobą dzieje? Zapadłaś się pod ziemię. Rozmawiałem z Anną. Uwierzyła we wszystko, co jej powiedziałem. Uruchomiła wszystkie swoje kontakty, wspomniła też o jakimś Władku. Wiesz, kto to jest? W tej chwili szuka cię Interpol i polskie placówki dyplomatyczne w Ameryce Południowej. Wynajęła też człowieka, nie pamiętam imienia, który specjalizuje się w prowadzeniu negocjacji z porywaczami na tych terenach. Ta kobieta zaangażowała w poszukiwania mnóstwo sił i środków. Na twoim miejscu nie liczyłbym na to, że nie uda się jej ciebie odnaleźć. A tym bardziej na wyrozumiałość, gdy zorientuje się, że spędzasz wakacje w jakimś miłym miejscu.

– Doceniam twoje starania. Nie zaskoczyłeś mnie, choć ciekawa jestem, w jaki sposób ją przekonałeś.

– Skorzystałem z twojej rady, resztę znasz.

– Jak ci się podobała moja ojczyzna?

– Polska jest trudnym krajem. Sama Warszawa natomiast enklawą nieprawdopodobnej przypadkowości, brzydoty i hipokryzji.

– Trudno się z tym nie zgodzić. A Anna?

– Znam wiele takich kobiet. Jest całkowicie przewidywalna, choć chce uchodzić za rozgrywającą. Wiesz lepiej ode mnie, że prawdziwe życie ma niewiele wspólnego z sytuacjami wydarzającymi się podczas gry w piłkę. Moim zdaniem wysiłki Anny mające na celu zbudowanie nowego życia na zdrowych zasadach nie skończą się dla niej w sposób, którego oczekuje. Za dużo w tym wszystkim pozornie zdrowego rozsądku, za mało finezji. Potrzeba zaplanowania wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach nieuchronnie prowadzi do rozczarowań.

– Musieliście dużo rozmawiać...

– Był czas i na to, choć moje spostrzeżenia wynikają przede wszystkim z obserwacji ruchów jej ciała.

– Spodobała ci się?

– W pewnym sensie. Jednak jej emocjonalna niestabilność wyklucza mój kolejny przyjazd do miasta, w którym się urodziłaś.

– Nie powinieneś tak bardzo wybiegać w przyszłość, Pedro. Życie bywa przewrotne, jak wiesz. Anna miała bardzo trudne dzieciństwo, być może ci o nim opowiedziała. Cenię ją za wysiłek, który włożyła w odcięcie się od niego, jak również za heroiczne próby zbudowania nowego życia na zasadach, które chce określić sama. Popełnia błędy – jak każdy. Ma jednak w sobie siłę, której wielu mogłoby jej zazdrościć. Jest dobrym człowiekiem. Pomogła mi, gdy bardzo tego potrzebowałam. Rolę, którą odgrywa dziś, określa tylko redakcyjna drabina zawodowych podległości.

– Zastanawiające...

– Rozmawiałeś z nią o mnie?

– Wiesz, że tak. Ma do ciebie żal, który trudno mi zrozumieć. Fascynuje mnie psychika kobiety. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się choćby na chwilę zbliżyć do tak hermetycznego świata.

– Znasz przecież setki kobiet. Poznawałeś je w różnych okolicznościach. Takie doświadczenia tworzą określony stan świadomości. On z kolei pomaga w gromadzeniu wiedzy na temat, który jest przedmiotem twojej fascynacji.

– Poznawałem to z dużo powiedziane.

– Być może. Ale z pewnością wiesz o kobietach bardzo dużo, trudno ci więc nie dostrzec powtarzalności pewnych cech i nie wysnuwać na podstawie tych spostrzeżeń wniosków uświadamiających ci, czym jest istota kobiecości.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że mnie przeceniasz?

– Wielokrotnie. Jednak nigdy nie zakwestionowałam ani twojej spostrzegawczości, ani tym bardziej inteligencji. Dyskusyjna jest tylko umiejętność przypisywania wnioskowi właściwego ciężaru gatunkowego. Lubisz bagatelizować to, co zasadnicze. Chwilę później zdarzeniom o nieistotnym charakterze nadajesz rolę istotnie wykraczającą poza ich rzeczywisty wymiar.

– Nasza rozmowa zaczęła się od twojej szefowej. Jak to powiązać?

– Najlepiej dosłownie. Daj sobie czas. Ona – dziś – jest dla mnie naczelną tytułu, na którego zlecenie mam wykonać bardzo skomplikowane zadanie śledcze. Domyślam się, jak spędziłeś z nią czas. Nie wiem natomiast, co – tak naprawdę – sprawiło, że przyleciałeś do Polski. Zakładałabym, że Anna – będąc osobą podatną na wdzięki mężczyzn i lubiącą ich szczodrze obdarzać cudownościami własnego ciała – zapragnęła natychmiast poznać właściciela ognistego temperamentu i zaprosiła cię pod pretekstem rozmowy na temat zawodowe.

– Anna rozplakała się, rozmawiając ze mną przez telefon. Nie wiem, co was wcześniej łączyło, ale ten płacz był głośny i długi. Ona naprawdę boi się, że coś ci się mogło stać.



– W takim razie musiałeś być wyjątkowo przekonujący. Obawiam się, że musimy już kończyć. Odezwę się wkrótce. – Ewa rozłączyła się, nie pozwalając się Pedrowi pożegnać.

Myśli krążyły wokół byłej przyjaciółki. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Anna była najważniejszą osobą w jej życiu. Pamięta, jak ta niezwykła kobieta płakała w jej ramionach, opowiadając o okrucieństwie matki i skrzydłach pozwalających jej przemieszczać się do krainy marzeń. Powoli, lecz stanowczo porządkowała rzeczywistość, przygotowując miejsce dla mężczyzny, którego w owym czasie nie знаła. Przyszłość wiązała z tworem powstającym w jej własnej wyobraźni. Pielęgnowała te plany każdego dnia, każdą minutę wypełniała rozważaniami o ideale męskości. Pod wpływem Ewy zaczęła wierzyć, że w życiu warto ryzykować, a nowe znajomości zawiera się nie po to, by zrywać je po pierwszym niepowodzeniu. Nigdy nie przestała jednak być niecierpliwa. Od swojej podwładnej wymagała bardzo dużo, nie licząc się jej z ograniczeniami, a już z pewnością nie z granicą, którą ta stawiała każdej osobie chcącej się do niej zbliżyć. To właśnie o tej granicy myślała Ewa, kładąc się spać. Kończący się w tak nieoczekiwany sposób dzień zaliczyła do udanych.

Jutro wybierze się po raz kolejny do La Torre. Na kawę – najlepszą, jaką do tej pory piła w tym przepięknym kraju. Ale przede wszystkim po to, żeby spróbować odnaleźć Piotra. Początkowo miała pewność, że to zadanie będzie banalnie proste. Upływ czasu powodował jednak, że zaczęła zadawać sobie pytania dotyczące sensowności tych poszukiwań, ale – co ważniejsze – rzeczywistych pobudek jej samej. Nie znajdowała odpowiedzi. Podziękowanie za zwrot pozostawionego laptopa był pretekstem z jednej strony neutralnym w formie, z drugiej zaś nazbyt jednoznacznym w treści. Nie lubiła być dla mężczyzn czytelna, równie niekomfortowo czuła się, mając pewność, że pozostaje dla nich zagadką. Stanu idealnego – wynikającego z tożsamości potrzeb partnerów – nie poznała nigdy. Mijały kolejne godziny, przed oczami zaczęły jej przelatywać obrazy z przeszłości. Wspomnienia są zabójcze, gdy uniemożliwiają odcięcie się od niej. Co ważniejsze: utrudniają otwarcie się na zdarzenia mające dopiero nastąpić. Sen przyszedł niespodziewanie. Utulił łyzy, których tym razem nie potrafiła powstrzymać. Zasypiała, opierając głowę na wilgotnej poduszce.

## ROZDZIAŁ 3

### PIOTR

Obudziła się wcześniej rano. Punktualnie o siódmej do drzwi pokoju zapukał kelner. Przyniesioną przez niego kawę wypijała, patrząc przez okno i wyobrażając sobie bezkres morza. Fale zapewne uderzały tego dnia miarowo o brzeg. Ich grzywy traciły na piasku ostre kontury, po chwili rozmywały się zupełnie, zostawiając na plaży przedziwne wzory. Niebo zachmurzyło się, co mogło zapowiadać chwilowy spadek temperatury. Ewa nie знаła jednak meteorologicznych zawiłości Hiszpanii. Po godzinie wyjrzało słońce. Malaga niespiesznie budziła się do życia. Widzianą przez okno ulicę mogłaby obserwować godzinami, pomyślała jednak, że czas andaluzyjski – choć biegnący tak leniwie – ma wartość również materialną. Niechęć do spędzania go w zaciszu hotelowego pokoju wygnała ją na pobliską plażę. Było na tyle wcześnie, że bez trudu znalazła wolny leżak. Opłaciła go, złożyła na nim kilka rzeczy, potem wbiegła do wody. Często wypływała daleko poza białe boje, lubiła wracać, obserwując z odległości brzeg. Zwłaszcza rankiem, gdy nie rozsiadło się na nim jeszcze zbyt wielu turystów. Miejsce, które wybrała na letnią kanikułę, było wśród nich bardzo popularne. W ciągu dnia wygrzewali ciała w słońcu – głusi na ostrzeżenia o niebezpieczeństwie czającym się w jego promieniach. Po południu zasiadali w położonych wzdłuż linii wybrzeża restauracjach. Wieczorami starsi rozkoszowali się kulinarnymi dobrodziejstwami *tapas* barów, młodszy zaś oddalali się w kierunku nocnych klubów w nadziei na spędzenie nocy w towarzystwie miejscowych piękności. Każdy dostawał to, po co tu przyjechał.

Ta myśl zaniepokoiła Ewę. Od czego lub po co chcę tu odpocząć, zastanawiała się, nurkując w poszukiwaniu muszelek dla Kai. Andaluzyja jawiła się Ewie jako kraina obiecująca jej potrzebom stan spełnienia, mimo że klimat tego regionu znała tylko z literackich odniesień. Bohaterowie czytelnicych wędrówek Ewy byli mężczyznami o niezwyklej charyzmie. Siła ich intelektu, jak również sprawność, z jaką potrafili przetwarzać i opisywać rzeczywistość, budziła w niej pokorę. W tych rozważaniach niepodzielnie królował Hemingway, choć kroku dotrzymywał mu również Orson Welles. *Afficionados* *corridy*, ten pierwszy do grona swoich przyjaciół zaliczał rodzinę Ordoniezów, jednego z najznamienitszych rodów, którego męscy przedstawiciele byli biegli w sztuce walki z bykami. Doskonale rozumiała męską fascynację spotkaniem ze zwierzęciem budzącym taki respekt. Kontakt ze światem definiowanym w sposób możliwie najbardziej pierwotny eliminował pomyłki związane z poznawaniem panów nieświadomych siebie. Mężczyźni fascynowali ją od dzieciństwa. Ewa rzeczywiście przyjechała na Costa del Sol, żeby odpocząć. Od miłośności spotkań, od nużących wspomnień, od chaosu emocjonalnego, który tak doskonale wpisywał się w znakomitą część jej życia. I po to, żeby spotkać – nie poznać – kogoś, kto podzieli jej fascynacje różnymi sferami życia, nie zadając pytań.

Czas mijał nieubłaganie. Tego dnia Ewa musiała przepłynąć kilka dobrych kilometrów. Uwielbiała wbiegać do wody – jej temperatura chłodziła rozgrzane ciało, tonowała zmysły, porządkowała myśli. Zbliżając się po raz kolejny do brzegu, przypomniała sobie o planie na ten konkretny dzień. Z wody wyszła powoli. Wytarła się, położyła na chwilę na leżaku, pozwalając, by słońce wysuszyło krople ukryte w zakamarkach jej ciała. Potem wstała, okryła biodra *pareo*. Dochodziła dziewiętnasta. W La Torre zamierzała pojawić się w okolicach dwudziestej pierwszej trzydzieści.

Tego wieczoru Ewa założyła sukienkę. Jej polska garderoba nie mieściła ich wiele, jednak na użytek tego lata zakupiła lniane cudeńko w kolorze pastelowego różu. Opinało ciało, wydobywając jego krągłości i stawiając znaki zapytania w miejscach często uważanych za nieistotne. Koneserzy potrafili bez trudu interpretować załamania materiału na skórze wybranki – dotyczyło to szczególnie tej jego partii, która zaczynała się u zbiegu pośladków z udami. To właśnie tam zaczynał się taniec fizyczności z niedopowiedzeniem. Stopy zdobiły delikatne sandały w kolorze pomidorowej czerwieni. Uwielbiała te dwanaście centymetrów swojej kobiecości. Mężczyźni – widząc ją taką – przestawali myśleć racjonalnie. Ubierając się w ten sposób, Ewa nie zakładała niczego szczególnego. Chodziło jej tylko o to, żeby Piotr zechciał zwrócić uwagę na jej podziękowanie za wysiłek włożony w odesłanie laptopa. I właściwie odczytał zaproszenie do rozmowy na temat pobudek, które nim kierowały.

Wieczór nadciągał niespiesznie. Ewa dotarła do La Torre w porze, w której kawiarenka zapełniała się klientelą niezbyt wyszukaną, choć tak autentyczną. Przy barze gromadzili się tylko mężczyźni. Kelner spełniał ich życzenia w sekundę, zamówienia składane przez kobiety musiały odczekać chwilę dłużej. Podeszła do właściciela lokalu w nadziei na rozmowę mającą pomóc jej w odnalezieniu Piotra.

– Dobry wieczór.

– Witam cudną klientkę. Takie kobiety rzadko zasiadają w moich skromnych progach. Pani twarz wydaje się jednak znajoma.

– Uwielbiam tutejszą kawę. Tym razem nie przyszłam jednak po kawiarniane przyjemności. – Ewa zawiesiła głos w nadziei na kolejne pytanie.

– W czym mógłbym pomóc?

– Szukam kogoś.

– Tu przychodzi wiele osób.

– Wczoraj jeden z pana gości w wyjątkowo bezpośredni sposób zwrócił mi uwagę na zakaz palenia. Wyszłam stąd, zapominając laptopa. Ktoś odniósł go do hotelu. Do zguby dołączył list, podpisał się Piotr. Być może jest to ten sam człowiek. Kojarzy pan kogoś o takim imieniu?

– Piotr czy Pedro?

– Ten, z którym rozmawiałam, był Polakiem, list też napisano po polsku. To ciekawe, że rozróżnia pan dwie wersje tego imienia.

Właściciel La Torre podrapał się po głowie.

- Dlaczego chce go pani odnaleźć?
- Żeby podziękować. Taki gest to rzadkość w dzisiejszych czasach.
- Nie znam żadnego Piotra, ale mam przyjaciela, który nazywa się Pedro. Nie jest stąd, ale mówi po kastylijsku bez akcentu, zakładałbym więc, że nie jest Polakiem.
- Ma pan jego numer telefonu?
- Proszę wybaczyć, ale nawet gdyby miał, nie mógłbym go dać. Widzi pani, w Hiszpanii życie jest dość proste, a ja jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi, który chciałby je komplikować. – Właściciel kawiarni zawiesił na chwilę głos. – Poza tym kobieta nigdy nie powinna wyciągać do mężczyzny ręki pierwsza. Hiszpanie są pod tym względem konserwatywni. Zwykliśmy podbijać nie tylko dalekie lądy.
- Ale ja nie szukam kochanka, męża tym bardziej – to raz. Dwa – lokalne zwyczaje są z pewnością godne szacunku, tyle że ja bardzo nie lubię być zdobywana, bo to się później mści na kobiecie. Proszę mi uwierzyć na słowo – chcę tylko powiedzieć „dziękuję”. Jeśli mi pan to ułatwi, usłyszysz pan to samo słowo.
- Szanowna pani, bardzo żałuję, ale numery telefoniczne moich klientów to dla mnie świętość.
- Ależ pan zasadniczy. Wczoraj rozmawiał pan przy barze z bardzo wysokim mężczyzną. Musicie się znać od wielu lat, sądząc po gestach, które między sobą wymienialiście.
- Gestach?
- Nie klepie się po plecach obcego człowieka, prawda? I nie śmieje się w sposób sugerujący wspólne przeżycia. A już na pewno nie pokazuje pliku zdjęć i nie komentuje ich tak żywo.
- Gratuluję spostrzegawczości. Znam Pedra przynajmniej od pięciu lat. I to rzeczywiście z nim wczoraj rozmawiałem. Jednak odpowiedź dalej brzmi: nie.
- Proszę sobie w takim razie zapisać mój telefon. Może go pan przekazać swojemu przyjacielowi?
- Co za uparta kobieta! – Właściciel La Torre wyjął z kieszeni ołówek i bloczek do spisywania zamówień. Ewa szybko podyktowała numer. Potem uśmiechnęła się i pożegnała, podając rękę. Mężczyzna z zażenowaniem odwzajemnił uścisk.
- Chciałby mi pan coś powiedzieć?
- Popęlnia pani błąd, starając się odnaleźć Pedra.
- Nie lubię mieć długów, a tak czułabym się, nie dziękując mu. Nie przekonuje to pana?
- Nie w tym rzecz. Myślę tylko, że człowiek, którego pani szuka, z pewnością nie czeka na żaden gest z pani strony.
- Bardzo możliwe. Pan go zna – ja nie. Nie interesują mnie ani jakiegokolwiek jego oczekiwania, ani ich brak. Nie chciałabym nikogo rozczarować swoim egoizmem, ale rozmawiam z panem ze względu na własne przekonania.
- Często opisuje pani proste sytuacje w tak skomplikowany sposób? To może być dla drugiej strony męczące.
- Tylko wtedy, gdy mam na to ochotę. I – proszę mi wybaczyć szczerą –

nieszczególną wagę przykładam do oceny swojej osoby, zwłaszcza wtedy, gdy dokonuje jej ktoś, kogo nie znam.

– Ma pani rację, ten komentarz był zbyteczny. Proszę mi wybaczyć. Nie miałem złych intencji. Po prostu nieczęsto mam do czynienia z kobietami pani pokroju.

– Przyjmuję przeprosiny. – Mówiąc to, Ewa miała pewność, że właściciel La Torre przekaze Piotrowi numer jej telefonu. Co więcej – że opisze ją samą w sposób, który może zaintrygować jego przyjaciela. Dalsza obecność w tym lokalu wydała się jej całkowicie bezcelowa.

– Bardzo dziękuję. I liczę na to, że mnie pan nie zawiedzie.

– Odważna z pani kobieta. Telefon przekażę, reszta zależy do Pedra.

– Doceniam komplement, choć był zbyteczny. – Tym razem Ewa tylko skinęła głową na pożegnanie. Opuszczała La Torre z przekonaniem, że lubi siebie coraz bardziej i coraz łatwiej przychodzi jej bronić własnego pomysłu na życie.

Nie liczyła na to, że Piotr do niej zadzwoni ani tym bardziej – że nawet jeśli się na to zdecyduje – szybko taki ruch wykona. Oczekiwania prowadziły do rozczarowań, z czego Ewa doskonale zdawała sobie sprawę. Poza tym przestała również chcieć się oszukiwać, choć potrafiła to robić w iście mistrzowski sposób. Uczyła się życia takim, jakie ono jest naprawdę. Nie wspominając o tym, że dopiero niedawno uznała poznawanie kogoś za eskapadę nad wyraz pożyteczną – zadawanie pytań, wysłuchiwanie odpowiedzi pozwalało jej unikać błędów, których miała na swoim koncie aż nadto.

W poniedziałek wynajęła motorówkę. Pływała samotnie kilka godzin, zanim znalazła zatoczkę wystarczająco osłoniętą od ludzkich oczu, by móc swobodnie zrzucić z siebie ubranie i oddać we władanie promieniom słońca. W ostatnich latach w Polsce było go dość sporo, jednak dla niej – wielbicielki równika – ciągle zbyt mało. Zgasiła silnik, wyrzuciła za burtę kotwicę, po drabince zeszła do wody. Pływała chwilę, badając dno. Było na tyle głęboko, by łódź nie utknęła na mieliźnie. I na tyle płytko, by mogła przenieść kilka rzeczy na plażę. Rozpostarła na piasku nienaturalnie duży ręcznik. Położyła się na nim wygodnie i zamknęła oczy... Morska bryza delikatnie pieściła jej umęczone ciało, figlarnie muskając nawet te jego partie, które zdawały się najbardziej ukryte. W załamaniach nadgarstków po chwili dostrzegła kropelki potu. Większa stróżka wypływała powoli spod zgiętego kolana. Dotknęła jej palcami. Nigdy nie byłam tak słona, pomyślała wycierając je o usta. Wyobraźnia tym razem również oddawała się błogiemu lenistwu. Nie szalały w niej obrazy z przeszłości, nie pojawiały się spiętrzone do granic możliwości plany. Była tu i teraz. Po raz pierwszy w życiu udało się jej dostrzec teraźniejszość... W charakterystyczny dla siebie sposób zachłysnęła się dosłownością tej chwili, lecz potem to uczucie ustąpiło miejsca kontemplacji radości, jaką daje wsłuchiwanie się w nieobecność innych ludzi. Zawsze lubiła spędzać czas tylko w swoim towarzystwie, lecz dopiero teraz taka sytuacja pojawiła się na skutek jej świadomego wyboru. Wyłączyła telefon, wcześniej zdjęła zegarek i zostawiła go na pokładzie motorówki. Przekreśliła pokrętło radia – teraz miała pewność, że nikt i nic nie przeszkodzi jej zatopić się w myślach, które tu i teraz zajęły centralne miejsce. Wsłuchiwanie się w szum fal nie wymagało

odwagi, ale oglądanie świata spod przymkniętych powiek – już tak. Był inny, niż ten, w którym żyła na co dzień. Spokojny i nudny, lecz w nieznanym jej dotychczas sposób. Przyjemny...

Tego dnia słońce po raz kolejny wyciągało ku światu swe drapieżne ramiona. Ewa weszła do wody po godzinie spędzonej na stopniowym uleganiu ich sile. Stada tych żółciutkich rybek przepływały między jej nogami, wykręcając zabawne piruety, gdy starała się złapać choć jedną ich przedstawicielkę. Kilka kroków dalej okazy były już trochę większe, choć prędkością poruszania się po przybrzeżnych płycznach nie ustępowały mniejszym koleżankom. Zanurzyła się, po chwili odpłynęła dobrych kilkadziesiąt metrów od brzegu. Od dzieciństwa potrafiła nurkować z otwartymi oczami, lecz tym razem założyła maskę, bojąc się, że słona woda podrażni spojówki. Nic nie uspokajało jej tak, jak czas leniwie płynący w podmorskich głębinach. Przyglądała się krabowi przemierzającemu dno w poszukiwaniu przekąski – pora dnia tłumaczyła szybsze niż zazwyczaj tempo jego wędrówki. Nieco dalej dostrzegła dwie dorady. Przytulały się do siebie namiętnie tylko po to, by za chwilę rozdzielić się i odpłynąć samotnie gdzieś daleko. Ten sekwencyjny taniec trwał kilka minut. Ewa uwielbiała zbierać muszle od zawsze. Na dnie morza wyglądały jak monety zgubione przez nieuważnego przechodnia. Zostawiała te, które były jeszcze zamieszkałe. Puste pieczołowicie zbierała i odnosiła na brzeg. Tym razem żniwa musiały trwać bardzo długo, sądząc po niskiej pozycji słońca na horyzoncie. W końcu wyszła z wody, zebrała rzeczy, przeniosła wszystko na motorówkę. Po chwili wytarła się i przebrała. Jednak zanim zapaliła silnik, omiotła wzrokiem miejsce, które dało jej tyle ukojenia. Zmierzch zapadał powoli, krawędzie pobliskich skał powoli zatracaly ostrość. Mewy zleciały się do zatoki, szukając miejsca na niezakłócony gwarem ludzkich rozmów sen.

Opuszczala to miejsce z żalem i bez nadziei, że do niego wróci.

Do portu wpłynęła o zmroku. Spakowała się, zarzuciła cumę i kotwicę. Potem szybko zesła z pokładu, znalazła właściciela motorówki, uiściła stosowną opłatę i wróciła do hotelu.

Była szczęśliwa, lecz potwornie zmęczona. Nie miała ochoty na jedzenie, do pokoju zamówiła kieliszek wina i dzbanek lekko schłodzonej wody. Wyrzała przez okno, chcąc po raz kolejny nacieszyć się wspomnieniem pustej o tej porze plaży. Usiadła na fotelu, oparła nogi o ścianę. Po chwili jej wzrok padł na stół. Leżała na nim biała, niezaadresowana koperta. Nie przypominała sobie, by zostawiła tam cokolwiek. Poza tym nie miała zwyczaju pisywać z wakacji do nikogo – tym bardziej w obecnej sytuacji. Z tym większą ciekawością wzięła kopertę do ręki i otworzyła. Ze środka wysunęła się złożona na pół gładka karta. Zdecydowany charakter pisma... Smukłe litery nieznacznie pochylające się w prawą stronę. Harmonijne odstępy między słowami, zdania poukładane jedno pod drugim, w identycznej odległości. Wszystko to mogłoby świadczyć, że autor listu jest człowiekiem biegłym nie tylko w sztuce epistolografii, choć nie mogła tego wykluczyć. Wydało się jej, że posiadał biegłość przekuwania myśli w słowa w sposób przypominający literaturę piękną dziewiętnastego stulecia. Zaczęła czytać.

*Szanowna Pani!*

*Doniesiono mi, że szuka Pani kontaktu z osobą, dzięki której odzyskała niezwykle cenny dla niej przedmiot. Jeśli jest to prawdą, proszę nie czuć wdzięczności. Po pierwsze zdarzenie tak błahe nie jest jej godne. Po drugie i ważniejsze – wdzięczność wywołuje dziś dość niejednoznaczne skojarzenia, może więc prowadzić w te zaułki ludzkiej psychiki, po których błędzenie bywa niebezpieczne. Nie chciałbym marnować Pani cennego czasu na tłumaczenie, co doprowadziło mnie do tego wniosku. Tym bardziej że nie mam przekonania, czy zechciałaby zrozumieć pobudki, które kierowały mną w trakcie pisania tego listu.*

*Jeśli jednak jest Pani osobą upartą i nalega na przyjęcie podziękowania – tak się stanie. Proszę jednak mnie nie szukać, nie prosić nikogo o mój telefon, swojego też nikomu nie dawać – tym bardziej nieznanym Pani osobom.*

*Piotr*

Ewa długo wpatrywała się w list. Zaskoczył ją. Zaczęła się zastanawiać, kim jest mężczyzna ośmielający się wtargnąć do jej hotelowego pokoju. Szaleńcem ostrzegającym swoje ofiary? Przestępcą, którego ujmuje ich pozorna naiwność – dlatego stara się za wszelką cenę wyprzedzić bieg wypadków i odciągnąć od siebie ich uwagę? A może pierwszym z brzegu żigolakiem, który za cel stawia sobie zdobywanie kobiet sprawiających wrażenie niedostępnych? Lista odpowiedzi zaczęła się wydłużać. Znała ten analityczny mechanizm na pamięć, wiedziała więc, że odpowiedzi mogą pojawić się dopiero pod wpływem zdarzeń – o ile nastąpią. Intuicja podpowiadała jej na razie, że żadna z tych, które krążyły jej w głowie owego wieczoru, nie jest prawdziwa.

Poczuła przemożną potrzebę snu. Tym razem przyszedł niespodziewanie szybko. Wiedziała, że jutro musi być formie – czekała ją bowiem kolejna rozmowa z Martinezem. Jednak dziś nie miała ochoty się do niej przygotowywać. Nie miała też siły dłużej roztrząsać zaskakującej końcówki tego dnia.

Ewa obudziła się wypoczęta. Z łóżka wstała, z zaciekawieniem przyglądając się własnemu ciału. Zaledwie kilka dni wystarczyło, by pokryło się złotą opalenizną. Twarz przestawała powoli zdradzać oznaki chronicznego zmęczenia. Spojrzała w lustro i uśmiechnęła się.

Zegarek wskazywał siódmą. O tej godzinie powinni już serwować kawę. Nie miała jednak ochoty schodzić na dół, zamówiła więc do pokoju *cortado*. Kelner pojawił się dopiero pół godziny później – wyraźnie zdziwiony, że Ewa nadal nie szuka towarzystwa hotelowych gości.

– Seniora chyba ludzi nie lubi? – jego ciepły uśmiech nieśmiało zapraszał do rozmowy.

– W zasadzie lubię. Ale nie zawsze. Dziś – tak. Jednak nie w tym momencie. Ma pan chwilę?

– To zależy na co – odparł, a w jego głosie wyczuła kolejną zachętę.

– Widzi pan, zastanawiam się, czy Palacio to dobry hotel?

– Oczywiście. Goście nas chwalą, polecają kolejnym.

– Nie o to mi chodzi. Czy jest możliwe, żeby ktoś obcy wchodził do pokoju pod nieobecność turysty?

– Oczywiście. Pokoje są przecież codziennie sprzątane. Nie chcemy nikomu przeszkadzać, szanujemy prywatność tych, którzy zaszczycili nas swoją obecnością.

– Nie miałam na myśli nikogo z obsługi... – Ewa zawiesiła na chwilę głos. Ten drobny zabieg zaniepokoił kelnera na tyle, że zaczął się nerwowo rozglądać po pokoju.

– Seniora, czy coś się stało?

– W zasadzie nie. Choć być może tak. W każdym razie pomyślałam, że zapytam właśnie pana.

– Mnie? Dlaczego?

– Dobrze panu z oczu patrzy. Zakładałabym, że stoi przede mną nie tylko pracownik tego hotelu, ale przede wszystkim porządny człowiek. – Mówiąc to, Ewa posłała kelnerowi jeden ze swoich najbardziej rozbajających uśmiechów.

– Seniora, to dla mnie wielki komplement. Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że czuje się pani u nas bezpiecznie – dodał.

– Zawsze czuję się bezpiecznie. Taki mam zawód. Chyba czekają na pana w restauracji, prawda?

– No tak. Już mnie nie ma.

Kelner natychmiast skierował się w stronę wyjścia. Ewę zastanowiło jednak, że za drzwiami znalazł się w sekundę. Hiszpanie spieszą się tylko wtedy, gdy mają ku temu wyraźne powody.

Wyjrzała przez okno, trzymając w dłoni szklaneczkę ulubionego napoju. Choć ranek był wczesny, słońce już prześlizgiwało się po ścianach sąsiednich budynków. Usiadła przy stole i ponownie wzięła do ręki tajemniczy list. Odpowiedzi na zadane wczoraj pytanie nie pojawiły się we śnie, rozmowa z kelnerem wniosła równie niewiele. Chociaż...

Po chwili Ewa wyjęła z torebki niewielki notesik i wieczne pióro. Nosiła w niej także długopis i ołówek – to wszystko na wypadek, gdyby któryś odmówił posłuszeństwa i przestał pisać – lecz ono wydało się jej narzędziem najwłaściwszym. Wyrwała kartkę i położyła przed sobą na stole. Nie zastanawiała się nawet przez chwilę, jaką treść przelać na wyrwany kawałek papieru.

*Szanowny Panie!*

*Decyzja o tym, z kim mam ochotę nawiązać kontakt, zawsze należy do mnie. Wynika to z mojego charakteru, ale także z wykonywanego przez mnie zawodu. Zastanawiam się więc, co miałyby mnie skłonić do zmiany tych przyzwyczajzeń. Nieuzgodnioną wcześniej wizytę w moim pokoju mogłabym zgłosić na policję, jednak na razie uznam ją za impertynencję. Jak Pan wie, w La Torre bywam dość regularnie, więc najprostszym rozwiązaniem wydaje się pozostawienie listu właśnie tam. Nie wspomnę i o tym, że mógł Pan*



*szepnąć kilka słów właścicielowi tej kawiarni. To miły człowiek, z pewnością bym mi je przekazał. Dlaczego więc zadał Pan sobie tyle trudu i odwiedził mnie osobiście? I naraził na kłopoty, gdybym postanowiła się zdarzeniem z wczorajszego dnia podzielić ze stróżami miejscowego prawa? Mam nadzieję, że będzie Pan na tyle odważny, by odpowiedzieć na te kilka pytań.*

Ewa

Skończywszy, włożyła list do starej koperty, i położyła w tym samym miejscu, w którym ją znalazła. Następnie wyjęła laptopa i na module telefonu satelitarnego wystukała numer Martineza.

– To ty?

– Któż by inny. Dobrze się bawisz? – zapytał zniecierpliwiony.

– Nie bawię się, tylko odpoczywam. Jak nasze sprawy?

– Nie ma żadnych naszych spraw. – Stanowczy ton jego głosu zdziwił ją.

– Za dobrze ci płacę, byś odzywał się do mnie w ten sposób. – Ewa potrafiła w jednej chwili przeistoczyć się w kobietą tak zasadniczą, że stawało się to bardzo nieprzyjemne dla rozmówcy.

– Nie dostałem jeszcze od ciebie ani centa – to raz. Dwa – czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jakie konsekwencje wywołało twoje zniknięcie? – warknął Martinez.

– Oczywiście, że nie. Tym bardziej że nie powinno wywołać żadnych. Jestem zmęczona, muszę odpocząć. Nic więcej.

– Anna odchodzi od zmysłów. Zrobiła to, czego się spodziewałem. A lista pasażerów nie kłamie. Ostrzegałem cię od samego początku. Twoja była przyjaciółka przetrząsa teraz dane linii lotniczych z dnia twojego wyjazdu. Znalezienie twojego nazwiska jest tylko kwestią czasu. – Tym razem był naprawdę wściekły.

– Nie doceniasz mnie i zaczyna mnie to martwić. – Ewa mówiła spokojnym, chłodnym tonem.

– Wyjechałaś na jeden z paszportów, które sam ci załatwiłem. Zgadza się? Więc nic nie stoi na przeszkodzie, bym podał Annie wszystkie twoje nazwiska i imiona, które pieczołowicie dobieraliśmy przez tyle lat.

– A jednak nie doceniasz mnie nadal. Jaka szkoda. – Ewa westchnęła znudzona. Już miała odłożyć słuchawkę, gdy jej uwagę przykuł dość nieznaczący z pozoru szczegół.

– Często wspominasz jej imię. Za często. I jesteś nadmiernie pobudzony tą sytuacją.

– Czemu cię to dziwi? Anna każdego dnia zalewa się łzami. Wspomina cię tak ciepło i czule. Jak mogłaś jej to zrobić? Poza tym zaufała ci, zainwestowała w ciebie tyle pieniędzy! – Teraz zaczął krzyczeć. – Jesteś okrutna!

– Dobrze powiedziane. „Zainwestowała”... Nie powinna robić z mojego zniknięcia aż takiej tragedii, bo zawsze miała nosa do ludzi. Jej inwestycje zawsze się zwracały i będą zwracać. A dla ciebie mam następującą radę: nie wchodź w tę historię

jak w masło, bo za kilka miesięcy będziesz żałował. I płakał jak bóbr. Odezwę się. –  
Zanim Ewa odłożyła słuchawkę po wypowiedzeniu ostatniego zdania, jeszcze przez sekundę dobiegały z niej wrzaski Martineza.

Anna nie była dla Ewy niespodzianką od kilku miesięcy.

## ROZDZIAŁ 4 MARTINEZ

Piętnastego sierpnia w Zatoce Malagijskiej pojawiła się mgła. Szara, gęsta i nieruchoma, wypełniła szczerlnie każdy centymetr kwadratowy plaży przed okiennicami domków rybackich w podmiejskiej dzielnicy El Palo. Morze zniknęło za kurtyną ułożonych poziomo i jeden przy drugim kęsów cukrowej waty. *Taró* – tak nazwano to zjawisko meteorologiczne – było znane miejscowej ludności od czasów najazdów Fenicjan. Rozmach niektórych obiektów sztuki architektonicznej tej części Andaluzji oraz bliskość północnego wybrzeża Afryki – istotne z punktu widzenia militarnych ambicji przywódców Nowego Świata – przyciągały w te rejony gości wszelkiej proveniencji. Intencje tych gości bywały jednak różne, a *Taró* potrafił skutecznie ochronić miejscowe osadnictwo przez zachłannością sąsiadów.

Dzień wcześniej Ewa postanowiła na krótko przenieść się z Hotelu Palacio do jednego z takich domków. W niewielkim, jednopiętrowym budynku wciśniętym pod numerem 55 w ulicę Del Mar nie było żadnych wygod. Na górze wydzielono niewielki pokój z łazienką i kuchenną wnęką. Na podłodze ułożono ceramiczne kafle. Łóżko okrywała szydełkowana kapa. Wszędzie czysto i skromnie. Na parterze w lecie pomieszkiwała Beatriz – właścicielka posesji. Nikt nie domyśliłby się, że Ewa – przyzwyczajona do cen, wytworności i prestiżu najdroższych enklaw turystycznych Europy Zachodniej – wybierze tak surowe wnętrze. Zabieg był w pełni przemyślany. Ewie zależało na ciszy. Zadanie, którego się podjęła, wymagało skupienia i cierpliwości – niezbędnych do połączenia nieznanych na tym etapie śledztwa faktów oraz sformułowania pytań, które mogły się pojawić po ich analizie.

*Taró* to siła. Daje kryjącemu się za nią adwersarzowi ten typ przewagi, który – choć nigdy nie uczy pokory – zmusza drugą stronę do intelektualnej dyscypliny, zamieniając coś, co pozornie może przypominać przygodę, w serię działań zmierzających do ściśle określonego celu. Nie inaczej było tym razem.

Ewa rozsunała drewniane żaluzje. Kłębki waty zaczęły wpełzać do środka. Zatrzymywały się, napotykając opór ścian i kilku mebli wstawionych przez Beatriz dla wygody turysty. Gdy w mieszkaniu zabrakło dla nich miejsca, szukały ujścia w szczelinach drzwi i dziurkach od klucza. Ewa przyglądała się wędrówce materii nieożywionej z ciekawością. Otoczenie podarowało jej obrazową metaforę sytuacji, w której się znalazła. Wokół aż gęsto od niejasności o źródłach znanych od lat. Klarowna perspektywa pojawi się dopiero na skutek zmiany warunków pogodowych. A w tym nie pomoże przesuwanie mgielnej waty w żadną ze stron. Rozwiązanie zagadki zniknięcia małżeństwa Majchrzaków zależy od frontu atmosferycznego i pojawienia się słońca. Nie da się tego w żaden sposób przyspieszyć. Wytrawny znawca *Taró* wie jednak, że mgła utrzymuje się najdłużej do wczesnego popołudnia.

Trzeba czekać.

Ewa leżała na łóżku, układając w głowie listę osób z najbliższego otoczenia Hugo Cháveza, którzy mogli jej pomóc w odnalezieniu zaginionych Polaków. Nie było wśród nich ludzi z pierwszej linii frontu politycznego *el comandante*. Ani tych, którzy zajmowali eksponowane stanowiska w administracji wenezuelskiego polityka. Ewa szukała postaci, które cieszyły się szacunkiem własnych środowisk ze względu na wiedzę, postawę i wyznawane wartości. Chávez wierzył w siłę napięcia powstałego w społecznych dołach, ale otaczał osobami, których światopogląd weryfikowały racjonalne przesłanki. To one zajmowały wysokie miejsca na liście kontaktów niezbędnych do poruszania się po mapie skomplikowanych powiązań łączących zwykłych obywateli Wenezueli ze światem miejscowych oligarchów, zarówno politycznych, jak i finansowych.

Zestawienie otwierał Miguel Sepulveda, oficer wywiadu wenezuelskiego, rdzenny mieszkaniec Caracas. Portugalczyk z pochodzenia, każdą wolną chwilę spędzał w stajniach stanu Carabobo, gdzie bawił w poszukiwaniu najszybszych i najmądrzejszych koni mogących wygrywać w każdej jeździeckiej konkurencji. Charakteryzowała go brawurowa inteligencja i spostrzegawczość – nie umykały jego uwadze szczegóły nawet tak błahe, jak rozmiar rękawiczek, które zamożne Wenezuelki miały zwyczaj zakładać, gdy tylko temperatura w większych aglomeracjach spadała poniżej plus dziesięciu stopni Celsjusza.

Nie zabrakło też Facundo Matamorosa, absolwenta wydziału matematyki stosowanej na Centralnym Uniwersytecie Wenezueli, specjalisty od szyfrowania i algorytmowania. Jowialny człowieczek o poczciwej aparycji, zachęcającej każdego do próby nawiązania z nim kontaktu. Typ gryziopórka wyzwolonego z jarzma naukowej dyscypliny, który łaknął słodczy kobiecego ciała niemal od momentu narodzin. Niestety bezskutecznie. Dzieciństwo spędził w Barquisimeto, w ochronie prowadzonej przez siostry karmelitki. Zakonnice dzieliły czas między opiekę nad sierotami a przygotowaniami do święta Boskiej Pasterki. Centralnym punktem tej uroczystości była procesja z udziałem kilkuset tysięcy wiernych, którzy przenosili figurę Matki Bożej z Dzieciątkiem z kościoła Santa Rosa do katedry Matki Boskiej z Góry Karmel. Później Facundo także nie wiodło się lepiej. Każda dama – nawet jeśli nie przywdziała jeszcze habitu – spojrzawszy na niego, delikatnie przysłaniała usta dłonią, by choć trochę ukryć zakłopotanie. Rodzina Matamorosa wywodziła się ze środowiska bardzo religijnego. Szacunek do wiary odziedziczyła po świętej Eulalii, dalekiej praprzodkini żeńskiej linii rodu. Pobożna męczenniczka nie wyrzekła się miłości do Chrystusa, mimo najokrutniejszych i najbardziej wymyślnych tortur zadawanych przez Dacjana – pogromcę chrześcijan, wysłanego do Barcelony przez cesarzy Dioklecjana i Maksymiliana w wieku III naszej ery. Facundo znał na pamięć historię krewnej. Niezlomność Eulalii była dla niego wzorem w chwilach największego upokorzenia, zawsze związanego z odrzuceniem przez kobiety. Trudno, zwykł wtedy mawiać do siebie. I trwał – niczym kapibara, która skrycie marzy o tym, by inni dostrzegli w niej drapieżnego samca pumy.

Listę zamykał Veruska Rosales – pilot samolotów klasy turystycznej, z którego

umiejętności korzystali nierzadko dowódcy wenezuelskich partyzantów. Świetnie wyszkolony, uważny, doskonale znał nawet najdziksze zakątki amazońskiej dżungli. Zawsze docierał pod wskazany adres. I nigdy się nie spóźniał, co miało niebagatelne znaczenie w kraju, w którym czas od wieków płynął z prędkością odwrotną do tej, którą znali mieszkańcy Europy Zachodniej.

No to mamy trójkę. Plus Martinez. Oraz ja. Taki zestaw osobowości gwarantuje starcia od pierwszych chwil współpracy. Nie damy rady – pomyślała Ewa, przymykając oczy. Spojrzała na zegarek. W Maladze dochodziła właśnie ósma rano, więc zegary w Caracas musiały wskazywać drugą nad ranem. Idealny moment na krótką pogawędkę, postanowiła, wykręcając numer wenezuelskiego pomocnika.

– Martinez?

– Wiesz, która jest godzina? – zainteresowany odebrał telefon głosem mężczyzny, którego od zakończenia podboju świata i wbicia na jego koronie flagi zwycięstwa dzieliły zaledwie marne sekundy. Zwłaszcza jeśli ta korona znajdowała się teraz na ciele żeńskiej przedstawicielki ssaków naczelnych, coraz odważniej kwestionującej obyczajową skromność własnej płci.

– W pracy jesteś. Przeszkadzam w polowaniu?

– Rozmowy z tobą nie mają sobie równych. Dajesz o sobie znać w środku nocy, oczekując, że przynajmniej od dobrych kilku godzin wbijam oczy w telefon. Nie jestem myśliwym. Na polowania nie chadzam nawet rekreacyjnie.

– Jesteś myśliwym wytrawnym i bardzo cierpliwym. Tropisz swoje ofiary z gorliwością godną średniowiecznego inkwizytora. Nie przebierasz w środkach. Ba! Ulepszasz je za każdym razem, gdy wspólnie pracujemy. Twoja postawa budzi we mnie szczerą podziw.

– Ale nie aż taki, by pozwolić mi się wyspać! – irytacja Martineza rosła z każdym słowem. – Czego chcesz?

– Przygotowałam listę osób, bez których pomocy nie uda się rozpocząć poszukiwań. Musimy pogadać.

– To nie może poczekać do rana?

– Mogłoby, gdyby Majchrzakowie zniknęli gdzieś w Warszawie. Niestety wybrali sobie inną szerokość geograficzną. Za kilka dni będziemy szukać tylko ciał. Dziś mamy jeszcze szansę znaleźć ich żywych.

– Zapewne. Tyle że zbyt racjonalne. Ci ludzie nie chcą dać się odnaleźć. Albo od dawna nie żyją. Delta Orinoko to teren bardzo niebezpieczny. Indianie, którzy ją zamieszkują, nie darzą białych szczególnym szacunkiem. Nie dążą do spotkania z nimi, ale też nie unikają ich w przesadny sposób. Od stuleci przekazują sobie opowieści, w których twoi praprzodkowie przedstawiani są w dość ponurych barwach. Największym kapitałem rdzennej ludności tych obszarów jest tradycja. Zwłaszcza sam język, bo mowa Warao wykazuje cechy izolatu ze względu na brak udowodnionych powiązań genetycznych z innymi językami. Tych ludzi ukształtowały silna tożsamość plemienna, poczucie przynależności do własnej kultury oraz świadomość istnienia niewidzialnej granicy dzielącej ich świat od aroganckiego

Zachodu. – Martinez nie miał zamiaru ulec Ewie. Tym bardziej że obok niego na łóżku leżała Dauna Ahijadi, dumna z własnego wyemancypowania przedstawicielka plemienia Warao.

– Martinez, ja się nie interesuję antropologią. Ani prywatnie, ani zawodowo. Posłuchaj mnie uważnie. Miguel Sepulveda, Facundo Matamoros, Veruska Rosales. Coś ci mówią te nazwiska?

– Owszem. Wybitni przedstawiciele swojego gatunku. Każdy bez wyjątku. Po co ci oni?

– A jednak mnie nie słuchasz. Jutro do piętnastej muszę wiedzieć, czy ci trzej dżentelmeni pomogą nam wskazać ostatnie miejsca pobytu Majchrzaków.

– Żadnego z nich nie ma w kraju. A gdyby nawet okazało się to nieprawdą, pozyskanie ich zainteresowania może być dość kosztowne.

– Nie zapłacę ci więcej ani centa. Schłodzenie ambicji finansowych tych panów pozostawiam twojej szanownej osobie. Załatw to do jutra. Zadzwoń. – W słuchawce zagrzmiała cisza. Ewa doskonale знаła południowoamerykańskie tradycje robienia interesów i spodziewała się takiej prośby. Podejrzewała jednak, że potrzeby finansowe Martineza nie mają nic wspólnego z kosztem pozyskania wsparcia otoczenia Cháveza. To ideowcy ciekawi świata, którzy mogli chcieć coś zrobić za darmo – dla samej tylko przyjemności rozwikłania kryminalnej zagadki. Ewa nie miała zamiaru płacić za kolejną wizytę Martineza w Warszawie.

W szczycie sezonu turystycznego, a zwłaszcza w sierpniu, turyści przebywający w Maladze stanowili trzykrotność liczby rdzennych mieszkańców miasta. Ściągali tu wielbienie przyjemności celebrowanych w trójkącie odległości pomiędzy plażą, hotelem oraz eldorado z pamiątkami rozpościerającym się wzdłuż nadmorskiej promenady. Nie brakowało także grup spragnionych kontaktu z lokalną kulturą, na których intelektualne ambicje liczyli rezydenci międzynarodowych biur podróży. Sprzedawali im wycieczki, a wraz z nimi obietnicę dostępu do sztuki i tradycji, które przez stulecia stanowiły punkt odniesienia dla mieszkańców chłodniejszych części europejskiego kontynentu. Najmniej licznie do stolicy Wybrzeża Słońca przybywali latem samotnicy marzący o zdobyciu szczytów Sierra Nevada oraz wielbienie wycieczek rowerowych, którzy przemylkali po górskich bezdrożach, rozgrzanych latem do trudnych do zniesienia temperatur. Ewa nie zaliczała się do żadnej z tych kategorii. Nie miała w zwyczaju przynależać do nikogo lub niczego, zwłaszcza że typologia grup turystów miała charakter umowny i tymczasowy. Zastanawiało ją bardziej to, dlaczego stosunkowo niewiele osób interesowało się – choćby symbolicznie – historią przekrwionej słońcem stolicy Andaluzji. Wyglądony przez czas miejski bruk opowiadał przecież czyjaś historię. Okiennice malagijskich kamienic skrywały przed szukającymi cienia oczyma przechodnia tajemnice przeznaczone tylko dla tych, którzy codziennie otwierali je lub zamykali. Od wewnątrz. Pierwsi mieszkańcy zawitali do Malagi w ósmym stuleciu przed naszą erą. I od tamtej pory płataniną śródmiejskich ulic przelewało się morze ludzkich głów spragnionych pokarmu dla ciała i duszy. Ulice prowadziły w określonym kierunku lub przechodziły jedna w drugą, dając przechodniowi do zrozumienia, że droga bywa

czasami istotniejsza niż osiągnięcie celu.

Cel Ewy był jasny. A droga do niego musiała być krótka ze względu na czas, który działał na niekorzyść zaginionych Polaków.

Ewa otworzyła okno. Mgła zniknęła, jednak powietrze pozostało lepkie i ciężkie. Wzrok poprowadził redaktor Mulner w prawą stronę, dokładnie w kierunku portowych dźwigów. Gdyby wyszła na samą plażę, na horyzoncie zobaczyłaby po chwili wyraźną bryłę *la faroli*. Malagijska latarnia morska od zawsze była kobietą, należąc do elitarnego grona trzech hiszpańskich obiektów tego typu, które zachowały żeński rodzaj gramatyczny, mimo upływu kilku wieków od momentu ich wzniesienia. *La farola* odcinała się od morskiego tła białą, skromną fasadą. Biła od niej siła konsekwencji i pewnego rodzaju niezłomność. Przez ostatnich dwieście lat oświetlała drogę wpływającym do portu statkom i rybackim kutrom. W tym samym czasie stała się niemyym świadkiem rozmów, które toczyli między sobą językoznawcy o nabożnym stosunku do reguł oraz zwolennicy teorii definiującej język jako narzędzie wymyślone do opisu świata w sposób odpowiadający aktualnemu stanowi świadomości jego użytkowników. Ci pierwsi twierdzili, że *el faro* – słowo rodzaju męskiego – spełnia wszystkie wymagania rzeczownika stworzonego, by nazwać latarnię morską. Natomiast ci drudzy wskazywali się tradycji. *La farola* została w tysiąc siedemset siedemnastym roku zbudowana z drewna. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku latarnia uległa zniszczeniu na skutek trzęsienia ziemi, które nawiedziło całą Andaluzję. Odbudowano ją z cegieł. To zabawne, pomyślała Ewa, kobiecość kojarzy się z pozorną nietrwałością najbardziej naturalnego budulca na świecie. Wymiana drewna na cegłę oznacza dla Hiszpanów zmianę gramatycznej tożsamości przedmiotu ich rozważań.

Ewa cofnęła się do pokoju. Postanowiła wynająć rybacki domek na dłużej. Choć w ciągu dnia na plaży i sąsiednich uliczkach panował niemiłosierny gwar, wieczorem zapadała cisza – mimo huku fal, uderzających o brzeg. Wody Zatoki Malagijskiej były zazwyczaj spokojne. Jednak monotonia i powtarzalność dźwięku powstającego w momencie kolizji wody z łodem wzmagają jego siłę. Idealne tło dla rozmów z Piotrem. O ile kiedykolwiek do nich dojdzie, pomyślała Ewa, siadając na łóżku. Wyjęła stację satelitarną i wykręciła numer Martineza.

– Co już wiemy?

– Nie życzyłeś sobie nigdy żadnego MY, więc do tego pojedynku stanąłem sam.

– Martinez, zawsze działasz w tandemie, choć twoją specjalnością jest tercet lub figury o większej liczbie wierzchołków. Co więcej, nigdy nie tknąłeś żadnej sprawy, nie widząc wcześniej potwierdzenia przelewu na konto twoje lub flamy, która szukała w tobie – dosłownie lub w przenośni – ukojenia po kolejnej małżeńskiej klęsce. Bądź łaskaw oszczędzić mi wyrzutów. Tym bardziej że nie znajdują żadnego uzasadnienia w faktach.

– Sepulveda chciałby wiedzieć coś więcej. Matamoros twierdzi, że to, co opisałem mu jako zniknięcie, nie jest niczym innym, jak nieudolną próbą ukrycia prawdziwych pobudek państwa Majchrzaków. Rosales jest jeszcze bardziej podejrzliwy. Jego zdaniem w rejony delty Orinoko zapuszczają się tylko ci, którzy mają ku temu bardzo

wyraźny powód. Co więcej – powód ten najczęściej bywa dość nieoczywisty i stanowi sumę motywacji wynikającej z korzyści estetycznych, intelektualnych oraz finansowych, które daje pobyt w wenezuelskim interiorze.

– Zatem wiemy całkiem sporo. – Ewa nie była zaskoczona. Współpraca z Martinezem nie należała do najłatwiejszych, ale dzięki jego znajomościom czas poszukiwań zawsze ulegał skróceniu do niezbędnego minimum. – Nie dziwi mnie sceptycyzm tych ludzi. Zastanawia natomiast, dlaczego każda z tych osób mówi w gruncie rzeczy to samo.

– Bo wybrałaś ich według tego samego klucza. Wytypowałaś ludzi powiązanych z Chávezem. Z jednej strony politycy tego kalibru często szukają ludzi różnych od siebie i ten warunek jest tu zachowany. Z drugiej zaś strony – chcą się przegłębiać w osobach ze swojego najbliższego otoczenia, mierząc w ten sposób poziom własnej wyjątkowości. Ludzie ci muszą być do pewnego stopnia do siebie podobni, ponieważ lustro, którego częścią się stają, daje prawdziwy obraz tylko wtedy, gdy jego struktura jest jednorodna.

– Kogo brakuje? – Ewa od lat prowokowała Martineza, obudowując proste pytania trudnym wstępem.

– Kobiet. – W słuchawce zapadła cisza. – Potrzebujesz różnych źródeł informacji. Kobiety widzą świat wielowymiarowo, potrafią interpretować informacje, których znaczenie jest dla mężczyzn niezrozumiałe lub nieistotne. Wybrałaś trzech doskonałych specjalistów. Niestety każdy z nich jest mistrzem tylko w swojej dziedzinie.

– Jak ma na imię pani, która przysłuchuje się tej rozmowie?

– Dauna Ahijadi. – Martinez strzelał celnie zawsze, gdy tylko mu na tym zależało. – Jest z Warao.

– Warao nie mają w zwyczaju wchodzić w relacje z białymi. Tym razem się pomyliłaś.

– Nie mówimy o relacjach, tylko o próbie zrozumienia i wykorzystania sieci lokalnych powiązań, o których Dauna zgodziła się opowiedzieć.

– Oszalałaś? Indianki są dumne i nieprzekupne.

– Owszem. Nie integrują się. Ja jestem dla nich za biały, ty też będziesz *gringa*. Ale niektóre mają ochotę wyjść poza plemienny schemat. Nie dlatego, żeby zyskać coś konkretnego w zamian. Mają nadzieję, że dzięki temu ich społeczność będzie lepiej rozumiana poza światem, do którego należą. I że może w końcu zostawimy ich w spokoju.

– Kim jest Dauna? – Ewę zaskoczył pomysł Martineza. Była pewna, że wrażenie, które zrobił na nim słowiański chłód Anny, nie pozwoli mu wbijać wzroku w kolejną kobietę. W tym założeniu tkwił błąd. Martinez kolekcjonował doświadczenia z kobietami, jak myśliwi krople krwi ofiar podczas rytualnego pokotu. Kiedyś usłyszał o tym zwyczaju od jednego z hiszpańskich myśliwych, którzy w towarzystwie polskich kolegów strzelali do zwierząt w Puszczy Boreckiej na północy Polski. Obraz przemówił mu do wyobraźni na tyle, by swobodnie dzielić się



nim nawet z przygodnie poznanymi osobami.

– Kobieta, która przemierza świat na latawcu. Jest wszędzie, lecz nigdy nie zostaje na zawsze. I nigdzie na dłużej.

– Pedro, porozmawiamy za kilka dni. – Ewa odłożyła słuchawkę. Rozejrzała się po pokoju. Tego dnia wykonała wszystkie punkty planu. Postanowiła przejść się po centrum Malagi przed powrotem do hotelu.

Przystanek w kierunku centrum miasta znajdował się blisko uliczki, przy której stał wynajęty przez Ewę rybacki domek. Nie czekała długo. Hiszpanie do perfekcji opanowali sztukę komunikacji miejskiej. Według rozkładu jazdy pociągów można było regulować zegarek. Autobusy także jeździły bardzo punktualnie. Na pokładzie linii 11 panował gwar. Malagijczycy udawali się na sjęstę, turyści kierowali się do hoteli na spóźnione obiady. Niektórzy specjalnie wyruszali w stronę śródmieścia, mając nadzieję na posiłek w jednej z lokalnych restauracji. Musieli jednak obejść się smakiem – obiad można było zjeść do czwartej po południu. Po tej godzinie kuchnie zamykano, a kucharze rozchodzili się do domów lub na spotkania z przyjaciółmi. Wracali wczesnym wieczorem, by do późnej nocy zadawała podniebienia klientów.

Autobus zatrzymał przy ulicy Larios, najbardziej reprezentacyjnym deptaku Malagi. Przeszklona fasada Hotelu Palacio odcinała się nowoczesną bryłą od zabytkowego centrum miasta. Ewa minęła hotel i udała się wprost do katedry, oddalonej od niego o niespełna kilkadziesiąt metrów. Katedra Wcielenia powstawała w latach 1528–1782 według planów Diego de Siloé, znakomitego przedstawiciela hiszpańskiego renesansu. Malagijczycy nazwali najważniejszy kościół w mieście *La Manquita* – Jednoręka. Nigdy go nie ukończono. Od kilkuset lat czeka na prawą wieżę, której budowę przerwano, ponieważ jeden z miejscowych biskupów przeznaczył zebrane na ten cel fundusze na wyprawę do dopiero co powstałych Stanów Zjednoczonych. Lub dziewczęta, w których towarzystwie miał spędzać czas wolny od kapłańskiej posługi. Malagijska katedra zastygła w niemym oczekiwaniu na dopełnienie swojej historii, co nigdy nie nastąpiło.

W historiach świętych wykutych przez Siloé na fasadzie budynku roilo się od szczegółów rozumiały tylko dla znawców religii katolickiej. Do wnętrza budynku prowadziły potężne schody, które Ewa pokonała nie bez trudu. Jej uwagę zwróciło ciepłe, żółtawe światło wkradające się przez wysokie okna, następnie przemieszczające się między załamaniami rzeźbionych dekoracji. Zadarła głowę. W pewnym momencie dostrzegła drewnianą kładkę zawieszoną wysoko między kolumnami podtrzymującymi strop budynku. Ktoś musiał nią niedawno przechodzić, bo kolebała się na boki. Rozejrzała się wokoło. O tej porze dnia, mimo szczytu sezonu, katedra nie cieszyła się szczególną popularnością. Tym bardziej zaskoczył Ewę obsypujący się z kładki zielonkawy pył. Gdyby w środku było pełno ludzi, mogłaby sądzić, że to ślad po jakimś zbłąkanym turyście. Teraz pomyślała sobie jednak, że w poszukiwaniu dodatkowych źródeł przychodów władze katedry postanowiły umożliwić bliższy kontakt z Bogiem tym wiernym, którym stąpanie po kamiennej posadzce kościoła przypominało o ziemskim charakterze spotkań z Absolutem. Lepszy kontakt mógł mieć miejsce tylko na pewnej wysokości i być

może wymagał nabycia biletu wstępu na kładkę – drogiego na tyle, by skutecznie reglamentować dostęp do duchowych przyjemności. Teoria zachowałaby pozory prawdopodobieństwa, gdyby nie kolorowy kurz, formujący w katedralnym powietrzu dziwne wzory i opadający na obuwie przechadzających się po kościele osób.

Rozbawiona własnymi myślami Ewa opuściła katedrę i wróciła – tym razem od razu – do hotelu. Drzwi do pokoju były otwarte. Chwyliła za klamkę i weszła do środka. Musiał na nią czekać od dłuższej chwili. Stał oparty o parapet, z rękoma skrzyżowanymi na klatce piersiowej. Podniósł głowę i spojrzał wprost na nią. Zamiast uśmiechu posłał Ewie stonowane, zaciekawione spojrzenie, charakterystyczne dla mężczyzny o zdecydowanym charakterze, lecz skromnym sposobie bycia.

– Kim pan jest i co pan tu robi?

– Mam na imię Piotr. Życzyła pani sobie, bym ją odwiedził.

– Jak pan tu wszedł? Jestem pewna, że zamknęłam pokój na klucz i oddałam ten klucz do recepcji.

– Droga turystko, nie spodziewam się, by tak się nie stało. Nie chciałem pani niepokoić wcześniej, niż to konieczne. Dlatego skorzystałem z zaproszenia w niekonwencjonalny sposób.

– To nie jest brak konwencji, tylko arogancja. Ma pan wyjątkowy talent do tworzenia sobie wrogów. Lub przynajmniej gromadzenia wokół siebie osób, które są zmuszone zmienić zdanie na pana temat.

– Ta rozmowa zmierza w złym kierunku. Nie sądzę także, by miała pani jakiegokolwiek zdanie na mój temat. Trudno zatem mówić o zmianie czegoś, co nie istnieje.

– Ta rozmowa nie zmierza w żadnym kierunku. Tym bardziej że jeszcze się nie zaczęła. Usiądzie pan?

– Tym razem nie. Spędziłem tak ostatnich kilka godzin.

– Dobrze. No cóż... Cieszę się, że pan wpadł. Szczerze mówiąc, nie liczyłam, że się jeszcze zobaczymy. Zależało mi, by osobiście podziękować panu za odniesienie laptopa. Bez niego nie mogłabym dalej pracować. Prowadzę dochodzenie. I piszę artykuł. Komputer jest mi potrzebny do obu tych czynności.

– Policjantka?

– Nic bardziej mylnego. Choć nie sposób nie dostrzec kilku podobieństw. Zaliczyłam do nich dążenie do prawdy i szacunek dla słowa. Zarówno pisanego, jak i mówionego.

– Píše pani książkę? – Piotr sprawiał wrażenie szczerze zaangażowanego w językowe kurtuazje. Ewa zwróciła jednak uwagę za zmęczone spojrzenie swojego rozmówcy. Postanowiła skrócić niezbędny wstęp do wymiany minimalnej liczby uprzejmości.

– Też nie. Jestem dziennikarką. Wynajęto mnie, bym kogoś znalazła. Chodzi o parę Polaków, którzy jakiś czas temu pojechali do Wenezueli. Bóg jeden raczy wiedzieć po co. Rodzina straciła z nimi kontakt dwa tygodnie temu.

– Z Malagi do Caracas jest kilka tysięcy kilometrów. Po co tu pani przyjechała?

Nie da się przetrząsnąć południowoamerykańskiej dżungli zdalnie. Nie pomoże pani w tym żadna technologia. Nawet tak skomplikowana, jak ta urocza zabawka, którą zostawiła pani w La Torre. Bezpośredniego kontaktu nie da się niczym zastąpić.

– Nie potrzebuję zastępstwa. Szczerze mówiąc, mam dla pana pewną propozycję.

– Jaką? Nic pani o mnie nie wie.

– Myli się pan. Wiem na tyle dużo, by chcieć wiedzieć więcej. I na tyle mało, by popełnione przez pana drobne grzeszki, jak również brak znajomości elementarnych zasad dobrego wychowania, nie poskromiły ani mojej ciekawości, ani wiary w to, że przebywanie w pana towarzystwie pozwoli mi zrozumieć niektóre zawiłości ludzkiej psychiki. Opowie mi pan coś o sobie? – Ewie zależało na stworzeniu poczucia bliskości. Nie wyczuła jednak, że jest to ostatnia rzecz, której może sobie życzyć Piotr. – Ma pan dzieci?

– Mam syna – odpowiedział. Ewa nie spodziewała się ani takiej odpowiedzi, ani rzeczowego tonu głosu.

– Ile ma lat?

– Wczoraj skończył dziesięć.

– Jak mu na imię?

– Droga pani, jaką rolę w tej rozmowie odgrywa moja rodzina? – Piotr po raz pierwszy dał upust swojemu zniecierpliwieniu.

– Nie wspominał pan, że ma rodzinę. – Ewa nie potrafiła ukryć rozczarowania.

– Będziemy kończyć. – Piotr uśmiechnął się i ruszył w kierunku drzwi.

– Proszę zaczekać. Spróbujemy jeszcze raz – mówiąc to, Ewa przestała być wiarygodna dla samej siebie. Najwyraźniej zaczęło jej zależeć na tej znajomości, mimo że widziała Piotra zaledwie kilka razy w życiu i wiedziała o nim tyle, co nic. Paradoks tej sytuacji polegał na tym, że w przeszłości pozostawała całkowicie obojętna na zewnętrzne próby zmiany charakteru jej relacji z drugim człowiekiem. Zwłaszcza jeśli chodziło o kontakty z mężczyznami. Wydawało się jej, że to właśnie ona ponosi za każdym razem ryzyko większe niż druga strona. Kierowała się więc zasadą, że ostatnie słowo każdej rozmowy musi należeć do niej. I ostatni gest także. Piotr zaskoczył ją swoją usłużną obojętnością. Grzeczny impertynent, pomyślała nawet o nim przez chwilę. Po chwili zbesztła w myślach samą siebie, przypominając sobie incydent w La Torre oraz wtargnięcie do hotelowego pokoju. Piotr nie był wychowany ani dobrze, ani źle. Wyzaczył granice ich relacji, dając od razu do zrozumienia, że próba ich przekroczenia będzie równoznaczna z tym, że on sam zniknie równie szybko, jak szybko się pojawił. Zdyscyplinowany egoista, samotnik tęskniący za dowodami uwielbienia płci przeciwnej, świetnie zorganizowany ojciec rodziny, który nie zapomina o swojej podstawowej roli społecznej nawet w sytuacjach wynoszących go poza ograniczenia z niej wynikające. Ewa próbowała zrozumieć, kim jest jej rozmówca. Stała przed nim bezradna, bezskutecznie szukając wskazówki w katalogu własnych wspomnień. Podobieństw jednak nie było. Poza jednym, może dwoma szczegółami o nierozpoznanym przez nią wtedy znaczeniu.

– Jeszcze raz? Bardzo proszę. W czym mogę pani pomóc?

– Czy mogę się do pana zwracać po imieniu?

– Mam na imię Piotr, Hiszpanie nazywają mnie Pedro. To już chyba pani wie. Czasami uda się im wymówić moje imię po polsku w taki sposób, żebym mógł się zorientować, że chcą rozmawiać właśnie ze mną. Czasami wołają na mnie *Lobo*, co po hiszpańsku znaczy wilk.

– Wilk? Dlaczego?

– Mówią, że to przez te oczy.

– Oczy? A co z nimi nie tak?

– Podobno wbijam je w kobiece plecy tak mocno, jak wilk kły w szyję ofiary.

W pokoju rozległ się chichot szakala. Ewa zastanowiła się przez chwilę, co to zdanie może oznaczać. Do Piotra dotarło, że redaktor Mulner może mieć zupełnie inne niż on poczucie humoru, co czyni ją odporną na intelektualne zagadki, z których on sam słynął od lat.

– Aha. – Ewa poczuła w prawym ramieniu drobne ukłucie. Przełknęła resztkę śliny. Zaczerpnęła powietrza i przymknęła na sekundę powieki. Opanowała się jednak i postanowiła poważnie potraktować wyjaśnienia Piotra. – Dlaczego akurat w plecy? Kroniki policyjne opisują niezliczone przypadki morderstw kobiet w różnym wieku. Miejsce zadania ciosu rzadko kiedy bywa przypadkowe.

– Słuszna uwaga. Mnie akurat chodzi o to, by ofiara pozostawała do samego końca nieświadoma swojego położenia.

– Dlaczego panu na tym zależy?

– Bo na tym polega sztuka, droga Ewo. Mistrz tworzy sztukę, która stanie się przedmiotem uwielbienia mas dopiero w momencie zakończenia dzieła. Obiekt podlegający procesowi twórczemu najczęściej nie rozumie tego, w czym bierze udział. To się doskonale sprawdza podczas malowania kobiecych aktów. Weźmy na przykład modelki Modiglianiego. Otwierały się przed nim, przekraczając granice własnej wyobraźni i czyjejś przyzwoitości. Pozostawały nieświadome przyczyn, dla których pozwalały na tak wiele. Wchodziły w subtelny grę między ich własną potrzebą obnażenia się – bardzo głęboką i bardzo atawistyczną – a potrzebą artysty, którego celem jest pokazanie subiektywnej prawdy o rzeczywistości.

– Jesteś malarzem?

– Tak bym nie powiedział. Ze sztuką łączy mnie jedynie chęć jej konsumpcji.

– Jaki zatem związek zachodzi między wilkiem a kontemplacją aktów pędzla mistrza Matisse'a?

– Jesteś bardzo dociekliwa. I nie Matisse'a, tylko Modiglianiego.

– Zależy, o czym każde z nas myślało. Nadal nie wiem, do czego zmierzałeś.

– Nie zaprzataj sobie tym swojej pięknej główki. Być może kiedyś do tego wrócimy, ale teraz muszę już iść. – Piotr zmrużył oczy i uśmiechnął się.

Ewa wstrzymała oddech. Nie wiedziała, co zrobić. Jak się pożegnać? Coś powiedzieć? A może należało milczeć? Ciszę przerwał huk miazdżonego metalu. Piotr wstał i wyjrzał przez okno. Na dole śmieciarka wciągnęła pod koła nowusienki skuter. Ulicy zawrzała, natychmiast powstało zbiegowisko. Właścicielka

wykrzykiwała pod adresem kierowcy obelgi. Świadkowie zdarzenia rozmawiali ze sobą, żywo gestykulując i wznosząc do góry oczy i ręce. Zaklinali opatrność, lecz ta pozostała obojętna na błagania ludu. Problem rozwiązała policja, która wlepiła mandat obojgu uczestnikom ruchu drogowego. Ewa wychyliła się przez okno jeszcze bardziej. Po chwili dostrzegła na ulicy sylwetkę Piotra. Oddalał się miarowym krokiem, aż w końcu skręcił w Alameda Principal i zniknął.

## ROZDZIAŁ 5 OBÓZ W SIERRA DE PERIJÁ

Miguel Sepulveda wpatrywał się w mapę lotniczą masywu Sierra de Perijá z rozbawieniem. Wiedział, że dotarcie do części Kordyliery Wschodniej, rozpościerającej się na zachodzie Wenezueli, zaraz przy granicy z Kolumbią, będzie graniczyło z cudem. Zbocza gór porastają gęste lasy równikowe, a teren często okrywa mgła. O tej porze roku szutrowe drogi są rozmoczone do granic możliwości, niektóre przypominają błotne strumienie. Posadzić maszynę w środku dżungli, gdzie brak większego kawałka płaskiej powierzchni, mógł tylko niejaki Rosales. Sepulveda uważał Veruskę za pilota o umiejętnościach i charyzmie, którymi mogli poszczycić się tylko nieliczni adepci tego zawodu. Panowie poznali się jeszcze na uniwersytecie. Od tamtej pory spotykali się dość nieregularnie, najczęściej pod pretekstem wspominania starych czasów. Wyjątkiem były nasiadówki przy jednym stole, odbywające się po tajemniczych telefonach od Pedra Martinezza. Scenariusz powtarzał się co kilka lat.

Dwudziestego piątego sierpnia Miguel i Veruska wiedzieli już, że i tym razem czas nie będzie im sprzyjał. Zdawali sobie także sprawę, że ich obecność nie ucieszy partyzantów stacjonujących w obozie niedaleko Villa del Rosario w stanie Zulia. W Wenezueli nikt nie przepadał za niezapowiedzianymi wizytami. Tym bardziej jeśli uczestniczyli w nich obywatele innych państw. Najgorzej znoszono rozmowy na temat obywateli Unii Europejskiej zaginionych na terenie kontrolowanym przez oddziały sił zbrojnych Republiki Kolumbii, których strefa wpływów rozciągała się na terytorium sąsiedniego państwa.

Naścienny zegar wskazywał godzinę dwudziestą drugą lokalnego czasu. Choć nad Caracas noc zaczęła zapadać już jakiś czas temu, Sepulveda czuł, że Martinez nie odpuści i będą do rana analizować wątek zaginionych Polaków.

– Skąd chcesz wystartować?

Martinez był klientem wymagającym i bardzo dociekliwym. Planował każdy krok szczegółowo, osobiście uczestniczył w bardzo wielu akcjach. Jeśli nie pozwalały mu na to obowiązki, żądał drobiazgowych raportów i zadawał setki pytań o każdej porze dnia i nocy. Domagał się uwagi i szacunku od każdego, kto miał wątpliwą przyjemność pojawić się na jego drodze. Od tej reguły nie było nigdy żadnych wyjątków. Szczególnie łakomym kąskiem byli dla Martinezza świeżutcy adepci zawodów policyjnych. Dla żółtodziobów nie miał litości i wyśmiewał się z każdego bezlitośnie. Ci, którym ufał bezgranicznie, mogli zaś liczyć na nieograniczony dopływ gotówki oraz stały udział w najśmielszych pomysłach ich chlebobawcy.

– Posadzę maszynę na polanie między San Juan a Haticos. To jedyna możliwość, choć nie ma tam pasa startowego. Najbliższe lotnisko to La Chinchita w miejscowości

San Francisco w stanie Zulia. To sto kilometrów stąd. Na miejscu będzie na nas czekał niejaki Jacinto, kuzyn Diosdado i stary znajomy z wcześniejszych eskapad.

– Jacinto? Przecież on ma dwadzieścia dwa lata! Chcesz powierzyć własne życie chłopcu, który ma mleko pod wąsem? – Martinez wyduł usta. – O ile w ogóle wie, co to jest wąs. A ten Diosdado?

– Będzie, jak powiedziałem. Jacinto to prawe ucho *el comandante*. Nie mogliśmy mieć więcej szczęścia, że chce nam pomóc. Diosdado pochodzi z rodziny Ramirezów. Cholerna czarna owca. Wrodził się w matkę – Marię Teresę – więc gdy policja zatrzymała jego ojca pod pretekstem przynależności do paramilitarnych bojówek działających na północy Wenezuli, skorzystał z okazji i zaciągnął się do partyzantów od razu. Kandydaci z wyższym wykształceniem nie trafiają się często, więc *el comandante* był zachwycony. Zagrać w szachy z tak znamienitym przeciwnikiem to zaszczyt, o którym inni mogli tylko pomarzyć. *El comandante* nie mieszkał w obozie. Jego dom mieścił się na przedmieściach Caracas, w rezydencyjnej dzielnicy El Hatillo. Podczas studiów zapragnął stanąć po stronie biedniejszej części wenezuelskiego społeczeństwa. Wiedziony ideami sprawiedliwości społecznej, zaciągnął się do oddziałów stacjonujących w *el monte*. Przez kilka pierwszych tygodni był zwykłym żołnierzem. Dowództwo dostrzegło jego potencjał i szybko złożyło mu propozycję objęcia nadzoru nad jednym z oddziałów stacjonujących w górach. Z biegiem czasu Pablo, bo tak miał na imię ten delikwent, piął się coraz wyżej. Aż pewnego dnia stanął na jednym z hierarchicznych szczytów organizacji jako *el comandante* rejonu piątego Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii. Tak, tak. Mowa o Kolumbii, ponieważ ruch partyzancki narodził się poza granicami Wenezueli, lecz jego terytorialne ambicje sięgały znacznie dalej.

– Wynająłeś lokalnych przewodników? – tym pytaniem Martinez zaskoczył Sepulvedę.

Sierra de Perijá w dużym stopniu kontrolowały oddziały lokalnej partyzantki. Yukpowie oraz Barí, plemiona indiańskie zamieszkujące te tereny od czasów prekolumbijskich, walczyły o przeżycie i zachowanie odrębności kulturowej od momentu, gdy współcześni antropolodzy potwierdzili ich istnienie. Lokalny przewodnik to instytucja obowiązkowa, o ile na danym obszarze nie istnieją wyraźne granice wpływów pomiędzy społecznościami lokalnymi bądź też społeczności te są słabo zorganizowane, nieliczne oraz nie komunikują się między sobą, wierząc, że izolacja pomoże im w przetrwaniu bardziej niż dyfuzja lub rozsądna integracja. W Sierra de Perijá nie występował żaden z tych warunków.

– W jakim celu miałbym to zrobić? – Sepulvedzie zależało na ustaleniu powodu ciekawości Martineza.

– Potrzebujemy wtyczki. Niezależnej i obiektywnej na tyle, na ile pozwolą okoliczności. Kogoś, kto nie będzie trzymał niczyjej strony i nie będzie opłacany przez żadną grupę interesów.

– Skoro tak, potrzebujemy tłumacza. Człowieka, który zbuduje most między naszymi potrzebami a potrzebami każdej osoby lub grupy osób, z której pomocy będziemy musieli skorzystać.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Misjonarzy.

– Mógłbym się na to zgodzić, gdyby nie pewien drobiazg. Most, o którym myślisz, musi być wiarygodny. Tylko wtedy doprowadzi nas do miejsca, w którym czekają na nas żywi – mam nadzieję – Polacy. Nie twierdę, że obecność katolickiego księdza może coś popsuć. Z pewnością nie jest to prawda, biorąc pod uwagę liczbę działań podjętych przez przedstawicieli rzymskich katolików w Ameryce Południowej. Język nie ma religii, płci lub wieku, choć jest wykorzystywany do przekazywania informacji związanych z religią, płcią rozmówcy lub jego wiekiem. Chodzi o to, by nie tworzyć złudzenia wertykalnych zależności między czynnikami, które ten język kształtują.

– Sprytne. Sprawdzę absolwentów kierunków filologicznych kilku uniwersytetów wenezuelskich. Niektóre z nich mają wydziały języków i kultur plemiennych. Zajrzę też na Universidad Indígena de Venezuela, którego utworzenie ogłosił całkiem niedawno Chávez.

– Pamiętaj tylko, że religia ma wielu bogów i nie wszyscy spoglądają na nas z niebiańskich przestworzy. Polityczne interesy partii rządzących mogą być sprytnie zaszyte w inicjatywach edukacyjnych. I nie jest to bynajmniej specjalność południowoamerykańska. Nauka służy różnym celom. Od wieków. – Martinez zatrzymał się na chwilę i wbił oczy w nieistniejący punkt. – Musisz zebrać wszystkich do jutrzejszego wieczora i jak najszybciej wylecieć do Villa del Rosario. Jeśli to porwanie dla okupu, partyzanci najdalej za dwa dni zaczną szukać kontaktu z przedstawicielami rodziny lub z tymi, którzy – przynajmniej teoretyczne – reprezentują ich interesy na miejscu. Być może zdarzył się wypadek i Majchrzakowi ugrzęźli gdzieś w dżungli. Są zdani na łaskę miejscowej ludności, a ta traktuje *gringos* w bardzo różny sposób. Wszędzie czają się dzikie zwierzęta. Dla Polaków czas przestał istnieć w momencie utraty łączności z ich mocodawcami. Wersja bardziej drastyczna zakłada, że wskazówki zegarków należących do zaginionych zaczęły się już cofać, a ich czas bieć w kierunku przeszłości. Oby tak nie było.

– Wszystko gotowe. Wylatujemy jutro, punktualnie o dwudziestej miejscowego czasu. Ja, Veruska oraz Facundo. Tłumacza potwierdzę jutro.

– Tłumaczkę. Musicie wziąć ze sobą choć jedną kobietę.

– No tak. Załatwione. – Sepulveda przyzwyczał się do bezpośredniości Martineza kilka lat temu, gdy ten kazał mu wziąć na wyprawę egzemplarz pewnej endemicznej mrówki, której świeży śluz zabijał każdą ugryzioną przez nią osobę, by następnie – po odstaniu przez kilka dni w pipecie – stać się jedynym skutecznym antidotum po ugryzieniu przez groźnego owada. Ludzie uznani za martwych wracali do żywych w kwadrans po podaniu specyfiku. Trudno znaleźć podobieństwa między płcią piękną a gatunkiem fauny, z którym kontakt prowadziły do tak przeciwstawnych skutków. Uważny obserwator natychmiast je jednak dostrzeże. Oba przypadki były w gruncie rzeczy dość jednorodne pod względem treści, różniły się zaś formą. Za treść można by uznać wewnętrzny przymus odczuwany przez Martineza do szukania prawd obiektywnych w subiektywny i bardzo niestandardowy sposób. Natomiast za formę –



powinowactwo z osobnikami, którzy byli od wieków przedmiotem badań naukowych mających na celu identyfikację substancji lub zachowań o skutkach toksycznych dla przedstawicieli innych gatunków.

– Jeszcze jedno. Czym leciecie?

– De Havillandem. Taki kukuryźnik pożyczony przez Diosdado kilka dni temu.

– To niemożliwe. Żadnych zależności. Żadnych, bo zapłacicie za to własnym życiem. A ty w szczególności.

– Martinez, to był warunek drugiej strony.

– Warunek? W jakim sensie?

– Diosdado przekazał, że *el comandante* zależy, byśmy czuli się jego gośćmi.

– Nic z tego. Wejście na pokład samolotu należącego do partyzantów jest równoznaczne z poddaniem się nieustającej inwigilacji z ich strony. Zaproponuj kupno tej maszyny. Kałasznikowy, które partyzanci ściągają z różnych części Europy, ostatnio dość znacznie podrożały. Naszym przyjaciółom z *el monte* nigdy nie dość funduszy. Wnioskuje zatem, że szybko osiągniemy kompromis.

– Zgoda. Odmelduję się po wylądowaniu.

– Uważajcie na siebie. Choć tym razem nie wróżę wam powodzenia, będę trzymał kciuki. Jak zawsze.

Martinez był realistą. Ignorował emocje, zwłaszcza czyjeś. Z religii nigdy nie kpił, odrzucał zaś jakiegokolwiek związek z instytucjami formalnie wspierającymi boską obecność na ziemi. Do oceny rzeczywistości używał argumentów naukowych, a wśród różnych grup danych poddawanych analizie wyróżniał liczby. Doskonale zdawał sobie więc sprawę, że Sierra de Perijá ma długość około trzystu kilometrów. Wzdłuż niej rozpościera się granica z Kolumbią. Warunki naturalne sprzyjają uprawie kawy i maku na skalę przemysłową.

Samolot wzbijał się powoli. Tak jakby pokonywanie oporu powietrza sprawiało mu niewyobrażalną trudność. Temu wrażeniu towarzyszył huk turbin, napędzających silnik. W kokpicie panowała cisza. Rosales spokojnie wpatrywał się we wskaźniki na desce. Mina Matamorosa zdradzała wewnętrzną walkę, która toczyła się w głowie genialnego matematyka. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie wierzy samemu sobie i z chęcią wysiadłby na pierwszym przystanku na żądanie. Natomiast Sepulveda uśmiechał się do siebie, wspominając Burleskę, klacz pełnej krwi arabskiej, która tydzień wcześniej wygrała dla niego okrągłą sumkę na torze wyścigów konnych La Rinconada, na południe od Caracas. Na siedzeniu obok Sepulvedy siedziała nieznana nikomu kobieta, którą w ostatniej chwili przysłał na lotnisko w Carcas Martinez. Przedstawiła się jako Dauna. Twarz posągowo piękna, intensywne spojrzenie, zaciśnięte usta – być może, by poskromić chęć rozmowy częstszej, niż nieformalnie wymagana kurtuazja, z której słynęła Wenezuela.

Noc zapadała dość szybko, więc o dwudziestej przez okna samolotu nie można było zobaczyć dokładnie nic. Monotonny dźwięk silnika potęgował wrażenie irracjonalności. Na pokładzie trzech doskonale znających się mężczyzn oraz jedna flama, niczym łania wystawiona na pożarcie dzikim zwierzętom.

Martinez był szefem niezmiernie przewidującym. Doskonale znał mocne punkty wszystkich swoich podwładnych. Z dokładnością do milimetra namierzał także ich achillesowe pięty. I piętnował natychmiast, traktując to jako demonstrację braku swojej tolerancji dla czyichkolwiek słabości. W związku z tym mógł spać spokojnie. Nikt nie tknie Dauny palcem, nawet w myślach. W sytuacji zagrożenia wszyscy solidarnie staną w jej obronie.

Rosales zafundował wszystkim twarde lądowanie. Samolot uderzył o ziemię, po czym podskoczył do góry kilkakrotnie, a następnie przesunął się nieznacznie w bok. Veruska opanował maszynę bez większego kłopotu. Ta chwila wystarczyła jednak, by pogrążeni w półśnie pasażerowie nienaturalnie naprężyli mięśnie w obawie przed gwałtownym upadkiem. Matamoros złożył dłonie w geście pojednania z opatrnością, po czym przystąpił do żarliwej modlitwy wzywającej na pomoc świętą Eulalię. Sepulveda westchnął głośno i natychmiast rozejrzał się wokół, sprawdzając stan okiennic i drzwi. Nietknięte.

– *Cabrón de mierda!*<sup>[5]</sup> – wrzasnęła Dauna, nieprzyzwyczajona ani do przemierzania świata na pokładzie samolotu, ani tym bardziej do podróży z tak mało romantycznym finałem.

Kobiety odbierają mężczyznom miarowy oddech i trzeźwy osąd rzeczywistości. Otaczamy je uwielbieniem do momentu, w którym nie otworzą buzi i nie zaczną wylewać potoku słów wciągających nas w świat prostych skojarzeń i równie prostackich stereotypów. Ta obok to, jak widać, dziwka wśród perskich książyk – Sepulveda odurzał się własnymi myślami, niczym szejka wodną fajką wypakowaną opium. Ciszę przerwała Dauna.

– Czas na nas – powiedziała, rozpinając pas bezpieczeństwa i wstając z fotela. Gdy zbliżała się do drzwi wyjściowych z zamiarem otwarcia ich i wyjścia na zewnątrz, Matamoros zagroził jej drogę i ręką nakazał ponowne zajęcie miejsca.

– Zechce pani spocząć? Będę wdzięczny za bezwarunkowe podporządkowanie się rozkazom kapitana Rosalesa.

– Kogo?

– Na pokładzie tego samolotu za bezpieczeństwo wszystkich pasażerów, więc także i pani, odpowiada kapitan Veruska Rosales. Wnioskuje, że się państwo jeszcze nie znacie. Panie kapitanie, prosimy o zgodę na opuszczenie samolotu.

– Dziękuję, Matamoros. Wygląda na to, że już mamy ochronę. – Rosales zaczął rozmawiać z kimś przez radio. Podniósł głos, po chwili mówił już normalnie.

– Szanowni państwo, znajdujemy się w chwili obecnej w gościnie u przedstawicieli Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii. Nadal przebywamy jednak na terytorium Wenezueli. Przypominam o wzmożonych środkach ostrożności, zarówno w kontakcie z partyzantami, *paramilitares*, jak i rdzenną ludnością tego obszaru. Za chwilę poproszę Miguela Sepulvedę o otwarcie drzwi. Wtedy wszyscy będą mogli opuścić pokład samolotu. Po wyjściu na zewnątrz zostaniecie państwo wylegitymowani. Proszę okazać dokument potwierdzający tożsamość, stanąć po prawej stronie od wyjścia i poczekać na resztę pasażerów. Dzisiejszą noc spędzimy w pokojach przygotowanych dla nas przez naszych kolumbijskich braci. Nie

spodziewajcie się luksusów. Jesteśmy w Sierra de Perijá.

Drzwi wydały z siebie charakterystyczne stęknienie, zupełnie jakby uchodziło z nich życie. Po chwili cała czwórka stała na zewnątrz, wpatrując się z zainteresowaniem w kilku żołnierzy, których *el comandante* przysłał do pomocy grupie Martineza. Przypominali komandosów biorących udział w polsko-amerykańskich manewrach wojskowych na poligonie w Drawsku Pomorskim. Umundurowani, przejęci, napompowani adrenaliną do granic możliwości. Tylko tło spotkania było inne.

Pokoje, o których wspominał Rosales, okazały się zbitymi z desek stelażami obciągniętymi czarną folią do transportowania zwłok. Bardzo wytrzymałą i nieprzepuszczającą wilgoci – co nie bez znaczenia w miejscu, w którym woda spada z nieba regularnie i w ilościach trudnych do oszacowania. W środku pomieszczeń znajdowały się materace położone na żerdziach z drzewa palmowego. Przy łóżkach okrytych kocami w kratkę – podobno podarowanymi przez ludność zamieszkałą w wioskach kilkaset metrów poniżej obozu – ustawiono stoliki do kawy ze styropianowych kartonów służących do transportu skorupiaków złowionych w wodach Morza Karaibskiego. Obok nich znajdowały się szafki na ubrania. Były to drągi, na których należało rozwiesić gniotące się części garderoby. Bielizna i obuwie od razu wędrowały do szafek. Leżały na nich przyniesione z dżungli sporej wielkości kamienie, mające ochronić zawartość przed wizytą skorpionów lub węży, poszukujących suchej i spokojnej kryjówki.

Cała czwórka została dość sprawnie zakwaterowana w obozie zaraz po przybyciu. Na kolację dostali podpłomyk i kubek gorącej kawy. Świeżo palone ziarna kawowca także okazały się podarunkiem. Tym razem od rodziny Rodrigezów – miejscowych latyfundystów, właścicieli sporej hacjendy, palarni kawy i *bananery*, położonych niedaleko Los Claros, przeszło sto kilometrów na wschód od obozu.

Noc minęła w miarę spokojnie, jeśli nie liczyć wrzasków, szmerów i pohukiwań wszystkich zwierząt, dla których ta pora była najprzyjemniejszym czasem w ciągu doby. Czasami śmierć długo przegląda się w świetle księżyca, a przychodzi w samotności. Jaguar nie lubi tłumów w momencie zatapiania kłów w ciele ofiary. Podobnie anakonda, która zasysa ciało nieszczęśnika w ciszy i w tempie dość powolnym. Dżungla to krzyk przebijający ciszę z siłą wystrzału z kałasznikowa. To zapach gnijących kwiatów, układających się na ziemi w ponure wzory. Pustka otaczająca każdego, kto zejdzie z punktów wyznaczonych na mapach dostępnych tylko tym, którzy mają odwagę przyznać się do konieczności korzystania z dobrodziejstw współczesnej kartografii. Zanurzony we krwi talizman królestwa ciemności. Jego niebezpieczna uroda wabi zmysły, pozwalając, by umysł odłączył się od ciała. Czasami na zawsze.

Punktualnie o szóstej trzydzieści rano Facundo Matamoros wstał z łóżka i rozsunął folię. Przywitała go gęsta mgła, uniemożliwiająca pełne rozpoznanie terenu w promieniu dłuższym niż dziesięć metrów. Po prawej stronie od wejścia do namiotu zauważył kobietę. Siedziała przy stole zbitym z drzewa palmowego i wykonywała dziwne ruchy rękami.

– Czekają już na pana – powiedziała i podniosła wzrok znad pistoletu, który czyściła szczoteczką do zębów.

– Któż taki może na mnie czekać? – Facundo lubił wiedzieć wcześniej o rzeczach mogących mieć na jego życie wpływ większy od przeciętnego.

– Ci, bez których zgody nie przeżyje pan tu nawet kwadransa, oraz ich przyjaciele – to oni pomogą znaleźć zgubę.

– Dużo pani o mnie wie.

– *Guerrilla* to rodzina. Nie wiemy o sobie wszystkiego. Tylko to, co wpływa na nasze życie wewnątrz obozu.

– Gdzie mam się udać?

– Proszę się przebrać i poprosić o to samo pozostałych towarzyszy. *El comandante* przyjechał wczoraj i zatrzymał się w tym zielonym domu przy rzece. Zaprowadzę was tam za dziesięć minut.

Matamoros rozejrzał się wokół. Na stole leżał stos ubrań z moro i cztery pary kaloszy. Obok cztery skórzane pasy oraz cztery kabury. Puste. Broń leżała obok.

– Po co nam to?

– Rozkaz *el comandante*. Jesteście w dżungli, więc nigdy nie będziecie wiedzieć, kiedy i skąd pojawi się na waszej drodze drapieżnik. Znajdujemy się na terenie atrakcyjnym dla miejscowych kontrabandzistów, a ci nie lubią się tłumaczyć nikomu i z niczego. *Paramilitares* – mimo podpisanego pokoju – zaczepiają nas za każdym razem, gdy tylko zbliżymy się do granicy miast, wokół których przebiega granica ich wpływów. To dość istotne argumenty, zgodzi się pan? Poza tym gospodarzowi się nie odmawia.

Matamoros rozprostował zziębnięte kości i postanowił sam rozdać mundury. Największe zaciekawienie wzbudziły litery XY, ręcznie wycięte nożem na czarnych, skórzanych kaburach. Cała czwórka bez większych dyskusji przebrała się zgodnie z zaleceniami gospodarzy i wróciła do miejsca, w którym składowano ubrania. Czekająca na nich kobieta w milczeniu kiwnęła głową. Po chwili ruszyli w kierunku miejsca przeznaczenia.

Droga przez dżunglę dłużyła się niemiłosiernie, mimo że do przebycia mieli zaledwie kilka kilometrów. Monotonia przestrzeni w niczym nie przypominała romantycznych obrazków pokazywanych w Hollywood. Podobne skojarzenia budził zapach, stanowiący z jednej strony trudny do zdefiniowania bukiet substancji używanych przez tuzów światowego perfumiarstwa, z drugiej zaś – pełen niedopowiedzeń wachlarz smrodów, które miały pełne prawo wydobywać się z przewodów pokarmowych wielbicieli tropikalnej diety.

*El comandante* przywitał ich rzeczowo i mało wylewnie. W skupieniu analizował każdą informację. Lewy oczodół przysłaniała mu czarna opaska, co przywodziło wspomnienie hiszpańskiego torreadora Juana José Padilli. Cyklon z Jerez – bo taki przydomek nadano temu dżentelmanowi w jego młodzińskich czasach – w 2011 roku stracił oko podczas morderczej walki z ponadpółtonowym bykiem. Obu panom z pewnością nie brakło odwagi, którą kobiety mogłyby chcieć pomylić z brawurą.

Prawe oko wpatrywało się w gości, rejestrując każdy gest i wyznaczając trajektorię najdrobniejszych ruchów ich ciał. Precyzja odgrywała kluczową rolę w rozpoznaniu przeciwnika, co w każdych działaniach bojowych jest nawykiem co najmniej pożądanym.

– Czego potrzebujecie? – *El comandante* słyszał z szybkiego skracania dystansu.

– Oto bohaterowie układanki. – Sepulveda położył przed nim zdjęcia poszukiwanych. – Anna i Witold Majchrzakowie. Obywatele polscy przebywający na terenie Boliwariańskiej Republiki Wenezueli od dwóch miesięcy. Według zapewnień rodziny ich celem jest wyprawa w górę Orinoko, by poznać zwyczaje i język Indian Warao. Po powrocie do Polski państwo Majchrzakowie planują przedstawić owoce swoich badań studentom Zakładu Etnologii Uniwersytetu Gdańskiego.

– Szczyt ignorancji. Wie pan, gdzie jesteście? Jakież dwa tysiące kilometrów od rzekomego miejsca pobytu waszych pobratymców.

– Mamy tego pełną świadomość. Rodzina zaginionych upiera się, byśmy polecili do Ciudad Guayana i stamtąd ruszyli w kierunku Atlantyku, a precyzyjniej mówiąc – do Cieśniny Węża. To miejsce oddziela Trynidad od delty Orinoko na północy Wenezueli. Świadomie zmieniliśmy obszar poszukiwań. Opisy miejsc, które odwiedzali Majchrzakowie, nie odpowiadają rzeczywistości. Zgadzą się natomiast z tym, jak wyglądają okolice Sierra de Perijá. Dlatego tu jesteśmy.

– No dobrze. To są naukowcy? Towarzyszu Sepulveda, my się nie zajmujemy wspieraniem systemu szkolnictwa wyższego we własnym kraju, a co dopiero mówić o tak dalekich sąsiadach. I badać Warao? Po co?

– Ludzie Wody są fascynujący. Majchrzakowie nie wpadli na to pierwsi.

– Do tego zmierzam. To jest temat doskonale rozpoznany przez etnografów południoamerykańskich. I ich kolegów ze Stanów. Niedawno była też jakaś grupa z Francji. Tydzień temu odmeldowali się kolejni, tym razem z Austrii. Ale z Polski? Jaką wartość Warao mogą przedstawiać dla.. – *El comandante* zawiesił głos w poszukiwaniu odpowiedniego słowa – Słowian? Ci Polacy to potomkowie plemion ruskich, którzy zasiedlili obszar na zachód od Bugu półtora tysiąca lat temu. Wie pan, co to jest Bug? To taka rzeka w Europie, której koryto dzieli historię starego kontynentu na dwie dość nierówne połówki. – *El comandante* upajał się swoim głosem coraz bardziej. – No chyba że chodzi o kolejnych włóczykijów, wspominających cudowne lata sześćdziesiąte. Bycie dinozaurem staje się w pewnym wieku jedynym sposobem zatrzymania upływu czasu. Dlatego co jakiś czas natykamy się na podstarzałych hipisów, którzy fundują sobie bilet do Caracas – często w jedną stronę – a następnie wyprawiają do dżungli, nie znając podstawowych zasad survivalu. Na konsekwencje takich decyzji napotykamy się z kilkutygodniowym opóźnieniem. Wiecie, towarzysze, gdzie najczęściej znajdujemy ciała? Wszędzie. Prawda jest pod każdym względem nietrakcyjna.

– A wracając do zaginionych? – Dauna przerwała przemowę wodza. Trudno było się tak zupełnie nie zgodzić z postawionymi przez niego тезami. Przyznanie mu racji także nie wchodziło w grę. Obraził ją swoją ignorancją. Nie zauważyłby jej zapewne, gdyby mu nie przerwała. Gdyby nawet dostrzegł jej oczy, wpatrzone w czarną łatę na

jego własnej twarzy, nie zechciałby docenić siły argumentów, które córka indiańskiego wodza potrafiła zręcznie dopasowywać do kontekstu rozmowy. Nawet jeśli konwersacja dotyczyłaby aksjologicznej motywacji osób podróżujących do Wenezueli.

– Nie musimy nigdzie wracać, skoro nigdzie nie odeszliśmy. – *El comandante* najwyraźniej nie lubił, gdy ktoś wytrącał go z jego własnego rytmu lub próbował w jakikolwiek sposób wpłynąć na kształt jego wypowiedzi. – Ci ludzie nie mieli żadnego wyraźnego powodu, by zapuścić się w tamte okolice. Badacze zazwyczaj informują o swoich planach władze lokalnych uczelni, często proszą je o pomoc w znalezieniu lokalnego przewodnika. Biznesmeni nie przechadzają się po dżungli bez tragarzy i ochrony. Ci, którzy chcą uciec od żmudnej codzienności, rzadko kontaktują się z kimkolwiek na miejscu, ale przez nieostrożność i niewiedzę zostawiają mnóstwo śladów, które szybko i sprawnie doprowadzają poszukujących do poszukiwanych. Tym razem nie mamy nic. Nikt nie widział tych waszych Majchrzaków.

– Co z tego wynika? – Martinez, który celowo milczał, włączył się do rozmowy po dłuższej chwili.

– Sporo. Mogli tam w ogóle nie dotrzeć. Mogli dotrzeć i przypadkowo zginąć, nie spotkawszy wcześniej nikogo na swojej drodze. Albo być świadkiem przestępstwa, ale w takiej sytuacji zostaliby zamordowani natychmiast po wykryciu tego faktu przez zainteresowanych. W skrócie mówiąc – ta historia jest bez sensu.

– Co sugerujecie, towarzyszu?

– Czy mogła ich w te strony przyciągnąć chęć zarobienia pieniędzy? – pragmatyzm *el comandante* nie zawsze był na miejscu, ale często trudno się było oprzeć jego logice.

– Nie możemy tego wykluczyć. Nie przywiązywałbym się jednak szczególnie do tego wątku. Ci ludzie mieli wystarczającą ilość pieniędzy, by prowadzić życie na przyzwoitym poziomie. Ale lubili podróżować. Wędrówka po świecie – zwłaszcza jeśli wiąże się ze zmianą stref czasowych – może być kosztowna. – W tym momencie zadzwonił telefon.

– Tak. – Głos *el comandante* spoważniał. – Gdzie? – Martinez zaczął uważniej przysłuchiwać się rozmowie. – Koordynaty dostaniecie od chłopaków. Zdjęcia leżą w tej chwili przede mną. Dobrze. Czekamy. – Dowódca odłożył słuchawkę i spojrzał na wszystkich z powagą. – Dziesięć kilometrów na zachód od obozu znaleziono ciała dwóch osób. Są w znacznym stanie rozkładu i bez pomocy patomorfologa nie damy rady ich zidentyfikować. Najbliższy specjalista w tej dziedzinie rezyduje kilkaset kilometrów stąd, więc denatów będzie trzeba przetransportować do kostnicy w Caracas. Nie mamy na to czasu ani środków. Zawiadomiliśmy kogo trzeba przez zaufanych ludzi w wiosce, przyślą kogoś za kilka dni. To znalezieni. – *El comandante* pokazał w telefonie zdjęcia zmarłych. – Jedna z tych osób może być płci żeńskiej. Rany na obu ciałach powstały od ciosów maczetą. Widać, że kogoś pozbawiono prawej dłoni. Tu obcięto prawe ucho. Zwłoki są częściowo spalone. Kilka metrów dalej znaleziono ortalionowe plecaki. Zwierzęta musiały wywlec z nich zawartość, bo

walała się nieopodal.

– Ktoś się solidnie napracował. – Matamoros znany był z pragmatycznego podejścia do każdego zagadnienia. – Mamy motyw zemsty oraz próbę zatarcia śladów. Ciekawe, dlaczego zwierzęta nie tknęły ciała, a rozszarpały leżący obok plecak.

– Istotnie. Ta historia nadal nie ma sensu. – *El comandante* przerwał. Chwilę później na stole pojawiły się podkłomyki i kubki z kawą. – Czym chata bogata – wskazał dłonią śniadanie. – Na mnie już czas. Gdybyście czego potrzebowali, dajcie znać przez towarzyszy.

Martinez spojrział na zegarek. Rzeczywistość czasami się zapęła, a największe pętelki lubią się pojawiać w najmniej oczekiwanych momentach. Nie miał wątpliwości, że *el comandante* nie mówi prawdy. Zdjęcia były nieostre i trudno było dopatrzeć się na nich jakichkolwiek szczegółów. Równie dobrze ktoś mógł owinąć ubraniami kupę liści, by upozorować znalezienie cennych trupów.

– Za kwadrans spotkamy się przy wejściu do obozu. Musimy wyruszyć w górę rzeki jak najszybciej – powiedziaławszy to, wstał od stołu i udał się do swojego pokoju. Następnie wyciągnął telefon i zadzwonił do Ewy.

– Musimy porozmawiać. – Gdyby go nie znała tak dobrze, w głosie Martineza Ewa wyczułaby nerwowość. Ponieważ z usług kolegi Martineza korzystała od lat, prawidłowo zinterpretowała jego pozorną irytację.

– Nie wątpię. Miałeś się odezwać tydzień temu. – Ewa nie pozostawała dłużna.

– De Rivera jest nad wyraz wstrzemięźliwy. Biorąc pod uwagę obecne potrzeby finansowe jego oddziałów oraz wzrost cen broni w ostatnim czasie, spodziewamy się prośby o zwiększenie dopływu gotówki.

– Jesteś mistrzem elokwencji, która nie zbliża nas nawet o milimetr do rozwiązania zagadki. Ponadto nie wysnuwasz prawidłowych wniosków z informacji pieczołowicie zbieranych przez samego siebie.

– A ty ofiarą własnego uporu i żelaznej konsekwencji. – Martinez uwielbiał ten ping-pong. W tej kategorii Ewa nie miała sobie równych. – Dodatkowo dwadzieścia pięć tysięcy boliwarów.

– Prawie dziesięć tysięcy złotych? Doceniasz moją pamięć, a ja nie mogę się odwdziżyć tym samym. To mnie stawia w dość niekomfortowej sytuacji. Martinez, nie licz na dodatkowe fundusze. Na nagrodę za wcześniej.

Ewa odłożyła słuchawkę równie szybko, jak ją podniosła. Martinez musiał mieć coraz wyraźniejszy powód, by wrócić do Warszawy. Nie uwierzyła w rosnące koszty ani tym bardziej w większe potrzeby *guerrilleros*.

\*\*\*

Trzydziestego sierpnia pogoda w Maladze przypomniała wiedeńską kremówkę. Lukrowane niebo pękało pod naporem błyskawic. Ktoś przylepił do nich chmury, wypełniwszy je uprzednio deszczem, gęstym i lepkiem niczym budyniowy krem. Słońce spoglądało w kierunku Sierra Nevada, zapominając o turystach chcących je

przywitać na brzegu Zatoki Malagijskiej. Ewa rozejrzała się po pokoju w Hotelu Palacio. Czekał na nią dzień bliźniaczo podobny do poprzedniego. Wstała z łóżka. Na stoliku dostrzegła białą kopertę. Ze środka wypadł list, napisany znanym już charakterem pisma.

*Cortado? Ten moment w czasie i przestrzeni zachęca do wypicia go razem.  
Będę około dziewiętnastej.*

*Piotr*

Niektórzy mężczyźni nie muszą czekać na odpowiedź, znają ją bowiem, nim usłyszą pytanie. Ewa uśmiechnęła się do siebie i wyjrzała przez okno. Dochodziła druga po południu.

---

[5] Skurwiel - *hiiszp.*



## ROZDZIAŁ 6 WSKAZÓWKA PIERWSZA

Hiszpania pachnie wodą kolońską. Ten zapach unosi się w powietrzu przez cały rok. Na przełomie lipca i sierpnia Malaga dorzuca woń jaśminu, który sprzedają na ulicy Larios. Mężczyźni ubrani w białe koszule i czarne spodnie przepasane w pasie czerwonym kawałkiem materiału, przemierzają ulice malagijskiej starówki, trzymając w dłoniach tace, w które wbite są pęki ususzonych kwiatków. Ta wymyślna konstrukcja nazywa się *biznaga malagueña*, a mieszkańcy miasta traktują ją jako symbol i uznają za dowód wpływów arabskich. Duszący aromat przykuwa uwagę każdego przechodnia. Nawet takiego, który przechadza się ulicami bez żadnego wyraźnego celu i mija obojętnie najlepsze lokale śródmieścia. Trudno się znaleźć w tej grupie wybrańców, ale jeszcze trudniej ją opuścić.

Obojętność buduje grube mury, myślała Ewa, wpatrując się w bryłę katedry. Trzydziestego sierpnia wstała wcześniej rano, na dworzu było jeszcze ciemno. Wzięła prysznic, rozczesała włosy. Z hotelu wyszła bez śniadania. O tej porze dyżur pełnił tylko jeden recepcjonista. Ewa położyła klucz od pokoju na kantorku tak delikatnie, że mężczyzna nawet się nie obudził. Wyszła przez główne wejście. Autobus linii numer 11 przyjechał punktualnie. Dwadzieścia minut później Ewa wpatrywała się w morze, delektując się tostami z konfiturą pomidorową i kawą z mlekiem. Do El Palo wróciła po kilku dniach.

W ostatnich dniach sierpnia mgła na Zatokę Malagijską pojawiała się regularnie. Ściana Taró, szczelnie oddzielająca pas wybrzeża od reszty miasta, napawała jego mieszkańców niepokojem. Niepewność tego, co czai się za mgłą, oraz obawa przed momentem jej opadnięcia wpływały na samopoczucie Ewy. Siedziała na łóżku i wpatrywała się w pozostawiony przez Piotra list. Mogłaby po prostu przyjąć zaproszenie, ale przyszło jej do głowy, że krótkie „tak” tym razem nie wypełnia definicji odpowiedniej formy w stopniu wystarczającym. Wyjęła więc kartkę papieru i po chwili zastanowienia napisała:

*Drogi Piotrze,  
tak.*

*Jednak gdybyśmy zamienili cortado na kieliszeczek porto lub szklaneczkę czegoś równie znamienitego, pojawiłabym się w dowolnie wybranym przez Ciebie miejscu natychmiast. Kofeina podawana wieczorem w formie kawy to gwarancja nieprzespanej nocy, połączona z obietnicą wypicia jej w twoim towarzystwie ponownie. Z tym że rano. Takich planów nie mamy. Mam nadzieję, że przyznasz mi rację.*

*Czekam o siódmej.*

Położyła kartkę na stole. Wyszła na balkon i spojrzała daleko przed siebie. Mgła powoli zniknęła, ukazując plażę wytrawioną wodami odpływu. Na piasku kraby pustelniki zdążyły już narysować geometryczne wzory, wskazujące trasy ich porannych wędrówek. Zgłodniałe mewy szukały wyrzuconych na brzeg resztek jedzenia. Turyści coraz odważniej rozkładali swoje wakacyjne obozowiska. Szczęśliwcy mogli liczyć na miejsce bliżej brzegu. Tym, którym nie było dane wstać wcześniej, pozostało wcisnąć się w tylną część plaży.

Ewa cofnęła się do wnętrza mieszkania. Nie była w nim od kilku dni. Kilka rzeczy, które przyniosła z hotelu, spokojnie czekały na moment, w którym przydadzą się ich właściciele. Podłączyła telefon do gniazdka elektrycznego. Po chwili zaświeciła się na nim czerwona lampka. Martinez – choć trudny w rozmowie – zawsze okazywał się skutecznym partnerem w interesach.

– *Pronto.*

Ewa liczyła na konkretne informacje. Poszukiwania do tej pory nic nie dały. Szansa odnalezienia żywych Majchrzaków malała z godziny na godzinę. Wraz z nią rozplątywała się możliwość załagodzenia potencjalnego sporu z Anną, która do tej pory nie wiedziała, gdzie znajduje się jej ulubiona dziennikarska podopieczna.

– Od kiedy mówimy po włosku? – Martinez szydził z językowych zainteresowań Ewy od lat. Brał na celownik każdą sytuację, w której popisowała się filologiczną wirtuozerią krasnoludka, wplatając obco brzmiące słowa w proste zdania wypowiedziane w jej własnym języku.

– *Desde siempre*<sup>[6]</sup> – odparowała po hiszpańsku. – Masz coś? Za tydzień możemy zacząć zbierać pieniądze na stypę i modlić się, żeby znaleźć choć małe fragmenty jednego z kompletnie rozłożonych ciał.

– Sprawa musi zostać wyjaśniona w ciągu tygodnia. Za tydzień jestem w Warszawie. Chcę się spotkać z Anną. Sprawa prywatna.

– Prywatna?

– Tak. Dobrze słyszałaś. Anna... Anna powierzyła mi pewien sekret dotyczący jej osoby. Szczerze mówiąc niejedną, bo dzięki tym informacjom poznaliśmy się dość dobrze. Na tyle, bym chciał widywać się z nią regularnie. Ta regularność wymaga bliskości i konsekwencji. W związku z czym...

– Mój drogi... Istnieją dwa gatunki kobiet. Z jednymi się sypia. Z innymi – prowadzi interesy. Nie mi oceniać, dlaczego zaliczyłeś Annę do obu kategorii jednocześnie. W zasadzie niewiele obchodzi mnie także twoje osobiste wybory. Wszystko zmienia się dopiero wtedy, gdy zaczynają wpływać na moją pracę. I dokładnie taką sytuację mamy w tej chwili. Co proponujesz?

– Mówiłem ci, że korumpowanie lokalnych informatorów wymaga większych pieniędzy. Sepulveda jest szczególnie przywiązany do środków pieniężnych. Facundo jest mniej chciwy, ale zna swoją wartość. Dauna nic nie robi dla mamony, ale jej ojciec spodziewa się, że dzięki niej uda się wyrwać z szponów AIDS przynajmniej kilkudziesięciu Warao. Kasą muszę się podzielić ze wszystkimi, których nazwiska

znasz i co do których zgodziłaś się, by pomogli w poszukiwaniach. Zwiększenie tempa poszukiwań także nie odbędzie się za darmo. Wcześniej pozostawałaś głucha na każdy argument, ale teraz nie masz wyboru. Ja także. Satysfakcja z odnalezienia trupów, które później ożywisz w gazecie, jest bodźcem dalece nieprzekonującym.

– A co by takim było?

– Coś, co wiesz. Coś, z czego mogę chcieć zrobić dowolny użytek w przyszłości.

– Informacje?

– Powiedzmy...

– Na jaki temat?

– Na temat Anny.

– Martinez, słodki z ciebie chłopiec. Mam ci sprzedać byłą przyjaciółkę i obecną szefową?

– Strzelasz z armaty do wróbla. Nikogo nie sprzedajesz, a dużo kupujesz. Własny spokój i zadowolenie naczelnej. Radość rodziny Majchrzaków. Zysk duży, inwestycja niewielka.

– Co cię interesuje?

– Anna zawsze nosi rękawiczki. Nigdy nie chce ich zdjąć. Nie chce także, bym dotykał jej dłoni. Nie mogę ich nawet musnąć ustami. – Martinez sprawiał wrażenie przejętego. Ewa nie spodziewała się, że Anna mogła obudzić w kimkolwiek taką ciekawość. Tym bardziej w Martinezie, który stronił od pań na co dzień posługujących się narzędziami skłaniającymi mężczyzn do romantycznych zachowań.

– Kiedy to zauważyłeś?

– Nigdy nie było inaczej. Przyzwyczailem się i przestałem pytać. Anna nie przebierała w środkach, by dać mi do zrozumienia, gdzie są granice jej tolerancji dla mojej ciekawości. W końcu musiałem odpuścić. Nie przestałem poszukiwać odpowiedzi na kilka pytań, co – jak widzisz – robię nawet teraz.

– Dobrze. Musimy ustalić warunki wymiany. Informacja za informację. Zgoda?

– Równanie będzie wyglądało trochę inaczej. Moja niewiadoma to spokój Anny. I wynikająca z niej wdzięczność dla człowieka, który jej go zapewnił. Chcę się dowiedzieć, jak do tego doprowadzić.

– Martinez, ja się nie zajmuję psychologią związków międzyludzkich. Nie prowadzę też kolumny poradnikowej w kolorowej prasie. Specjalizuję się w dziennikarstwie śledczym i mogę służyć pomocą tylko w tym zakresie. – Ewa wzięła głębszy oddech. – Znam Annę od wielu lat, co nie czyni tej znajomości w żaden sposób wyjątkową. Moja była przyjaciółka mówi o sobie dużo i często, a wybrańcom nie szczędzi szczegółów. Obraca się w środowisku, które daje jej poczucie wyjątkowości. Szczerze mówiąc, wiem o niej więcej niż inni. I ten fakt stawia mnie w tej chwili w dość niekomfortowym położeniu. Zakładałabym bowiem, że niektóre tajemnice powierzyła mi pod warunkiem zachowania ich tylko do mojej wiadomości. – Ewa ponownie westchnęła. – Jednak sytuacja najwyraźniej zwalnia mnie z tego obowiązku. Oby było warto. – Kończąc zdanie, zmieniła głos. – Źle znoszę rozczarowanie. Nie okazuję słabości i jest to mój znak firmowy. Pamiętaj

o tym wtedy, gdy będziesz chciał przekroczyć granicę, do której dziś zbliżyłeś się niebezpiecznie blisko – wycedziła, zaciskając dłoń na słuchawce telefonu. W tym samym momencie jej wzrok padł na miejsce, w którym kilka minut wcześniej zostawiła list do Piotra. Kartka zniknęła. – Pracuj dalej. Odezwe się – powiedziała, żegnając się z Martinezem.

Ewa rozejrzała się po pokoju. Nikogo w nim nie było. I nie mogło być w tym czasie, w którym przebywała w środku. Chwyciła za klamkę. Klucz przekręciła w zamku odruchowo, zaraz po wejściu do mieszkania. Drzwi pozostawały zamknięte. Racjonalne podejście do rzeczywistości oraz analityczny umysł podpowiadały kilka scenariuszy, z których każdy był tym razem jednakowo nieprawdopodobny. Zaskoczona, wzięła torebkę i wyszła, upewniając się, że zostawia wszystko w należyтым porządku. Na autobus czekała zaledwie kilka minut. Jadąc w kierunku centrum, zastanawiała się, w jaki sposób Piotr dociera do napisanych przez nią listów i podrzuca swoje.

Autobus zatrzymał się na Alameda Principal. Mimo tego, że ostatniego dnia sierpnia termometry pokazały ponad trzydzieści pięć stopni, Ewa postanowiła się przejść. Chciała oddalić się od turystycznej części miasta i w spokoju obmyślić plan na najbliższych kilka dni. Ruszyła w górę rzeki Guadalmedina, która dzieliła miasto na dwie nierówne części. O tej porze roku była pasem wyschniętej ziemi. Na ścianach wybetonowanego koryta władze miasta wypisały listę zachowań wymaganych od wszystkich tych, którzy latem wykorzystywali to miejsce w celach rekreacyjnych. Chodziło przede wszystkim o młodzież, ponieważ lubiła tam uprawiać różne sporty. Wszędzie obowiązywał zakaz montażu jakichkolwiek przedmiotów na stałe. Pod żadnym pozorem nie wolno było tam przebywać w każdy pierwszy wtorek miesiąca, ponieważ wtedy czyszczono koryto rzeki. Ewę zaskoczył precyzyjny charakter tych informacji.

Żar stawał się powoli nie do zniesienia, postanowiła więc skręcić w jedną z bocznych uliczek. Huk samochodów zdawał się poddawać ciszy wymuszonej sjeście. Ewa zwolniła kroku i zaczęła się przyglądać fasadom okolicznych budynków. Przesycone oddechem pierwszych mieszkańców, dziś cieszyły się obecnością kolejnych lokatorów. Ci zaś wcale nie musieli pamiętać o duszach swoich poprzedników z La Golety. Najważniejszą arterią w tym kwartale jest ulica Ollerías. Z pozoru dość niepozorna, urzeka nieoczywistym pięknym każdego uważnego przechodnia. Bystre oko redaktor Mulner dostrzegło Pasaje de Melendez. Znany od początku siedemnastego stulecia przesmyk między budynkami zawdzięczał nazwę Sancho Melendezowi, jednemu z najznamienitszych kamieniarzy epoki. Zaledwie kilka kroków dalej, pod numerem Ollerias 14 mieszkał przed laty Manuel Prados y López, dziennikarz i oficjalny kronikarz Malagi. Kilkadziesiąt lat po jego śmierci w tym samym budynku otworzył swoje podwoje niewielki sklep z starociami. Ewa stanęła przed witryną Mundo Antigo, wpatrując się w informację, którą właściciel umieścił na drzwiach wejściowych. „Jeśli nas nie ma, zadzwoń. 666-777-888”. Odręczne pismo mogło sugerować niechęć do przyzwyczajzeń współczesnego świata. Lub – co bardziej prawdopodobne – stanowić zaproszenie do bezpośredniego

kontakty, skierowane dla klientów o bardziej wysublimowanych gustach. Przedmiotów ułożone w witrynie nie łączyło w zasadzie nic. Zaraz przy szybie stała marmurowa głowa kobiety. Przed nią leżały dwa plastikowe samochodziki, obok – paradna czapka oficera Armii Radzieckiej. Kilkanaście centymetrów dalej ustawiono na sztorc parę starodawnych stempli. Tekst pieczęci był nieczytelny. Całości dopełniał komplet damskiej biżuterii z szarych, sztucznych pereł. Ewa chwyciła za klamkę i popchnęła drzwi. Weszła. W środku nikogo nie było. Na biurku w głębi sklepu paliła się malutka lampka, bez której – ze względu na brak naturalnego światła – we wnętrzu nie byłoby widać zupełnie nic. Rozejrzała się. Na podłodze siedział kot i omiatał ogonem parę oficerek naciągniętych na drewniane prawidła.

– Nie spodziewaliśmy się pani akurat dziś. Właściwie nie jesteśmy przygotowani. Można by powiedzieć, że ten moment nie jest najlepszy nawet na krótką pogawędkę. – Głos należał do mężczyzny w wieku około czterdziestu lat, był dość niski i przyjemny w odbiorze.

Ewa starała się odnaleźć źródło dźwięku, lecz w półmroku panującym w sklepie nie było to możliwe.

– Trudno się rozmawia, nie widząc czyjejs twarży. Gdzie się pan ukrył, jeśli można to tak ująć?

– Szanowna pani, jestem tuż obok. – Właściciel głosu opierał się o ścianę i wpatrywał w Ewę z zaciekawieniem. – Niestety nie mogę zaproponować kawy. Jak już wspomniałem, jesteśmy trochę zajęci.

Poza mężczyzną w królestwie osobliwości nie było nikogo. Tym bardziej zaskakujący wydał się Ewie upór rozmówcy.

– Jesteście...? Komu ma pan zamiar sprzedać *Rozbitków* Álvaro Núñeza Cabezy de Vaca? Kto kupi hiszpańskie wydanie *Zwierząt, ludzi, bogów* Ossendowskiego? Nikogo się pan dziś nie spodziewa. Jutro też nikogo tu nie będzie. O ile dni się pomyliłam?

– Impertynencja kobiet nie ma sobie równych. – Mężczyzna starał się zachować formę, dając do zrozumienia, że jego cierpliwość ograniczają zdarzenia, które mają dopiero się wydarzyć.

– Arogancja i krótkowzroczność przedstawicieli męskiej części świata uniemożliwiała już transakcje, które mogłyby zasilić skarbiec niejednego państwa. –

Ewa była przeciwnikiem tyleż trudnym, co wdzięcznym. Kończąc zdanie, uśmiechnęła się i zalotnie zadarła głowę. – Zależy mi na pewnych informacjach – dodała w nadziei, że uda się zabawić w tym miejscu trochę dłużej.

– Szanowna pani, naprawdę jesteśmy już zamknięci. – Mężczyzna w skupieniu wpatrywał się w Ewę. – Proszę przyjąć tę książkę na znak szacunku i jako wyraz nadziei na kolejne spotkanie – mówiąc to, zdjął z półki egzemplarz Ossendowskiego. – Wkrótce się zobaczymy – dodał, wręczając Ewie legendarne zapiski polskiego podróżnika. Następnie powoli uklonił się, odwrócił i zniknął za drewnianą szafą, zajmując znaczącą część pomieszczenia. Kot przeciągnął się leniwie i miauknął, dając do zrozumienia, że także i jego czas został wyczerpany.

Po wyjściu na ulicę Ewa oparła się o fasadę budynku i zaczęła przeglądać

bibliofilskie cacko. Nie kolekcjonowała książek, nie zbierała znaczków. Nie lubiła się otaczać przedmiotami, będącymi świadectwem starych błędów lub zapowiedzią nowych. Tym większe zdziwienie wzbudził w niej prezent od antykwariusza.

Sama postać Ferdynanda Ossendowskiego, uznanego w latach dwudziestolecia międzywojennego za polskiego Karola Maya, stanowiła istotny punkt odniesienia dla środowiska podróżników i wielbicieli literatury podróżniczej – mimo uporu, z jakim władze PRL-u starały się wymazać pamięć o nim z publicznej świadomości. Ossendowski otwarcie prezentował światopogląd antykomunistyczny, co po 1945 roku nie mogło się podobać ani w Polsce, ani – jeszcze wcześniej – w Rosji trawioną wojną domową, skąd powrócił do kraju w 1922 roku. Związek Radziecki także pielęgnował w sobie nienawiść do Ossendowskiego, więc gdy Armia Radziecka przekroczyła granice z Polską po zakończeniu drugiej wojny światowej, zorganizowano poszukiwania jego grobu, a następnie ekshumowano znajdujące się w jego wnętrzu ciało. Sowieci chcieli mieć pewność, że szczątki faktycznie należą do podróżnika. Drugim – nieoficjalnym – powodem otwarcia grobowca, była próba odnalezienia informacji o miejscu ukrycia legendarnego skarbu krwawego barona Ungerna-Sternberga, z którym Ossendowskiego łączyła ożywiona znajomość.

Ewa zaczęła kartkować *Zwierzęta...*, gdy nagle dostrzegła małą, poźółkłą karteczkę wciśniętą między strony powieści. „Odmawiam uznania rządów klasy robotniczej. Jak człowiek, który nigdy nie miał nawet służącego, może mówić o rządzeniu?” (Michałowski, 1977). Pod cytatem umieszczono literę U. Ewa odwróciła kartkę na drugą stronę. „O czym należy pamiętać, korzystając z pomocy partyzantów wenezuelskich w poszukiwaniu obywateli Unii Europejskiej. Do zobaczenia wieczorem. Piotr”.

Redaktor Mulner wzięła głęboki oddech i zrobiła krok w kierunku Mundo Antigo. W tym samym momencie ktoś gwałtownie spuścił zewnętrzną roletę, skrywając wejście do sklepu i okno, przez które wcześniej Ewa zaglądała do środka. Z wściekłości zagryzła wargi. Miała wrażenie, że Piotr może wiedzieć o niej więcej, niż by chciała. Na korektę tego stanu rzeczy było najwyraźniej za późno. Postanowiła więc wrócić do hotelu i sprawdzić, co do tej pory ustalił Martinez.

Powrót zajął jej kilkanaście minut. O tej porze Malaga była niemiłosiernie nagrzana. Chodniki odbijały światło, oślepiając nieuważnych przechodniów. Były śliskie, trzeba było uważać, stawiając na nich stopy, zwłaszcza wtedy, gdy ich właściciele przyodziali obuwie z plastikowymi podeszwami. Dotyczyło to szczególnie kobiet, które lubiły mylić plażę z miejskim trotuarem.

Po wejściu do pokoju Ewa wzięła szybki prysznic, wytarła się i usiadła przy hotelowym biurku. Wyjęła z sejfu telefon. Siedem nieodebranych połączeń od Martineza mogło świadczyć o tym, że poszukiwania weszły w decydującą fazę. Lub że w ogóle się zaczęły, biorąc pod uwagę aktualny ogląd sytuacji.

– Martinez?

– Jesteś nareszcie! Musimy porozmawiać. Jest nowy trop.

– Żaden nowy, jak mniemam. Wcześniej nie było żadnego.

– Nie gramy w słówka, dobrze? Patrol stacjonujący niedaleko Zakładów

Cementowych Catatumbo odnalazł plecaki należące do zaginionych Polaków. Plecaki są dwa. Jeden – jakby podręczny, w kolorze zielonym – ma po prawej stronie wypaloną dziurę. Drugi, większy, jest w lepszym stanie. O wiele lepszym. Powiedziałbym nawet, że nie nosi żadnych śladów użytkowania. W środku znaleziono paszporty Anny i Witolda Majchrzaków. W każdym z paszportów znajduje się list wystawiony przez Ambasadę Polską w Caracas, w którym władze Polski proszą o pomoc każdą osobę, do której zwrócą się posiadacze tych dokumentów.

– Masz je? Chcę zobaczyć zdjęcia wszystkich przedmiotów znalezionych w plecakach. Oraz dokładne zdjęcia terenu, na którym je zlokalizowano.

– W zasadzie mam dostęp do wszystkiego. Musimy ustalić, dlaczego w plecakach nie było żadnych ubrań zaginionych ani innych rzeczy osobistych. Poza paczką starych herbatników oraz w połowie pustą butelką po miejscowej oranżadzie.

– Co to znaczy „w zasadzie”?

– To znaczy, że w tej chwili mam swobodny dostęp do wszystkiego, co znaleźli partyzanci. Znaleźiska muszą zostać wykupione w ciągu dwóch dni. W przeciwnym razie zostaną przekazane miejscowej policji. Wtedy nie będzie już żadnej gwarancji, że kiedykolwiek je odzyskamy. A gdyby nawet, na skutek wtórnych uszkodzeń przestaną być wiarygodnym źródłem informacji.

– Wykup wszystko, co tam jest. Byle szybko.

– Szybkość przydaje się przy łapaniu pcheł. Każde poważniejsze zadanie wymaga czasu oraz środków. Tych ostatnich w tej chwili brakuje.

– Martinez, dostałeś tyle, ile jesteś wart ty i twoi kumple. Więcej pieniędzy nie będzie.

– Nie chodzi o pieniądze. Interesują mnie informacje, w których jesteś posiadaniu.

– Znowu chodzi o Annę?

– Tak. Miałaś się zastanowić. Zatem?

– Gratuluję wytrwałości.

– Nie brakuje mi jej.

Ewa przełknęła ślinę. Źle znosiła sytuacje, w których ktoś przypierał ją do muru. Zwłaszcza takie, w których intuicyjnie wyczuwała rację drugiej strony.

– Opowiem ci o Annie w taki sposób, by nie skrzywdzić jej samej i nie zniszczyć zaufania, którym obdarzała mnie latami. Choć połączyła mnie z nią przyjaźń dziś należąca już do historii, nasza umowa o poufności nigdy nie powinna zostać złamana. Nie powinna być też wystawiona na żadną próbę, a tego ode mnie w tej chwili żądasz. Dlaczego ci tak na niej zależy?

– Bo katalog cierpień, których doświadczyła w życiu, nie znajduje sobie równych. Nie zrozum mnie źle. Nie lituję się nad twoją szefową. Nie chcę także cofnąć czasu i wymodlić dla niej innej przeszłości. Zależy mi na możliwości współodczuwania świata w towarzystwie Anny Biernackiej. Tak bym to ujął.

– Martinez, dziecinniejesz z wiekiem, ale nie będę ci w tym przeszkadzać. Posłuchaj mnie zatem... – Ewa przerwała i zamyśliła się przez chwilę. – Anna nie miała prawa się urodzić. Jej matka wielokrotnie wywoływała poronienie. Pod koniec

lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia aborcja w zasadzie nie istniała – przynajmniej nie w oficjalnych statystykach. Nie było ani wiedzy na ten temat, ani medycznych procedur, regulujących przebieg zabiegu oraz wyjaśniających pacjentce jego konsekwencje. Często towarzyszył temu brak pieniędzy i brak świadomości skutków poronień, które odbywały się w warunkach zagrażających życiu kobiet. Przypadek Anny nie był inny. Starsza pani Biernacka piła napary przygotowane według receptury miejscowej szeptuchy. Modliła się do wszystkich bogów – tych istniejących i przyszłych – by oswobodzili ją od ciężaru niechcianego potomka. Jak wiesz, stało się inaczej i żadne domowe sposoby nie zdołały nakłonić Anny do przedwczesnego opuszczenia łona kobiety, która nosiła ją pod sercem. Po porodzie okazało się jednak, że dziecko nie jest takie samo jak inne, które tego dnia przyszły na świat na tym samym szpitalnym oddziale. Dłonie Anny uległy deformacji. Jest to widoczne szczególnie w lewej dłoni – jej dwa palce są ze sobą w połowie zrosnięte, trzeci nie wykształcił się w całości. Badania potwierdziły, że Anna cierpi na syndaktylię. To wada rozwojowa, polegająca na zrosnięciu dwóch lub więcej palców dłoni. Leczenie polega na wykonaniu operacji ich rozdzielenia. Wykonuje się ją między osiemnastym a dwudziestym czwartym miesiącem życia. W przypadku Anny tak się nie stało. Nie było nikogo, kto w owym czasie zainteresowałby się chorobą dziecka, na którego śmierć liczyła jego własna matka.

Martinez wysłuchał tych informacji w kompletnej ciszy, po czym się zamyślił.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał się.

– Taki zawód. – Ewa nie była skora ani do ujawniania źródeł swoich informacji, ani tym bardziej do rozmowy na temat pobudek, które nią kierowały. – Powiedziałam ci bardzo dużo. Wracaj do pracy. Za kilka godzin muszę mieć nowe informacje. –

Odłożyła słuchawkę z przekonaniem o sile własnych dokonań. Martinez nie miał szansy skomentować tej reakcji. Nie mógł też zadać żadnego pytania, a tych pojawiło się w jego głowie sporo.

Ewa spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Do przybycia Piotra pozostał niespełna kwadrans. Wykorzystała ten czas na toaletę, makijaż i dobranie stroju. Dzwonek do drzwi rozległ się punktualnie o umówioną godzinę. Ewa podeszła do wizjera, by upewnić się, czy gość jest tym, za kogo się podaje. Przed drzwiami pokoju stał antykwariusz poznany zaledwie kilka godzin temu. Otworzyła drzwi i stanęła w nich z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Szanowna pani, zapowiedziałem się wcześniej z wizytą, mam zatem nadzieję, że nie niepokoję swoją obecnością.

– Owszem, niepokoi pan. Spodziewam się kogoś, z czego należy wnosić, że tym razem to ja jestem zajęta. I to bardzo.

– Ja właśnie w tej sprawie.

– W której? My nie mamy żadnych spraw, jak mniemam.

– My możemy ich nie mieć, lecz śmiem w to wątpić. Przyniosłem przesyłkę. – Antykwariusz skłonił się uprzejmie i podał Ewie podłużne, drewniane pudełeczko. – Piotr prosił, by je pani przekazać. Jest mu przykro, że nie mógł zjawić się osobiście.

– Piotr? Panowie się znacie?



– Można tak powiedzieć, choć uważałbym z definiowaniem poziomu zażyłości. To mój brat. Wie pani, jak to bywa z rodziną.

– Akurat nie wiem. Moja własna ogranicza się do córki. Proszę wejść. – Ewa przesunęła się, wpuszczając antykwariusza do środka. – Napije się pan czegoś? Gorąco dziś.

– Szanowna pani, w Maladze jest zawsze gorąco. Będę wdzięczny za szklaneczkę wody.

– Jak to możliwe, że recepcja nie powiadomiła mnie o pana wizycie? – Ewa zaczęła szybko analizować fakty.

– Nie było takiej potrzeby. Znam tu wszystkich, wszyscy znają mnie. To samo dotyczy Piotra.

– Ale mnie nie znają – odparła Ewa, otwierając pudełeczko. W środku znajdowało się polaroidowe zdjęcie masywu górskiego. Krajobraz przypominał polskie Góry Stołowe, lecz był surowszy. Na polanach rozpościerających się między szczytami zamiast śniegu lub wysokich traw można było dostrzec spalone słońcem drzewa poziomkowe. Ewa z zaciekawieniem odwróciła zdjęcie na drugą stronę. Rozpoznała charakter pisma Piotra.

*Droga Ewo,*

*dziś wezwały mnie obowiązki. Żałuję, że nie mogę Cię za to przeprosić osobiście. Przysyłam rodzony brata, którego miałaś okazję dziś poznać. Ma na imię Paweł. Wybacz mu jego dziwactwa. To dobry człowiek, choć nie zawsze umie przekonać do siebie ludzi.*

*Jutro jedziemy do El Torcal. To rezerwat przyrody niedaleko Antequery. Przepiękne miejsce, mam nadzieję, że jeszcze w nim nie byłaś. Dobrze się przygotuj, bo spędzimy tam dobrych kilka godzin. W nocy w górach bywa chłodno, w ciągu dnia żar leje się z nieba.*

*Będę o dziewiątej rano. Punktualnie.*

*Piotr*

Ewa zastanowiła się chwilę i spojrzała na antykwariusza. A więc to bracia... Nie dostrzegła między nimi fizycznego podobieństwa. Nie spodziewała się także żadnego innego.

– Panie Pawle, czy mogę się tak do pana zwracać?

– Na mnie już czas. Czas, jak być może pani zauważyła, jest jedynym dobrem, którego nie można kupić, a którego zawsze brakuje. Proszę mi wybaczyć, wskazówki mojego wewnętrznego zegara przesunęły się znacząco do przodu, co oznacza, że nie mam już ani chwili do stracenia. – Antykwariusz ukłonił się jeszcze raz, poczekał aż Ewa zdąży odwzajemnić pożegnanie, i pospiesznie wyszedł.

Redaktor Mulner podeszła do drzwi, zamknęła je i ponownie rozejrzała się po pokoju. Jeszcze raz przeczytała list od Piotra i odłożyła zdjęcie na biurko. Zaczęła się pakować.

---

[6] Od zawsze – hiszp.

## ROZDZIAŁ 7 JASKINIA

Recepcja zadzwoniła punktualnie o dziewiątej rano.

– Seniora Mulner, ma pani gościa.

Piotr stał w hallu przy głównym wejściu. Widząc, jak Ewa schodzi po schodach, uśmiechnął się i podniósł prawą dłoń na znak powitania.

– Hiszpania ci służy – powiedział, przyglądając się jej uważnie. – Nie myślę się, mam nadzieję?

– Być może nie. Chyba czas na nas. – Ewa ruszyła w kierunku wyjścia, nie czekając na odpowiedź. Szła tak dłuższą chwilę, nie oglądając się za siebie. W pewnym momencie zorientowała się, że w otaczającym ją tłumie malagijczyków brakuje Piotra. Musiała zawrócić. Towarzysz podróży czekał na Ewę w tym samym miejscu, w którym się rozdzielili.

– Dlaczego tak? – zapytała tak szybko, jakby odpowiedź nie była warta czasu na jej przemyślenie.

– Nie zwykłem biegać za kobietami. – Piotr spojrzał się na Ewę z wyrozumiałością charakterystyczną dla mężczyzn zdolnych do pokory, ale niepokodzonych z koniecznością podążania śladami innych ludzi. – Dziś jesteś moim gościem. Czy nie byłoby wygodniej, gdybyś poddała się tutejszemu rytmowi życia? Najłatwiej to osiągnąć, zostawiając za sobą przeszłość. Świat rodzi się i żyje dziś. Jutro będzie jutro. Historia jest potrzebna tylko po to, by wysnuwać z niej wnioski i unikać błędów w czasie, który ma dopiero nadejść.

– Tutejszemu?

– Hiszpanie każdego dnia odczuwają obecność odległej perspektywy czasowej, bo z każdej strony otacza ich historia. Dzięki temu, choć potrafią wyznaczyć granicę między terażniejszością a przeszłością, nie muszą tego robić. Nie analizują jej w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania odnoszące się do dziś. Resentymenty są im obce. Mogą skupić się na przyjemnościach związanych z odczuwaniem upływu czasu w skali jednego dnia. Mieszkańcy północnej części Europy są pozbawieni tej możliwości. Szukają własnej tożsamości historycznej, starając się zrozumieć pobudki, które zaważyły na decyzjach podjętych przez przodków. Najczęściej odnajdują skąpe ślady ich sposobu rozumowania. Rozczarowanie związane z nieudaną wycieczką do przeszłości wywołuje niepokój i potrzebę rozładowania napięcia. Nieustający pośpiech jest w tej sytuacji powszechnie stosowanym narzędziem redukującym jego poziom. Gwarantuje krótkowzroczność, a bardzo często prowadzi do całkowitej ślepoty. Gdy malagijczycy rozpoczynają dzień, zajadając w swoich ulubionych barach tosty z konfiturą pomidorową, mieszkańcy Warszawy już pracują. Bardzo ciężko, sądząc po zaciętości malującej się na ich twarzach. Nie kwestionują sensowności

samej drogi, zwracam tylko uwagę na okoliczności towarzyszące jej wyborowi.

– Bardzo elegancko to ująłeś.

– Owszem. Elegancja to umiejętność stawiania granic między intelektualną zadyszka parweniusza a wewnętrznym spokojem arystokraty umysłu. Obaj poruszają się po tych samych polach szachownicy. Czasami grają przeciwko sobie, jednak o wiele częściej obok siebie. Świadomi swojego współistnienia, starają się nie wchodzić sobie w drogę. W ten sposób każdy zachowuje prawo do własnego zdania i czuje się dobrze, wiedząc o istnieniu równoległego świata. Dlatego za nikim nie biegam. To dotyczy także kobiet. Lubię elegancję w zachowaniu, nie szczędzę jej w języku. Oczekiwanie płci pięknej, że będą ubiegał się o względy pań, prowadzi do rozczarowania. Staram się nie wywoływać takich uczuć u nikogo. Źle znoszę łyzy, jeszcze gorzej krzyk. Czy nie zostałyście stworzone po to, by błyszczeć i promienieć szczęściem?

– Może już pójdziemy? – Ewa postanowiła przemilczeć kąśliwą uwagę Piotra.

Szli w milczeniu ponad pół godziny. Na początku września znalezienie miejsca parkingowego w centrum Malagi graniczy z cudem, dlatego Piotr pozostawił auto na jednej z bocznych ulic. Domek rybacki położony był niespełna kwadrans na piechotę od miejsca, w którym znajdował się samochód. Mimo to Ewa postanowiła nie pokazywać swojej drugiej siedziby Piotrowi. Uniknęła w ten sposób pytań o przyczynę i cel pobytu w Maladze. Nie była jeszcze na nie gotowa.

– Wsiadaj!

Ewa rozejrzała się wokoło. Jedyнным pojazdem czekającym na pasażerów na tyłach jezuickiego Kolegium im. Świętego Stanisława Kostki był powóz podobnych do tych, które obwoziły turystów po centrum miasta. Widywała je codziennie, ponieważ główny postój konnych taksówek znajdował się przy Parque de Málaga, dokładnie naprzeciwko głównego wejścia do Hotelu Palacio.

– Gdzie mam wsiąść? – Zdziwienie ustępowało miejsce rozbawieniu. – Czy w tym *barrio* odległości są tak duże, że należy je pokonywać za pomocą aż dwóch środków lokomocji? Z których jeden wykorzystuje siłę pociągową konia?

– Wysnuwanie właściwych wniosków przy minimalnej liczbie danych jest umiejętnością, którą mogą się poszczycić tylko nieliczni. Warto należeć do tego zacnego grona, zwłaszcza jeśli jest się kobietą. Panie nie powinny się tu spodziewać zbyt dużej konkurencji. – Piotr zazwyczaj unikał w kontaktach z innymi ludźmi prezentowania radykalnych poglądów społecznych. Nieprzestrzeganie tej zasady mogło w czasach poprawności politycznej oznaczać ostracyzm towarzyski, w najgorszym zaś – utratę pracy. Tym bardziej zaskoczyła go brawura, jaką – w pewnym sensie nieświadomie – właśnie zaprezentował.

– Odważny jesteś. – Ewa zignorowała zaczepkę i oparła się o powóz.

– Dziś niedziela. Pomyślałem, że należy się nam z tej okazji coś ekstra. – Mówiąc to, Piotr kiwnął głową, dając znak niewidzialnej postaci. Obok natychmiast pojawił się hiszpański woźnica. Z wielką atencją pomógł Ewie rozsiaść się na szerokiej kanapie umieszczonej przodem do kierunku jazdy, po czym zaczął aż Piotr usiądzie obok. Chwilę potem z gracją wskoczył na kozła i cmoknął na konia. Ruszyli, kierując

się ponownie do centrum stolicy Costa del Sol.

– Zastanawiam się, po co ta cała maskarada. – Ewa lubiła rozumieć sens wszystkiego, w czym brała udział. Powrót do miasta w środku dnia uznała za pomysł kompletnie niedorzeczny. Nie chciała jednak mówić o tym Piotrowi zbyt wprost i od razu. Miała bowiem wrażenie, że pokonanie tej samej drogi w inny sposób ma służyć jakiemuś celowi.

– Wrzesień to końcówka wysokiego sezonu, więc choć żar leje się z nieba, między ulicami El Centro Historico nadal przelewają się fale turystów. Malaga w godzinach południowych stanowi wyzwanie nawet dla Andaluzyjczyków przyzwyczajonych do bardzo wysokich temperatur. Szukają cienia, wiatru i chłodu, na jaki pozwalają aktualne możliwości urbanistyczne śródmieścia. I jest kilka miejsc, w których im się to udaje.

– Na przykład?

– Na przykład katedra. Właśnie do niej zmierzamy.

– Do katedry? Idziemy na mszę?

– W pewnym sensie. Chciałbym ci coś pokazać. Rzec w tym, że celebrowanie atmosfery tego miejsca jest w niedzielę możliwe tylko podczas nabożeństwa. O drugiej po południu zamykają darmowe wejście dla wiernych, później trzeba kupić bilety i postać w kolejce.

– Nie masz sobie równych. Ciekawa jestem, co będziemy oglądać. – Ewa nie ukrywała już zaskoczenia. – Obiekt kultu religijnego?

– Nie powiedziałbym, bo może służyć różnym celom. Znajduje się jednak w miejscu związanym z religią katolicką, więc w zasadzie można tak powiedzieć. Daj tylko odpocząć swojej wyobraźni i poczekaj na to, co przyniesie rzeczywistość.

Przejażdżkę ulicą Juan Sebastian Elcano, łączącą dwie nadmorskie dzielnice Malagi – El Palo i Pedregalejo – wzdłuż trzeciej linii zabudowy, licząc od morza, Ewa zaliczyła do udanych. Mimo wszechogarniającego gorąca, w powozie było dość przewiewnie. Słońce rozlało się już po większości budynków, odbijając od fasad i oślepiając przechodniów. Oba miejsca – historycznie raczej dość biedne – zostały przed kilkudziesięcioma latami zamieszkałe przez ludność przybyłą z tradycyjnie rolniczego regionu Almerii. Po wielu latach, w kwartałach wyznaczonych niektórymi ulicami, straciły w dużej mierze swój pierwotny, rybacki charakter. Znalazły w nich siedziby prywatnych klinik medycznych oraz szkół językowych. Zbudowano też część rezydencyjną, w której osiedli zamożniejsi przedstawiciele malagijskiej burżuazji.

Ewa przyglądała się tym obrazkom dość obojętnie, czekając aż powóz dojedzie do celu. Piotr nie prowokował rozmowy. Droga do katedry miała stanowić zaledwie wstęp do kilku wspólnych dni. Zatrzymali się po kilkunastu minutach blisko bocznego wejścia do kościoła. Wysiedli z niego prawie w tym samym czasie i – spojrzawszy na siebie przez chwilę – skierowali od razu do środka.

Przywitał ich śpiew siostry zakonnej. *Chlebie żywy, Boże mój Boże, jesteś chlebem życia.* W skupieniu zajęli miejsca blisko ołtarza. Było stąd dobrze widać zarówno

księdza-celebransa, jak i wiernych. Choć Hiszpania uważana jest za mekkę rzymskiego katolicyzmu, nie potwierdza tego liczba osób biorących czynny udział w życiu religijnym. Msza o trzynastej, druga najważniejsza w niedzielnym rytuale, zgromadziła zaledwie dwieście osób. W większości starszych, odświętnie ubranych pań, które obecnością i ofiarą pieniężną oddawały hołd Chrystusowi. W powietrzu unosił się zapach jaśminowych kadzideł i wilgoci wsiąkniętej w kamień, poddający się za dnia osuszającemu działaniu słońca. Pojawieniu się kapłanów towarzyszył dzwonek. W tym samym momencie po stronie kościoła zajętej przez oczekujących mszy wiernych rozkwitło kilkadziesiąt kolorowych kwiatów hibiskusa. Takie wrażenie zrobiły na Ewie wachlarze, które rozmodlone Hiszpanki wyjęły z torebek i rozłożyły w tym samym czasie. W powietrzu rozniósł się zapach perfum, w który kobiety przyobkleły swoje ziemskie wcielenia na znak szacunku dla Absolutu.

Piotr spojrzął na Ewę i dłonią wskazał punkt znajdujący się po prawej stronie głównego ołtarza katedry. Pod sufitem, pomiędzy kaplicą świętej Barbary a kaplicą Wcielenia, wisiała drewniana kładka. Dokładnie ta sama, na którą Ewa zwróciła uwagę kilka dni wcześniej. Tym razem zauważyła, że kładka była na stałe przymocowana do zewnętrznej ściany katedry i cokołów podtrzymujących ołtarz.

– Dwieście lat temu służyła robotnikom remontującym świątynię do noszenia materiałów budowlanych – wyjaśnił Piotr. – Jednak z czasem zaczęto ją wykorzystywać do innych celów.

– Po co remontować coś, co powstało stosunkowo niedawno?

– Nie po co, tylko dlatego. Dach katedry od zawsze przeciekał. Bryła budynku oraz jego wystrój robią wrażenie. Sama konstrukcja od początku budziła wątpliwości ówczesnych budowniczych katedry. Szczególnym momentem w historii tego obiektu był montaż zegara, który dla potrzeb katedralnej wieży zbudował José Rodríguez Losada. Ten sam jegomość skonstruował mechanizm wiszący w wenezuelskiej katedrze. Londyński Big Ben to także jego dzieło. Historia światowego zegarmistrzostwa sporo Hiszpanii zawdzięcza. Nie jest to niespodzianką, biorąc pod uwagę rolę czasu w rozwoju społeczeństw Półwyspu Iberyjskiego.

– Nie lubię niespodzianek. Przypominają mi o rzeczach, których nie da się zaplanować lub które trudno przewidzieć. Żyję w świecie w pełni rozpoznanym. Nie ma w nim tajemnic, niedopowiedzeń ani algorytmów zmuszających do zawracania z raz obranej drogi.

– Dobrze się składa, bo El Torcal spełnia te warunki. To rezerwat przyrody, został bardzo dobrze zbadany i opisany. Rząd Hiszpanii zadbał, by wpisano go na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Miejsce jest wyjątkowe ze względu na formacje skalne przypominające cięte na plastry kłęбки bawełny. Sto pięćdziesiąt milionów lat temu w tym miejscu płynęło morze. Ruchy tektoniczne wypiętrzyły dno zbiornika ponad powierzchnię wody i oczom naszych praprzodków ukazało się sporej wielkości kamienne miasto. Dzieli nas od niego około sześćdziesięciu kilometrów. Pokonamy tę odległość w niespełna godzinę. Kierujemy się do Antequery, na północny zachód od Malagi.

– Czemu zawdzięczam tyle szczegółów?

– Miejsce jest wyjątkowe, ale może rozczarować osobę przyzwyczajoną do zabytków klasy zerowej oraz zapierających dech w piersiach alpejskich szczytów.

– I znowu błędne wnioski. Nie chcę odpowiadać za nieswoje grzechy i usprawiedliwiać własnych przyzwyczajzeń. Lubię je. Nie lubię tego, za czym szaleją inni.

Długoletnie obcowanie z kobietami nauczyło Piotra, że unik też jest ruchem. Bywa, że najlepszym z możliwych. Po dłuższej chwili wyszli więc z kościoła i drogę do samochodu przebyli w milczeniu. Znalazłszy go, wsiedli i odjechali w kierunku El Torcal, podziwiając niekończące się grzbiety gór porośnięte drzewami, które z daleka przypominały karawanę wielbłądów zdążającą w nikomu nieznanym kierunku.

W pewnym momencie drogowskaz pokazał docelowe miejsce. Zaparkowali auto i po dłużej chwili dotarli do Centrum Obsługi Turystów. Mimo szczytu sezonu świeciło pustkami. Trudno oczekiwać, by wielbiciele nadmorskich atrakcji tłoczyli się w kolejce do rozgrzanych do czerwoności skał. Piotr wybrał trasę o niskim stopniu trudności. Wiła się między ususzonymi na papier agawami a cierniami drzew rozrzuconymi bezładnie po powierzchni rezerwatu. Nad głową Ewy pojawił się sęp. Krążył wokół niej, by za chwilę odpocząć na szczycie jednej z bawełnianych skał. El Torcal poddawał się niszczącemu działaniu słońca w ciszy i skupieniu. Woda koła jego spierzchniętą ziemię niespiesznie, sądząc po głębokich koleinach wyżartych w powierzchni. Cień, który dawały dęby i buki, przysłał niewielkie fragmenty półek skalnych. W jego poszukiwaniu Ewa i Piotr postanowili zajrzeć do otworu w ziemi, który niespodziewanie pojawił się przed ich stopami. Zmęczenie nie pozwoliło im jednak zejść w dół. Usiedli obok, mając nadzieję na chwilę wytchnienia. Piotr położył Ewie głowę na kolanach i zamknął oczy. Sen przychodził powoli. W końcu zawładnął ciałami obojga podróżników, wyłączył umysły, oddał dusze działaniu wyobraźni. Obrazy, które się w niej rodziły – choć nierzeczywiste – zachowały pozory rzeczywistości.

Jaskinia jest płytka i dość niewielka. Mężczyzna schodzi w dół powoli, by się nie poślizgnąć i odkryć jak najwięcej pierścieni amonitów, ślimaków i harmonijkowatych tub, w których wiecznemu odpoczynkowi oddają się potopione kilkadziesiąt milionów lat temu zwierzęta. Przed nim wielka, pusta sala. Słyszy przelewającą się obok wodę. Gdy wzrok przyzwyczai się do ciemności, mężczyzna dostrzeże łódź czekającą na niego przy brzegu podziemnego jeziora. Wsiądzie do niej, wiedziony przeświadczeniem o słuszności podjętej decyzji. Chwyci wiosła i skieruje łódź ku świecom. Przy jednej ze skalnych półek czeka na niego kobieta. Ma na sobie szmaragdową suknię z charakterystyczną dla osiemnastowiecznych strojów, wysoką krynoliną. Bez słowa wita go na brzegu i dłonią wskazuje kierunek spaceru.

Na widowni zasiada sam. Szósty rząd. By nie być ani zbyt daleko, ani – tym bardziej – zbyt blisko.

W ten wieczór założył czarny surdut. Z oparcia sąsiedniego krzesła zwisa długa peleryna z grubego, naturalnego jedwabiu.

Dzieli ich kotara w kolorze burgundzkiej czerwieni, okrywająca scenę bardzo szczelnie. Mężczyzna prawą rękę wspiera się o fotel, palce w geście ukośnej wiktorii podtrzymują głowę. Jest niecierpliwy, choć tak bardzo lubi czekać.

Pierwszy takt rozpoznaje w sekundę. Webber, *Upiór w operze*.

Kurtyna rozsuwa się bardzo powoli. Na scenie nie ma żadnej scenografii poza krzesłem obłożonym ciemnoróżowym aksamitem. Siedząca na nim postać trzyma w dłoni pusty kieliszek do wina. Kryształowy, z grubo ciętego szkła. Jej twarz zasłania maska z piór, które przypominają skrzydła drapieżnego ptaka.

Muzyka budzi niepokój. Jest coraz szybsza, lecz na scenie nadal nic się nie dzieje. Postać odstawia kieliszek na podłogę. Po chwili odwraca głowę. Mijają kolejne minuty.

Mężczyzna wstaje. Podchodzi do postaci powoli. Jednym ruchem przecina wiązanie, maska opada na scenę. Postać zastanawia się, dlaczego mężczyzna nosi przy sobie nóż.

– Lubię tylko prawdę. – Mężczyzna wraca na miejsce. Jego spokojny krok podpowiada postaci, że się nie pomyliła. Wpatruje się w niego, po chwili zawstydzona spuszcza wzrok. Chwyta w palce dół sukni, powoli odsłaniając bosc stopy.

– Lubię widzieć. Tym bardziej wiedzieć. – W głosie mężczyzny nie słychać polecenia. Istotą poruszania się po prawdziwym świecie jest umiejętność pozostawienia drugiej stronie wyboru.

Materiał marszczy się w dłoniach, coraz go tam więcej. Sylwetkę kobiety oświetla punktowy reflektor, zawieszony centralnie nad nią. Światło nie wydobywa ostrych krawędzi.

Jeszcze chwila i mężczyzna zobaczy całość... Na nogach pończoszki delikatne jak mgiełka. Zwieńczenie uda otula mięsista koronka. Podtrzymujący je pas ma kolor czereśni. Sporo w nim ledwie dostrzegalnych plisek, takich na centymetr. Jest zabudowany, lecz nie przesadnie. Odsłania to, co fascynuje mężczyznę. Stawia znaki zapytania w miejscach, które chce odkryć sam.

– Lubię czas, gdy płynie. Umiejętność właściwego stawiania akcentów chroni ignorantów niezdolnych do oceny sytuacji, w której się znaleźli.

Muzyka dyktuje tempo. Dźwięki swobodnie sączą się ze ścian.

Kobieta wstaje i odwraca się do mężczyzny tyłem. Pochyla głowę pod naporem pocałunków. Ciężkich, zaborczych, zdecydowanych.

Suknia powoli opada na scenę. Mężczyzna odwraca kobietę przodem do siebie. Klęka, kładzie dłonie na jej udach, zsuwa się po nich aż do kostek – zdejmując pończochy. Pas rozpina równie niespiesznie, lecz i on w końcu opada na deski.

Kobieta stoi przed mężczyzną naga. Światło zostawia na jej ciele



niewidzialne blizny.

Mężczyzna pstryka palcami, wiedząc, że lampa reaguje na dźwięk. Kobieta pachnie czasem, który minął, nim ogień pochłoniął sznur zatopiony w wosku świecy.

Usta mężczyzny wędrują po udach kobiety. Ona je dobrze zna.

– Drżysz. Zrobiło się chłodno. – Mężczyzna okrywa kobietę peleryną. Delikatnie całuje ją w szyję, obejmuje, następnie bierze za rękę.

– Chcę ci coś pokazać.

– Czy to będzie trudne?

– Ciekawe. Czy trudne, nie wiem. Z pewnością piękne.

Mężczyzna znosi kobietę na rękach po alabastrowych schodach. Nie chce, by dotykała ich stopami – stopnie są zimne, choć temperatura powietrza pozostaje wysoka. Jest środek nocy, kobietę okrywa tylko peleryna.

Jezioro ukryte w labiryncie teatralnych piwnic jest niezwykle. Mężczyzna powinien dotrzeć do kolejnej sceny. Potem uruchomi się zapadnia i aktorzy znajdą się kilkanaście metrów pod ziemią. Woda kusi zielonymi odbłaskami...

Piotr otworzył oczy. Ze snu wybił go głośny dźwięk telefonu. Ewa obudziła się wcześniej i od kwadransa przekonywała do czegoś Martineza. Nie zauważyła, że Piotr przysłuchuje się rozmowie od dłuższego czasu.

– To nie ma sensu. Sepulveda jest pewien, że to ich ciała. Zwłoki są w fatalnym stanie, ale znaleziono przy nich paszporty wystawione na nazwiska poszukiwanych osób. Nie zgadza się tylko jeden szczegół. Jedna z ofiar prowadziła pamiętnik. Zapiski wskazują, że ci ludzie przez cały czas kontaktowali się z obywatelem Stanów Zjednoczonych, który za ich pośrednictwem poszukiwał działki pod inwestycję. Miała na niej powstać rafineria ropy naftowej, dostarczanej ze złóż w okolicach jeziora Maracaibo.

Martnez nie próżnował. Przez kilka dni zdołał wyciągnąć od *el comandante*, jak bardzo partyzanci nienawidzili przedstawicieli północnoamerykańskiego establishmentu. Dauna dzięki swoim informatorom umożliwiła Martinezowi bezpośrednie spotkanie z przywódcami plemion zamieszkujących Sierra de Perijá. Miało się odbyć za kilka dni. Rdzenna ludność tych terenów posługuje się wieloma różnymi językami, więc zrozumienie przekazywanych w nich informacji wiązało się z koniecznością zatrudnienia tłumaczy plemiennych. Ignorancja kulturowa zaliczała się do najkosztowniejszych błędów popełnianych przez śledczych pod każdą szerokością geograficzną. Martinez nie mógł sobie na nią pozwolić. Czuł, że znajduje się o krok od rozwikłania zagadki. Podejrzewał, że zaginieni Polacy zostali na skutek własnej lekkomyślności porwani przez partyzantów. Być może zamordowano ich po kilku miesiącach, gdy wyszło na jaw, że rzekomi polscy turyści pracują na zlecenie prywatnego inwestora ze Stanów Zjednoczonych. Znowu miał wrażenie, że to mógł nie być jedyny powód ich śmierci.

Ewa w spokoju pożegnała się z Martinezem i delikatnie odłożyła słuchawkę. Rozejrzała się wokoło.

– W jakim celu tu przyjechaliśmy? Najpierw katedra, teraz El Torcal. Coś je łączy? – Ewa wpatrywała się w Piotra za zaciekawieniem, analizując końcówkę rozmowy z Martinezem. Nie zaliczała się do osób nad wyraz cierpliwych, nie traktowała więc oczekiwania na kolejny raport Wenezuelczyka jako przerwy w dochodzeniu.

– Czas. Pokazują, jak płynie.

– Z prochu powstałeś... skamieniejesz? – zapytała Ewa, szukając logicznych zależności między oboma miejscami.

– Próba budowy pomostu między darwinizmem i dogmatami chrześcijaństwa jest nie tylko karkołomna, ale także zupełnie niepotrzebna. Skupiłbym się na związkach między przeszłością dość nieodległą, przynajmniej w porównaniu do tej, na którą teraz patrzymy, a terażniejszością.

– Zagadka goni zagadkę – skwitowała Ewa, wbijając w Piotra spojrzenie ostre jak żyłotka.

– Otóż to. W jakim celu zjawiałś w Maladze?

– Celu? Nie szukałabym tajemnicy tam, gdzie najlepszą odpowiedzią jest pragmatyzm.

– Stary pocziwina pragmatyzm... – Piotr uśmiechnął się, nie dając za wygraną. –

Chcesz powiedzieć, że przyjechałaś na Costa, by poleżeć na plaży i potwierdzić reputację hiszpańskich *machos*?

– Przyjechałam na Costa, by nie musieć odpowiadać na pytania, które wprawiają w zakłopotanie mnie i rozmówcę.

– Nie miałem nic złego na myśli.

– W tym sęk. Nikt nigdy nie ma nic złego na myśli, ale prędzej czy później trzeba wystawić na próbę własną odwagę. Bądź czyjaś. W życiu nie ma porażek, tylko konsekwencje błędnych decyzji. Rozumiesz?

– Chciałbym. – Piotr uśmiechnął się pobłaźliwie i wskazał Ewie ścieżkę między dwiema skałami. Wstali prawie w tym samym czasie i udali się w kierunku miejsca, w którym został samochód.

Z El Torcal Ewa wyjeżdżała z uczuciem niedosytu. Wyczuła, że dzisiejsza wycieczka miała służyć jakiemuś celowi. Nie potrafiła go jednak rozpoznać.

Po kwadransie droga powrotna do Malagi zaczęła się dłużyć. Piotr włączył radio, wyszukał trzeci program. *Eres lo que escuchas*<sup>[Z]</sup>, powtarzał radiowy głos co kilkanaście minut.

– Zmęczona?

– O co chciałbyś zapytać, gdybym nie była zmęczona?

– Szczerze mówiąc o nic. Gdybyś nie była zmęczona, pojechalibyśmy jeszcze dalej. Do Antequery. To piękne miasto.

– Ach, ten pragmatyzm – Ewa się uśmiechnęła, czekając na dalszy ciąg odpowiedzi.

– Gdybyś nie była zmęczona, opowiedziałbym ci sen, który miałem w El Torcal.

– Szczyt ekstrawagancji. Sen? Konia z rzędem temu, kto będzie potrafił go

zinterpretować. Nie mówiąc o tym, że nocne ułady to damska specjalność.

– A jednak. Chcesz usłyszeć?

– Nie pozwalasz o sobie nie myśleć. Mów!

– Śniło mi się, że zamieszkałem w Operze Paryskiej. Za dnia przemykałem się niezauważony korytarzami tego niezwykłego miejsca, zostawiając ślady własnej obecności i pozwalając widzom spektaklu odczuwać strach. Nocą zanurzałem się w świat, do którego dostępu udzieliłem tylko jednej osobie.

– *Upiór w operze*. Widziałeś ten musical?

– Nie.

– Ale wiesz, o czym mówię?

– Nie powinienem cię niepokoić poziomem własnej ignorancji.

– Lub erudycji... Co się dzieje dalej?

– Jestem aktorem, który gra do końca.

Ewa chrząknęła. Po chwili jeszcze raz i jeszcze. Zachłysnęła się własną śliną, otworzyła gwałtownie okno i wypluła z wnętrza płuc miękką kulkę niewiadomego pochodzenia. – Chcesz mnie zabić na jawie? Grasz tylko w snach?

– To nie ja powiedziałem, że senne ułady są specjalnością pań. – Piotr zaczął się śmiać. – Może nie powinienem w ogóle zaczynać tej historii.

– Za późno na wyrzuty. Kontynuuj!

Piotr opowiedział o spotkaniu z bezimienną kobietą, szczegółowo opisał okoliczności, które temu spotkaniu towarzyszyły. Był doskonały. Nie szczędził scenograficznych szczegółów. Narrację rozwijał powoli, by za chwilę przyspieszyć i strzelić pointą, która stanowiła doskonałe podsumowanie scenicznego obrazu. W pewnej chwili Ewa zaczęła odczuwać niepokój. Jest w pułapce! Nie chce się z niej wydostać, lecz pozostanie w niej może kosztować ją znacznie więcej, niż chciałaby poświęcić.

Piotr prowadził auto pewną ręką. Patrzył się przed siebie, rzadko spoglądał na boki. Zauważył, że głowa pasażerki nieznacznie zsuwa się po boku oparcia. Poprawił ją, następnie położył rękę na kolanie Ewy. W takiej pozycji dojechali do administracyjnej granicy Malagi. Chwilę później Piotr zjechał z autostrady i skierował się pod główne wejście Hotelu Palacio. Ewa obudziła się, gdy concierge otworzył drzwi auta od zewnętrznej strony. Popatrzała na niego z niedowierzaniem i – rzuciwszy Piotrowi nieobecne spojrzenie – natychmiast opuściła auto, a następnie udała się do swojego pokoju. Nad miastem zapadała noc.

---

[7] „Jesteś tym, czego słuchasz” – slogan reklamowy programu trzeciego publicznego radia hiszpańskiego.

## ROZDZIAŁ 8 WSKAZÓWKA DRUGA

Anna prowadziła zespół redakcyjny żelazną ręką. Wszyscy znali swoje obowiązki. Wiedzieli też, że prawa mają skromne w formie, lecz spektakularne w treści. Najważniejszym z nich było prawo do prawdy. „Prawda jest jak gład narzutowy”, mawiała Anna. „Onieśmiela i – ze względu na ciężar – trudno ją podważyć”. Dosłownie i w przenośni. Co nie znaczy, że nie brakowało śmiałków znajdujących przyjemność w nieustającym kwestionowaniu otaczającej ich rzeczywistości. Anna cierpliwie znosiła targające nimi rozterki. Uspokajała skołatane serca, tłumaczyła wątpliwości, dzieliła się własnymi kontaktami niezbędnymi w dziennikarskim rzemiośle. W tym samym czasie potrafiła maksymalnie wyeksploatować każdego pracownika, dbając, by dał z siebie wszystko, zwłaszcza gdy osiągnięcie celu było równoznaczne z cudem. Ludzie darzyli ją szacunkiem, choć nie zabiegali o bezpośredni kontakt.

Z Ewą sytuacja miała się zgoła inaczej. Ich relacja nie zawierała elementu zależności, opierała się zaś na wzajemnym podziwieniu i szacunku warunkowanym liczbą zawodowych osiągnięć. O ich przyjaźni można było mówić w kontekście szorstkiej wymiany zdań na tematy światopoglądowe, na którą mogły sobie pozwolić tylko osoby darzące się nieograniczonym zaufaniem. Tym dziwniejsze wydawało się więc Annie zniknięcie kobiety, z którą łączyła ją silna nić o takim charakterze. Nie uwierzyła w historię wymyśloną naprędce przez Martineza. Zapewnienia latynoskiego awanturnika brzmiałyby być może przekonująco, gdyby nie upierał się tak bardzo, by w nie uwierzyła. W połowie sierpnia Anna po raz kolejny dzwoniła do Ewy z nadzieją, że ta odbierze telefon i w spokoju wyjaśni powód i cel zmiany planów. Na próżno. Ewa milczała.

Oficjalni przedstawiciele Kościoła katolickiego oraz najzagorzalsi wierni przez wieki utrzymywali, że cierpienie uszlachetnia, a ból, który jest udziałem człowieka na Ziemi – po ofiarowaniu go Chrystusowi – staje się przepustką do Raju. Gdyby algorytm działał tak, jak zapisano w świętych księgach kilku najpopularniejszych religii świata, obie panie miałyby od momentu narodzin zagwarantowaną miejscówkę w niebie. Duchowa matematyka w życiu się jednak nie sprawdza. Anna tęskniła za przyjaciółką. Na gesty szefowej Ewa była obojętna. Obie panie pozostały wierne swojemu osądowi sytuacji, nie mając zamiaru skorygować własnego postępowania w najmniejszym nawet stopniu. Po pewnym czasie Annie zaczęło jednak brakować powodu uzasadniającego nieustawanie w wysiłkach zmierzających do ponownego nawiązania bezpośredniego kontaktu z drugą stroną. Świadomość, że Martinez będzie spełniał rolę pośrednika między nimi, wywoływała u Anny uczucie odrazy. Także fizycznej. Trudno jej było zrozumieć, która cecha pokrętnego charakteru tego

mężczyzny może stanowić pomost łączący dwie uwielbiające się jeszcze tak niedawno kobiety. Kolejne dni nic nie zmieniały. Anna powoli godziła się ze stratą oraz przyzwyczajała do myśli, że Martinez będzie uczestniczył w jej życiu w sposób inny od tego, który dla niego wymyśliła.

Pedro wszedł do gabinetu Anny pewnym krokiem. Nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się wygodnie w fotelu czekającym na gości redaktor naczelnej polskiej edycji magazynu publikującego najnowsze osiągnięcia w dziedzinie kultury. Szeroko pojętej kultury klasy średniej, rzecz jasna.

– Martinez! Król życia w tak skromnych progach? Czemu zawdzięczamy tę niezapowiedzianą wizytę?

– My? Dziesięć lat temu byłaś równie bezpośrednia. Najwyraźniej ci to zostało.

– Dziesięć lat temu wpatrywałam się w te twoje słodkie oczka, wyobrażając sobie domek z ogródkiem i gromadkę dzieci. Mogłoby się to udać, gdybyś nie wrócił tam, skąd właśnie przyjechałeś. Mam szczęście do ludzi o mentalności latającego talerza. Pojawiają się znikąd i rzucają cienie szczelnie zakrywające rzeczywisty wymiar czasoprzestrzeni.

– Nie zmienił się także twój osobliwy sposób opisywania rzeczywistości. Brawo! Jesteś stała w nienawiści. Zupełnie, jakbyś czas się zatrzymała.

– Wyjdiesz?

– Dokąd? – Martinez był negocjatorem tym skuteczniejszym, im odleglejszy był cel jego kolejnej intelektualnej eskapady.

– Tego nie wiem. Po prostu wyjdź. Zamknij za sobą drzwi. Zniknij. Rozpłyn się we mgle sam lub z czyjąś pomocą.

– Aniu, musimy porozmawiać.

– My? Nadużywanie liczby mnogiej w relacjach z kobietami jest najczęściej domeną tych mężczyzn, którzy lubują się w chowaniu za czyjąś spódnicą.

– Raczej pod nią. Ja wolę się poruszać tam, gdzie dźwiękom rozmowy towarzyszy zapach pożądania. Skóra kobiet jest doskonałym nośnikiem informacji. Na temat ich preferencji seksualnych także.

– Z czego wnoszę, że ucieczka od dojrzałości nadal zajmuje wysokie miejsce na liście twoich ulubionych sportów. – Anna nie była mściwa. Trudno było jednak zapomnieć o zdarzeniach, które nierozzerwalnie połączyły ją z Pedro wiele lat temu.

– Zaufaj mi jeszcze raz. O nic więcej nie proszę. Twoja obecność nadaje mojemu życiu posmak nostalgii, ale żadne z nas nie cofnie czasu. Dziś oboje jesteśmy mądrzejsi o doświadczenia z przeszłości. Nie chcę się z tobą targować o liczbę minut, które byłabyś skłonna mi poświęcić. Przynajmniej nie teraz i nie w tej chwili. Ale musimy porozmawiać – głos Martineza stawał się coraz bardziej stanowczy.

– Nadzieję na rozmowę z tobą straciłam wraz z dzieckiem. Do dziś nie sposób uniknąć niekończących się monologów, których jesteś bohaterem. Jedynek. – Anna zadała ostateczny cios. Martinez wbił wzrok w podłogę, odwrócił głowę i zagryzł wargi. W gabinecie zapadła cisza.

– Za tydzień Ewa prześle pierwszą część tekstu. Prosiła, by ci przypomnieć

o kolejne racie. Pieniądze skończyły się dawno temu.

– Odważny jesteś.

– Konsekwentny.

– Powiesz mi, co się stało? Gdzie ona jest? – Anna od kilku tygodni podejrzewała Ewę o ukrywanie się i przygotowywanie materiałów na odległość.

– Ewa jest w Maladze. Nie wyleciała do Caracas, nie wsiadła do samolotu.

– Nie zdążyła?

– O szczegóły zapytaj ją sama. Nie wiem, dlaczego zmieniła zdanie.

– A zmieniła? Być może nie wsiadła na pokład samolotu, bo zasnęła.

– Aniu, wolałbym się nie mieszać w wasze relacje.

– Historia lubi się powtarzać. Tylko od nas zależy, który jej rozdział uznamy za ostatni. Widać redaktor Mulner podjęła tę decyzję, nie zastanawiając się nad koniecznością zapytania kogokolwiek o zdanie.

– Znacnie się na tyle długo, by chcieć wyjaśnić tę historię do końca. O ile wam na tym zależy.

– Zostawmy to. Czy Ewa wspominała o czymś jeszcze?

– Prosiła tylko o pieniądze.

– Przekaż więc mojej drogiej przyjaciółce, że je dostanie jutro. Lub jeszcze dziś. Choć muszę przyznać, że dziwi mnie styl tej rozmowy. Zupełnie jak nie Ewy.

– Jutro muszę wracać do Caracas. Spotykam się tam z przywódcami kilku plemion indiańskich. Moi lokalni informatorzy upierają się, że klucz do zagadki ma rdzenna ludność Sierra de Perijá. Nie mogę im nie uwierzyć. W takich sprawach często bywa podobnie, jednak ta różni się od pozostałych obojętnością lub niechęcią tych, którzy mogliby mieć coś ciekawego do powiedzenia. Zupełnie, jakby z jednej strony chcieli pomóc, bo czują, że powinni. Z drugiej zaś co prawda czują, że powinni, ale nie na tyle, by powiedzieć prawdę. Czas mi nie sprzyja, a nadal poruszamy się po omacku. Skrawki informacji. Pomówienia. Nieistniejące tropy. Miejskie legendy. Poza tym nic. Ciało także jeszcze nie znaleziono. Uczciwość nakazywałaby wprawdzie powiedzieć, że znaleziono zwłoki dwojga osób, nie można jednak ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że to Majchrzakowie.

– Czemu zawdzięczam tę litanie niepowodzeń?

– Wierności ideałom. Precyzja jest kluczem, bez niej oddajemy się we władanie niechlujstwu. Ono z kolei prowadzi do nieprawdy, ta do rozczarowania wynikającego z nieuchronnej konfrontacji z rzeczywistością.

– Uwodziłeś mnie przez lata tą logiką. Ideologia oparta na ślepej wierze w przewagę umysłu nad duszą zbankrutowała w momencie śmierci Juanity.

– Przestań. Minęło tyle lat. Tyle słów wypowiedzianych. Tyle otartych łez. Zdarzenia czasu minionego są jak używane meble. Te wartościowe powinny dostać drugie życie, o ile spojrzymy na nie inaczej i poddamy choćby delikatnej renowacji. Niektóre są na tyle zniszczone, że trzeba je wyrzucić. Im szybciej, tym lepiej. Najgorsze są jednak te, w których nasze ciała wyrzeźbiły odleżyny, przez które podstępnie wsącza się w nas nienawiść i żal za tym, co było lub co mogło być.

– Nie każ matce grzebać cierpienia przed pojawieniem się blizn. I wracaj tam, skąd przyszedłeś. – Anna podniosła się zza biurka i nie spojrzawszy na Martineza, wyszła z gabinetu.

Piątego września Pedro dowiedział się, że przywódcy Yukpów i Barí zgodzili się na spotkanie. Starszyzna postanowiła, że rozmowa z przedstawicielami wszystkich plemion zamieszkujących obszar, w którego obrębie poszukiwano małżeństwa Majchrzaków, powinna odbyć się w tym samym miejscu i czasie. Dokładnie dwa dni później, w siedzibie miejscowej władz, Pedro usiadł naprzeciwko nich. Zapadła cisza, którą przerwał Raul Gonzalez, komendant posterunku policji w Villa del Rosario w gminie Rosario de Perijá. Ukłonił się każdemu dwa razy, powitał wszystkich kilkakrotnie. Na końcu zwrócił się do Pedra i poprosił o poprowadzenie zebrania. Pedro kiwnął głową, zwracając jednocześnie uwagę na nieobecność tłumaczy języków plemiennych, których opłacił dzień wcześniej. Dwa dni temu z ich pomocy korzystał Matamoros, chcąc zrozumieć komunikaty przesyłane przez czterdziesty drugi pułk wenezuelskiej artylerii lotniczej, zawezwanej przez gubernatora stanu Zulia do zbombardowania upraw koki, znajdujących się dwadzieścia pięć kilometrów na północny zachód od Arincón. Wojsko współpracowało z Indianami, ostrzegając ich przed nalotami w obawie przed krytyką międzynarodowej opinii publicznej, na co szczególnie wyczulony był Chávez.

– Szukamy naszej siostry i brata. – Martinez rozłożył na stole kilka drobiazgów należących do zaginionych, przesłanych przez ich mieszkających w Polsce krewnych. Wśród tych przedmiotów znajdowało się zdjęcie przedstawiające kobietę i mężczyznę opierających się o kajak. W jego pobliżu stało kilku Indian Arhuaco w charakterystycznych białych ubraniach. Przez ramię przewiesili torby utkane z owczej wełny, na których przedstawiono kosmogoniczną symbolikę ich plemienia. Zdjęcie najwyraźniej zrobiono w Kolumbii.

– To oni – potwierdził Anomani, przywódca Barí, wskazując dłonią parę kajakarzy. – Przyjęliśmy ich godnie, choć zjawili się bez zapowiedzi. Byli tylko we dwójkę. Proponowaliśmy im opiekę lokalnych przewodników. Odmówili. *Gringos* nie powinni się tu poruszać samotnie. Dla nich to pewna śmierć.

Granice stref wpływów oddzielające od siebie poszczególne plemiona były wyznaczone zwyczajami i historią porozumienia, przypieczętowaną krwią przodków zamieszkujących te ziemie jeszcze przed hiszpańską konkwistą. Nikt nie ośmieliłby się złamać tabu i wtargnąć – być może nawet nieświadomie – na tereny należące do sąsiadów. Tym bardziej jeśli nie miał bardzo wyraźnego powodu, którym mogło być tylko zagrożenie życia i zdrowia jego własnych współplemieńców.

– Rzeczywiście. Widzieliśmy ich i my. To biali ludzie, ale wiedzieli, jak żyjemy. Porozumiewali się z nami na migi, nie mówili ani w *chibchan*, ani w *cariban*. Słaby poziom hiszpańskiego wystarczał im, by zrozumieć, że źle oceniamy ich plany. *Gringos* nigdy nie uważają. Ta ich buta... Straszne, straszne! – przywódca Yukpów, mówiąc to, uderzył drewnianą łaską w podłogę. Kamień posadzki wydał tępy dźwięk.

– Nie mam dobrych wieści. – Anomani położył na stole latarkę i szczyryk, znalezione przez jego ludzi nieopodal miejsca, w którym tydzień wcześniej dokonano

straszliwego odkrycia. – Strach przed obcymi wskrzesił dusze *Pishtacos*. Powstali z martwych i przemykają się między drzewami w głębi dżungli. Nieszczęście, nieszczęście, nieszczęście...

W sali spotkań wyczuwalne było poruszenie. Potem zapadła głucha cisza. *Pishtaco* to archetyp białego oprawcy Indian. Bezwzględny w okrucieństwie, zdeterminowany praktycznym wymiarem ofiary z życia, o którego wartości decydowali latyfundiści, zamieszkujący najznakomitsze rezydencje Ameryki Południowej. Samo słowo narodziło się w rodzinie języków *quechua*, którymi posługiwała się rdzenna ludność centralnej części Kordyliery Andyjskiej. Jeszcze przed pojawieniem się Hiszpanów Indianie używali tego określenia ku przestrodze wszystkich i w celu wyrażenia pogardy w stosunku do czynów, których dopuszczali się przedstawiciele rasy białych panów. Historia politycznej i ekonomicznej uzurpacji Hiszpanii trwała w Ameryce Południowej przeszło trzy stulecia. Zostawiła materialny ślad w postaci budynków inspirowanych myślą architektoniczną Madrytu. Jednak – o ile kamień, z którego wznoszono pałace i stojące obok zabudowania gospodarcze, z biegiem czasu zamieniał się w pył – o tyle rany obecne we wspomnieniach miejscowej ludności jeszcze w pierwszej połowie dwudziestego pierwszego wieku ożywiały widok człowieka o śnieżnobiałym kolorze skóry. Wielce prawdopodobne było bowiem, że jego przodkowie wytapiali z ciał Indian tłuszcz, który następnie wysyłali statkami do Europy, by przedsiębiorczy adepti sztuki kosmetycznej mogli go wykorzystywać do produkcji kremów i balsamów do ciała. Elegantki przechadzające się ulicami Londynu czy Paryża wymagały produktów doskonałych, co było uzależnione od jakości surowców importowanych z najodleglejszych części Nowego Kontynentu.

Najważniejsi przedstawiciele wspólnot plemiennych w skupieniu przyglądali się Martinezowi. Relacje między Indianami a pozostałymi mieszkańcami północnej części Ameryki Południowej były mniej niż poprawne, przynajmniej z punktu widzenia tych pierwszych. Chávez postanowił zmniejszyć różnice społeczne między dwiema grupami, umożliwiając plemionom lepszy dostęp do szkolnictwa wyższego. Niektórzy nadal jednak upatrywali w Indianach gorszych przedstawicieli własnego kraju. Zarzucano im stawianie tradycji przed zdobyciami współczesnej cywilizacji, co najmniej ostrożny stosunek do wiedzy oraz niechęć do wtapienia się w główny nurt społeczeństwa wenezuelskiego. Partyzanci – świadomi, że Indianie znają lokalną topografię jak nikt inny – wykorzystywali ich do transportu towarów, których próżno było szukać w legalnym obrocie gospodarczym. Czasami taki przerzut odbywał się bez ich zgody, a miejscowa prasa donosiła o ciałach anonimowych ofiar znalezionych na granicy dżungli. Rdzenna ludność z pokorą znosiła kilka stuleci represji. Zdarzało się jednak, że czara goryczy przelewała się i ktoś postanawiał wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę.

Trudno oczekiwać, by zebrani w policyjnej sali spotkań chcieli wziąć odpowiedzialność za kilka wieków wspólnej historii. Tym bardziej że Martinez nie interesowały wywody Raula ani ekspiacyjne wypowiedzi Indian. Liczyły się fakty. Daty i liczby. A tych ciągle brakowało.



Martinez potrafił okiełznać czas. Nigdy się nie spieszył. W związku z tym także się nie spóźniał. Obserwował jednak znaki, które ów czas pozostawiał w życiu znanych mu osób i podejmował decyzje na podstawie wniosków wynikających z tych przemyśleń. Zauważył na przykład, że im więcej dni upłynęło od zaginięcia polskiego małżeństwa, tym mniejsze wrażenie robiły na redaktor Mulner wyniki dochodzenia. Co więcej, im mniejsza była szansa na znalezienie zwłok w stanie umożliwiającym ich szybką identyfikację, tym większy dystans do sprawy dostrzegał w sobie samym. Nieboszczyk – kimkolwiek by nie był – nie powinien móc wpływać na życie tych, którzy jeszcze podziwiają absolut z perspektywy kuli ziemskiej. Mechanizm ten nie sprawdzał się w poważnej sztuce i literaturze wysokich lotów. I słusznie, w przeciwnym razie ludzkość nigdy nie czerpałaby z przykładu wielkich twórców wieków przeszłych, powtarzając te same stylistyczne błędy lub wpadając w te same intelektualne pułapki.

Martineza zastanawiało też, dlaczego Anna – tak gorliwa w dziennikarskiej dyscyplinie – tym razem bardziej dbała o jego własny dobrostan psychiczny, niż rozliczała Ewę z liczby rzetelnie napisanych materiałów reporterskich.

Tymczasem milczenie wyznaczające temperaturę spotkania z indiańskimi przywódcami stawało się coraz bardziej nieznośne. Przerwał je przywódca Yukpów, Sabino Romero – uznany przez Wenezuelczyków za symbol indiańskiego oporu przeciwko polityce wywłaszczania rdzennej ludności z ziem proajców.

– Bracie! Znajdziemy tych, przez których cierpią twoi bliscy. Znamy śmierć, zwłaszcza tę niespodziewaną i niezawinioną. Śmierć niesprawiedliwą! O twojej sprawie będziemy mówić podczas kongresu wszystkich indiańskich przywódców regionu. Odbędzie się za dwa dni. Chcemy współpracować z policją i jak najszybciej wyjaśnić to, co się stało. Strach przed *Pishtaco* lub nieumiejętność porozumienia się z naszymi gośćmi nie powinny być przyczynami niczyjej śmierci.

Martinez ukłonił się Romero na znak przyjęcia obietnicy. Przyszło mu jednak do głowy, że w obecnej sytuacji największym jego sprzymierzeńcem będzie – paradoksalnie – czas. Płynący swoim rytmem, bo Wenezuela także nie lubi się spieszyć. Chyba że na czyjś pogrzeb.

## ROZDZIAŁ 9 GŁOWA MARTINEZA

Dwudziestego września w Maladze czuć było zbliżającą się jesień. Platany zrzucały liście, pojawiły się pierwsze krople deszczu. Temperatura dawała wytchnienie tym malagijczykom, którzy z niechęcią spędzali latem czas we własnych domach, twierdząc, że przypominają rozgrzany do czerwoności piekarnik.

Ewa wstała wczesnie rano. Zamierzała pójść do portu i wypożyczyć motorówkę. Nie zdążyła wyjść z hotelu, gdy w plecaku rozległ się dźwięk telefonu. Wyjęła urządzenie i spojrzała na numer. Kierunkowy wskazywał Caracas. W pierwszej chwili pomyślała, że to Martinez. Jednak chwilę później uzmysłowiła sobie, że Pedro o tej porze jeszcze nawet nie zbliża się do myśli o wstaniu z łóżka, ponieważ w Caracas jest trzecia w nocy.

– Słucham.

– Pani Mulner?

– Tak. Z kim mam przyjemność?

– Alejandro Gonzalez. Komenda główna policji w Caracas.

– Czym mogę służyć?

– Muszę panią poinformować o odkryciu dokonanym przez moich ludzi wczoraj rano. Dwadzieścia pięć kilometrów od centrum Maracaibo w stanie Zulia w starym magazynie znaleziono ciało mężczyzny.

– I co ja mam z tym wspólnego?

– Wiemy, że od czerwca tego roku prowadzi pani na terenie Boliwariańskiej Republiki Wenezueli poszukiwania zaginionych obywateli pani kraju. Nie działa pani sama. Pani interesy na miejscu reprezentuje niejaki Pedro Alejandro Martinez de Salabodega. Jesteście w stałym, regularnym kontakcie. Pan Martinez figuruje w naszych kartotekach od dwóch dekad. Wiemy, że dysponuje rozrośniętą siatką kontaktów wśród Yukpów i Barí. Podobnie ma się sprawa z Warao oraz innymi plemionami zamieszkującymi deltę Orinoko. Ma przyjaciół także wśród partyzantów. Widuje się z *el comandante*. W ostatnim czasie pani znajomy regularnie podróżował do Polski. Z podobną częstotliwością pojawiał się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej mniej więcej dziesięć lat temu. Pani Mulner – denat, o którym wcześniej wspomniałem, wykazuje fizyczne podobieństwo do pana Martineza. W związku z koniecznością identyfikacji zwłok muszę panią poprosić o pilny przyjazd do Caracas.

– Dlaczego dzwoni pan akurat do mnie?

– Szanowna pani, możliwość zadawania pytań jest w Wenezueli przywilejem, którym obdarzani są tylko nieliczni. Odnoszę wrażenie, że pani nie zalicza się do tej grupy.

– Gonzalez, tak?

– Dokładnie, szanowna pani.

– Panie Gonzalez, pan mnie posłucha. Porozmawiajmy jak zawodowiec z zawodowcem. Pan jest z policji. Ja reprezentuję kraj, którego dziennikarze śledczy są na skutek zaszłości historycznych wyczuleni na próby nacisku ze strony aparatu państwowego. W związku z czym, jeśli życzy pan sobie pozyskać moją przychylną w śledztwie prowadzonym przez pana ludzi, musimy się porozumiewać językiem cywilizowanym. To znaczy pozbawionym elementu manipulacji. W przeciwnym zaś razie nie tylko nie będę mogła panu pomóc, ale poinformuję o naszej rozmowie macierzystą redakcję. Zanim to jednak nastąpi, skontaktuję się z Ambasadą Polską w Caracas. Reszty może się pan domyślić, jak mi nie mam.

– Szanowna pani, powinienem był od tego zacząć. Pan Władysław przesyłał pozdrowienia – ostatnie zdanie Alejandro Gonzalez wycedził przez zęby powoli, delektując się każdym niewypowiedzianym przecinkiem.

– Proszę mi przekazać najszczerze wyrazu szacunku. – Ewa nawet przez chwilę nie pomyślała, że zaczyna ją osaczać pajęczyna lokalnych powiązań. Metody przesłuchań na odległość są z reguły inne niż te, których używa się w zaciszu posterunku policji. Gonzalez wydał się jej człowiekiem tyle inteligentnym, co niecierpliwym. Mógł bowiem poczekać kwadrans, zanim wspomni o attaché politycznym polskiej placówki dyplomatycznej. Co więcej, wcale nie musiał Władka ani znać, ani tym bardziej się z nim wcześniej widzieć. Zapewne dlatego nie wiedział, że jedyną rzeczą, którą Władysław Crofftenberg przysyłał komukolwiek kiedykolwiek wcześniej, były czeki podróżne albo prezenty z okazji świąt państwowych Wenezueli lub innych państw regionu. W wyjątkowych przypadkach także akty zgonu obywateli polskich, którzy udali się na spotkanie z absolutem na skutek nieprzewidzianych zdarzeń, takich jak wypadek lub morderstwo.

– W tej chwili nie mogę skorzystać z pana zaproszenia i pojawić się w Caracas w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mam inną propozycję. Proszę mi przesłać zdjęcia nieboszczyka. Oczywiście wraz z opisem patologa sądowego.

– Tego akurat zrobić nie mogę. Śledztwu nadano status ściśle tajnego, w związku z tym dostęp do materiałów policyjnych jest możliwy tylko na komendzie oraz za zgodą prokuratora.

– Panie Gonzalez, ja pana rozumiem, ale pan mnie – nie. Utrudnia mi pan udzielenie sobie pomocy.

– Szanowna pani, pan Pedro Alejandro Martinez de Salabodega najprawdopodobniej nie żyje. Musimy to ustalić ponad wszelką wątpliwość. Co więcej – musimy to stwierdzić jak najszybciej. Za tydzień ma się odbyć ostatnia rozprawa w sprawie o ustalenie ojcostwa Rosy Marii Martinez de Salabodegi. Dziecko zmarło sześć miesięcy po porodzie w czerwcu dwutysięcznego pierwszego roku. Rosę Marię pochowano na cmentarzu miejskim w Caracas za zgodą matki. Dwa lata temu wpłynął do nas wniosek o ekshumację ciała dziewczynki. Złożyła go obywatelka Rzeczypospolitej Polskiej twierdząca, że jest matką zmarłej. W uzasadnieniu podano konieczność wskazania ojca dziecka, mimo że na

świadectwie zgonu denatki w tej roli wystąpił wspomniany wcześniej pan Martinez de Salabodega. Ten zapis kobieta zakwestionowała, twierdząc, że po śmierci dziewczynki znajdowała się w stanie szoku. Zależało jej na jak najszybszym dopełnieniu formalności i powrocie do Polski. Po latach doszła jednak do wniosku, że informacje w dokumentach dotyczących śmierci Rosy Marii nie muszą być prawdziwe. Co więcej – jest duże ryzyko, że nie są. W związku z podejrzeniem, że pan Pedro Martinez został zamordowany, musimy bezwzględnie przestrzegać wszystkich procedur identyfikacji ciała. Po pogrzebie na jakiegokolwiek ustalenia będzie za późno. Sprawa o ustalenie ojcostwa zostanie automatycznie zamknięta, a matka dziecka nigdy nie będzie miała pewności, kto naprawdę był ojcem jej zmarłej córki. – Alejandro Gonzalez przerwał monolog. W słuchawce zapadła cisza. Ewa zagryzła wargi i głośno przełknęła ślinę.

Oszustwo, o które podejrzewała Martineza od dłuższego czasu, dotyczyło tego poziomu intymności, po którym biegle poruszają się tylko zawodowi psychologowie. Czyżby on i Anna...? Mało prawdopodobne, ale nie mogła wykluczyć takiego scenariusza. Zobaczyłaby w nim żeńskość odepchniętą od męskości. Macierzyństwo. Śmierć. Pustkę. Szaleństwo samotności. Cierpienie, pod którego wpływem dusza rdzewieje nieprzerwanie każdego dnia. Dyscyplinę zaciętości, pozwalająca krzyknąć: *Adelante! Nadchodzę!* Jedyne świadectwo nadziei... Jedyne ślad, pozwalający dostrzec człowieka oplakującego świat potokiem kamiennych łez.

– Kim był Martinez?

– Ułudą, szanowna pani.

– Grzebie pan za życia wytwór wyobraźni wielu kobiet. Nie można umrzeć dwa razy. – Ewa lubiła intelektualne pojedynki z przeciwnikami o dużym poczuciu humoru. – A gdyby nawet, historia zachęca do przemyśleń o odrodzeniu.

– Szanowna pani, zwłoki pana Martineza do połowy zgniły. Są porozrywane na kawałki. Mimo braku głowy, której do tej pory nie odnaleźliśmy, udało się stwierdzić, że ciało musi należeć do Europejczyka. Grecy opisali przypadki odrodzenia w mitologii, ale wiele z tych historii dotyczyło postaci, których ciała stanowiły zwartą całość, że tak powiem.

– Zgrabny wywód. Być może zwłoki rzeczywiście należą do Pedra Martineza. Nie widzę tylko motywu morderstwa. Oferta pozostaje nadal aktualna. Proszę dać znać, czy dojdziemy do porozumienia. Obowiązki wzywają! – mówiąc to, Ewa się rozłączyła, zastawiając Alejandra Gonzaleza z uczuciem niedosytu.

Spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Mimo pierwszoków jesiennej aury, na niebie nie było ani jednej chmury. Słońce znowu przypiekało serce Malagi, nie dając miastu o sobie zapomnieć. Ewa skierowała się do Plaza de La Merced. Była głodna. Planowała wstąpić do jednej z arabskich restauracyjek na ulicy San Agustin w sercu najbardziej turystycznej części śródmieścia, która dawała schronienie zgłodniałym i spragnionym od początków lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy dzięki modernizacji tej części wybrzeża do Malagi zaczęli ścigać mieszkańcy hiszpańskiego interioru oraz przybysze z północy Europy. Trafiała do algierskiej knajpki. Usiadła na skórzanej pufie, zamówiła humus z pitą i oddała się ulubionym

przez siebie rozważaniom o istocie relacji międzyludzkich. Po kwadransie kelner postawił przed nią talerzyk z cieciorową pastą podlaną oliwą. Danie nie było specjalnie wykwintne, ale przekonujące na tyle, by stanowić skromny dowód wpływu krajów Magrebu na kuchnię Półwyspu Iberyjskiego. Restauracja należała do mieszanego małżeństwa hiszpańsko-algierskiego, które poznało się w Paryżu, a po kilku latach wróciło do macierzystego kraju rodziny pani domu. Wkrótce po ich przyjeździe do Malagi na świat przyszedł Tobias, piękny chłopczyk o ciemnobrązowych oczach i usposobieniu nieskorym do podporządkowania się dyscyplinie. Uciekał mamie, chodził krok w krok za ojcem. Gościom śpiewał piosenki. Uśmiechał się do nich zniewalająco, wskazując na swój pusty brzuch i obfite menu restauracji rodziców.

Ewa przyglądała się Tobiasowi w skupieniu, przeliczając po cichu prawdopodobieństwo historii opowiedzianej przez Gonzaleza. Nie wierzyła, by ciało znalezione przez policję należało do Martineza. Jednak sprawa o ustalenie ojcostwa nieżyjącego dziecka, założona przez Polkę, nie wydawała się jej zupełnie irracjonalna. Ewa zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała o tym wszystkim porozmawiać z Anną. Martinez nie dawał znaku życia od kilku dni, na co zwróciła uwagę dopiero po rozmowie z Gonzalezem. Wraz z osobą Pedra zniknął naturalny łącznik z byłą przyjaciółką. Ewa musiała to zaakceptować. Wbrew sobie i mimo wątpliwości, które zaczęły ją nachodzić przed konfrontacją z kobietą, na której zlecenie pracowała od przeszło dwóch miesięcy.

– To ja. – Ewa nie lubiła redakcyjnych konwenansów. Rozmowa przez telefon satelitarny miała być prostsza, niż spotkanie twarzą w twarz.

– Ja, czyli kto? – głos Anny zabrzmiał bardziej lodowato niż zazwyczaj.

– Ewa Mulner. Do usług. Musimy porozmawiać.

– Nie przesłałaś czwartej części testu. Wstrzymałam przelew.

– Brak pieniędzy nie pomaga wywiązywać się z zobowiązań.

– Posiadanie ich najwyraźniej także nie.

– Martinez zniknął. – Ewa przecięła upór Anny jednym zdaniem. – Przestał się ze mną kontaktować z dnia na dzień, choć wcześniej robił to regularnie.

Anna przysłuchiwała się Ewie w milczeniu. W miejscach znaków przestankowych – gdy była przyjaciółka nabierała więcej powietrza, niż pomieściłyby płuca utytułowanego lekkoatlety – Anna odwracała wzrok, szukając za oknami gabinetu wytchnienia od natłoku obrazów, które przesuwają się w wyobraźni.

– Znam go. Potrafi rozplątać się we mgle tylko po to, by nikomu nie pozwolić sobie przeszkadzać. Ale głupi nie jest. Wie, że od jego ustaleń zależy życie wielu osób oraz kwota, którą zainkasuje od zleceniodawcy. W związku z tym stale zabiega o kontakt. Tylko na swoich zasadach, w dniach i porach, które sam uznaje za najlepsze. Kilkudniowa nieobecność Martineza nie byłaby niczym niezwykłym, gdyby nie telefon od niejakiego Alejandra Gonzaleza. Mówi ci coś jego nazwisko?

– Nie. – Anna starła się opanować drżenie własnego ciała.

– Komenda główna policji w Caracas. Wenezuelskie psy od lat węszą za

Martinezem. Gonzalez świetnie zna teren, na którym pracował Pedro. Panowie nie mieli okazji poznać się osobiście, więc Alejandro nie mógł zidentyfikować ciała mężczyzny znalezionej niedaleko stolicy Wenezueli.

– Ciała?

– Tak.

– Dlaczego Gonzalez zadzwonił akurat do ciebie?

– Bo wiedział, kogo i dlaczego szukał Martinez. W samym jego telefonie nie ma nic dziwnego. Natomiast niepokoją mnie podejrzenia tego pana. Pedro doskonale znał okolice Caracas. Po północnej części Kordyliery Wschodniej także poruszał się swobodnie. Był ostrożny, w razie potrzeby korzystał z pomocy lokalnych przewodników. Kto mógłby chcieć zabić człowieka, dzięki któremu zawsze można było liczyć na dodatkowe pieniądze? Nie widziałam zdjęcia nieboszczyka, kimkolwiek on jest. Ma być fizycznie podobny do Martineza. Zastanawiam się, czy to warunek wystarczający, by niepokoić obywatela innego państwa prośbą o pomoc w identyfikacji zwłok.

Anna przysłuchiwała się Ewie w milczeniu. Zacisnęła szczękę tak mocno, że twarz wykrzywił grymas cierpienia. Śmierć przychodzi w ciszy, lecz głośno grają jej surmy przedrzeźniające uroczysty charakter procesji, na której czele kroczy, przyodziana w czarny chałat. Redaktor Biernacka oczyma wyobraźni zobaczyła siebie samą na kolanach. Oto żegna wenezuelskiego kochanka, składając na jego policzku pożegnalny pocałunek. Odarta z przyszłości, zsuwa się na brzeg krzesła w nadziei, że usłyszana historia jest pomyłką. Chichotem losu. Zbiorem westchnień oddzielających słowa wypowiedziane w niezrozumiałym języku. Bełkotem nienawiści wyplutym przez usta konkurentki. Rzekomej, bo nie potrafiłaby udowodnić, że Ewę łączyło z Martinezem coś więcej niż interesy. A może zginął przez nią? Wplątała go w jakąś historię, która okazała się pułapką. Opuściła, gdy potrzebował pomocy. Zamykał oczy w samotności. Ciekawe, co widział w momencie śmierci. Może ją, Annę, gdy wyciąga ku niemu ramiona, wiedząc, że ona nie słyszy litanii wzywającej go do świata zmarłych. Może...

– Bez Martineza nie ukończę reportażu na czas. Jeśli to jego ciało, trzeba polecieć do Caracas i potwierdzić fakty. Albo podważyć hipotezę Gonzaleza. – Ewa podchodziła do każdego zadania bardzo praktycznie. I nie było takiego nieboszczyka, który mógłby jej przeszkodzić w jego realizacji.

Anna nadal milczała. Wiedziała, że zemsta nie przynosi ulgi. Oprawca nie zacznie współczuć skrzywdzonemu, nawet gdy jako jego kat dostanie rozgrzeszenie. Nie rozumieją się nigdy, ponieważ algorytm krwi nigdy nie służy budowaniu równowagi. Nie da się bez niego wyjaśnić żadnej zagadki, choć jest warunkiem wystarczającym do przyznania racji jednej ze stron matematycznego wzoru. Redaktor Biernacka nie zamierzała pomóc Ewie w żaden sposób. Nawet jeśli ta pomoc miałaby oznaczać współczucie lub choćby zrozumienie, będące młodszą siostrą tego pierwszego stanu. Była pewna, że samotność nie jest celem samym w sobie. To bat smagający dusze skazańców błakających się po coraz mniej licznych wyspach dobroczynności. Anna omiotła językiem przednie zęby, jakby starała się kupić czas na znalezienie ostatniego

zalegającego w myślach zdania. Po chwili wstała i bez słowa opuściła własny gabinet. Nie rozłączyła się, więc Ewa usłyszała oddalające się kroki szefowej i zamykane drzwi. Cisza, która nastąpiła później, uzmysłowiła jej bezcelowość tej rozmowy. Nie tylko niczego się nie dowiedziała, ale – co ważniejsze – nie uzyskała gwarancji finansowych umożliwiających kontynuowanie poszukiwań. Odtąd wszystkie decyzje będzie podejmować sama. Zapłaci, komu i co trzeba. Resztą – o ile będzie taka potrzeba – zajmie się Skarb Państwa Rzeczypospolitej Polskiej.

Ewa wyjrzała przez okno hotelowego pokoju. Dzień już dojrzał i o tej porze próżno było szukać w porcie wolnych motorówek. Postanowiła więc wrócić do El Palo, uporządkować myśli i przygotować plan na kolejne dni. Chwyciła plecak i wyjęła z niego damską kosmetyczkę. Szukała lusterka. Lubiła mieć pewność, że świat ogląda ją w jej najlepszej z możliwych wersji, obracała je więc pod różnymi kątami, aż w pewnym momencie dostrzegła w nim odbicie Piotra. Siedział w fotelu i przyglądał się jej w zamyśleniu. Podparł głowę na lewej dłoni, którą gładził spierzchnięte usta. Prawa dłoń podtrzymywała lewą.

– Ile czasu tu jesteś?

– Wystarczająco długo, by mieć o tej historii własne zdanie. Najwyraźniej nikomu nie zależy na rozwiązaniu obu zagadek bardziej niż tobie. Lub – co bardziej prawdopodobne – ten, komu na tym zależy, musi ukrywać swoje zainteresowanie. Ujawnienie prawdziwych intencji oznaczałoby konflikt z prawem. Bądź trudny do zniesienia ból, który otworzy ranę zadaną w przeszłości.

– Obu?

– Do tej pory zniknięcie Majchrzaków stanowiło zamkniętą całość. Dość prostą na poziomie samych zdarzeń, lecz skomplikowaną pod względem motywów i zależności psychologicznych między poszczególnymi osobami. Rzekome morderstwo dżentelmena ukrywającego się pod tożsamością pana Pedra Alejandra Martinez de Salabodegi jest dziś osobnym tematem. Jutro zaś może się okazać dość nieistotnym wątkiem w pierwszej sprawie.

– W takim razie zacznijmy od początku. Dlaczego wszedłeś tu bez pytania? Mogłeś powiedzieć, że się do mnie wybierasz. Mogłeś to zrobić wprost. Lub w sposób, który z jakiegoś powodu przemawia do ciebie bardziej. Mogłeś napisać liścik i wypuścić do mnie gołębia pocztowego. Albo wdrapać się na Mulhacén i rozpaść na jego szczycie ognisko. To najwyższy punkt Półwyspu Iberyjskiego, więc zauważyłabym znaki dymne. Zapewne.

– Początek zaczyna się od zaufania. To ja powinienem się zapytać ciebie, dlaczego nadal nie mówisz prawdy. I czemu wciąż ukrywasz przede mną ważniejsze fragmenty tej historii.

Ewa zagryzła wargi z wściekłości. Między bezpośredniością a arogancją granica jest cienka, choć zauważalna. Arogancja Piotra nie miała sobie równych.

– Nie dałeś mi ku temu powodu. Zaufanie to mocny argument. Nie mam go. Dyscyplina emocjonalna, którą narzucasz, nie pozwala myśleć o tobie inaczej, niż o wędrowcu spotkanym podczas pielgrzymki.

– Mistrzynie papuzich obrazów. Trudno mi nadążyć za tempem, w którym

powstają, Ewo. Życie nie jest zbiorem kolorowych fotografii ani dobrze brzmiących monologów. Poruszasz się w przestrzeni zagraconej teatralnymi rekwizytami. Sama. Sprzedajesz coraz mniej biletów. Stara widownia obumiera, a w jej miejsce nie rodzą się nowi entuzjaści intelektualnych łamigłówek. Świat mamy prosty i coraz mniej ciepły. – Piotr zamyślił się przez chwilę. – Sztuka tego gatunku pozostaje jednak sztuką, mimo że cieszy się coraz mniejszym wzięciem.

Ewa wstrzymała oddech. Rozmowy z Piotrem przypominały karmienie ptaków. Mistrz-czarodziej pojawiał się znikąd. Na głowie nosił melonik, z ramion spływał mu długi, czarny płaszcz. Gdy otwierał ramiona, zewsząd zlatywały się wróbelki, synogarlice, szpaki, sikoreczki i wrzaskliwe kawki. Ciągnął za sobą wózek pełen królewskich podarunków. Były tam kawałki małych myszek, upolowanych przez uliczne koty i porzuconych przez miejskich myśliwych na skutek przejedzenia. Garść owadów pieczołowicie uzbierana poprzedniego dnia. Ziarna owsa, trochę kukurydzy. Prawdziwym rarytasem były dżdżownice, które dzielił na sprawiedliwe kawałeczki dopiero w obecności ptasich głodomorów. Ptaki zamieszkujące rynek Nowego Miasta w Warszawie witały swojego dobroczyńcę, radośnie odgwiszując nadciągającą górę jedzenia. Mówiono o nim Ptasznik. Nikt nie wiedział, jak naprawdę nazywał się tajemniczy karmiciel ptaków ani – co ważniejsze – dlaczego i po co pojawiał się od lat zawsze w tym samym miejscu. Nie było jakim – stawał przy kamienicy wybudowanej w 1784 r. dla Kajetana Jurkowskiego, ocalałej w tajemniczy sposób z pożogi wojennej. Nie miały się jej ogień ani bomby, choć stojący obok kościół Sakramentek został całkowicie zniszczony podczas Powstania Warszawskiego. Podobny los spotkał sąsiednie, zabytkowe budynki. O Ptaszniku opowiedziała Ewci babcia Marianka, gdy ta była jeszcze małą dziewczynką. To jedyna opowieść, która ostała się w pamięci dorosłej Ewy po nieżyjącej nestorce rodu.

Piotr Ptasznik był gościem wyczekiwany, ale nigdy nie zapowiadał swojej wizyty. W przedziwny sposób odgadywał potrzeby Ewy, a pojawiał się zawsze w tym momencie, gdy nie potrafiła sama odpowiedzieć na nurtujące ją pytania. Nigdy nie postawił jej w położeniu, które można by uznać za kłopotliwe, biorąc pod uwagę cel pobytu w Maladze. Lub to, co się tym celem stało, na skutek decyzji podjętej przez nią przed wyborem kierunku podróży latem owego roku. Piotr przynosił Ewie kawałeczki życia w takiej formie, w jakiej mogła się nimi cieszyć. Karmił ją swoją obecnością. Odpowiedziami na pytania, których miała coraz więcej. Prawie tyle, jakby dopiero się narodziła.

– I dlatego istotna jest dokładniejsza analiza sytuacji, w której się znalazłaś. – Piotr kontynuował, siedząc w fotelu i wpatrując się uważnie w Ewę. – Otóż śmiem twierdzić, że padłaś ofiarą oszustwa. Najważniejszym aktorem tego przedstawienia jest Pedro Alejandro Martinez de Salabodega. Stosunki łączące tego pana z koleżanką Anną Biernacką nadal pozostają niejasne, choć już dziś powiedziałbym, że zdają się wykraczać poza redakcyjne zależności. Co więcej, musiały zawiązać się wiele lat temu, być może jeszcze w czasach, kiedy nie śniło ci się, że twoje teksty będzie drukować najpoczytniejszy magazyn ilustrowany Europy Środkowej. Zniknięcie Martineza nie zostało zaplanowane przez Biernacką, w przeciwieństwie do



pozostałych zdarzeń, które rozegrały się na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy.

– Do czego zmierzasz?

– Po pierwsze do tego, że musisz bardziej ufać przede wszystkim sobie samej. Po drugie, powinnaś mniej ufać ludziom, których znasz od bardzo wielu lat. Po trzecie, sama nie rozwiążesz tej zagadki. Po czwarte, z jakiegoś powodu wybrałaś mnie na swojego spowiednika. Ewo, oferuję ci pomoc. Nie odrzucaj jej, przynajmniej nie od razu.

– Spowiednika? – Ewa osunęła się na łóżko i oparła o wezgiłowie. – Księdzem chcesz być?

– Nic takiego nie powiedziałem. Zwróciłem tylko uwagę na liczbę rzeczy, które mi o sobie opowiedziałaś. Nie sądzę, byś szukała rozgrzeszenia. Raczej kogoś, kto cię zrozumie.

– Dobrze.

– Dobrze? – Piotr chciał poznać granice drugiej strony.

– Tak. Nie powiem, że się na ciebie zdaję. Ale chcę usłyszeć twoje zdanie do końca. To oznacza, że pomoc zostaje przyjęta – mówiąc to, Ewa uśmiechnęła się nieśmiało do Ptasznika.

– Dobrze. Zaczniemy jutro punktualnie o dziewiątej rano. Będę ci mógł poświęcić cały dzień. A teraz odpowiesz na kilka pytań. Oczywiście szczerze.

– Pytaj więc.

– W jakim celu co drugi dzień udajesz się do El Palo? Dlaczego zatrzymałaś się pod numerem pięćdziesiąt pięć? – Rzeczowość i skrupulatność to cechy najlepszych policjantów, bez względu na szerokość geograficzną, pod którą prowadzą dochodzenie.

Ewa nie spodziewała się prokuratorskiego tonu Piotra. Najwyraźniej nie odstępował jej na krok, gdy w samotności przemierzała fale eteru i dzięki uprzejmości Anny rozmawiała z Martinezem. Zobowiązała się mówić prawdę i chciała ten zamiar wyegzekwować od siebie samej jak najszybciej.

– W El Palo szukam świętego spokoju. Ten adres ma znaczenie?

– Juan Marfil Barba, dziadek Beatriz, w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia zaangażował się w walkę polityczną po stronie hiszpańskiej partii komunistycznej. Nie był typowym krzykaczem, zdolnym z jednakowym powodzeniem rozpałać tłumy, jak i obniżyć ciśnienie w dołach społecznych kraju nadal liżącego rany po wojnie domowej. Juan wierzył w lud i rozumiał jego wewnętrzną siłę. Nie był rewolucjonistą z przekonania. Wręcz przeciwnie, uważał że postęp technologiczny i towarzyszący mu wzrost potrzeb intelektualnych w naturalny sposób wprowadzą obywateli monarchii w stan ewolucyjnych przemian. Musiał jednak z czasem przyznać rację niecierpliwcom, którzy twierdzili, że tempo zmian nie jest adekwatne do problemów trawiących Hiszpanię w drugiej połowie dwudziestego wieku. Z czasem zawładnął Juanem duch przedsiębiorczości odziedziczony po dziadku Leonardo Marfil Barba de Jerez. Końcowa część nazwiska przodka mogłaby sugerować związki z bogatymi rodzinami zachodniej Andaluzji, trudniącymi się produkcją wysokoprocentowych

destylatów, którymi delectowano się przy najwykwintniejszych stołach Europy tamtych czasów. W rzeczywistości poczciwy Leo zajmował się połowem ryb w wodach Zatoki Malagijskiej. Ponieważ budził respekt rybackiej braci, z czasem zaczęto upatrywać w nim przywódcy zdolnego pociągnąć za sobą ludzi i przekonać lokalne władze, by zaczęły bronić rybaków. Leonardo zgodził się reprezentować ich interesy. Pewnego dnia uznano go za symbol walki o prawa tej grupy zawodowej. Ideologia i zacięcie społecznikowskie nie obroniły go jednak przed chichotem losu. Zginął w wypadku samochodowym pierwszego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Za kierownicą siedział Paolo Moretti, kuzyn Mario Morettiego, przywódcy Czerwonych Brygad – tego samego, który porwał Aldo Moro, za co Włosi skazali go na sześciokrotne dożywocie. Przypadkowa śmierć pod kołami auta prowadzonego przez członka włoskiej rodziny o głęboko lewicujących poglądach wydała się małemu Jasiowi tyle niestosowna, co zabawnie niesprawiedliwa. Synowi Leonardo zostawił jednak w spadku głowę pełną przemyśleń o zbawczej sile komunizmu. I choć partię komunistyczną przywrócono w Hiszpanii do życia dopiero dziesięć lat później, Juan pielęgnował miłość do ukochanej ideologii dziadka w zaciszu rybackiego domku, w którym ty prowadziłaś niekończące się rozmowy z Pedro. Pod numerem pięćdziesiąt pięć mieściło się lokalne biuro Radia Niepodległa Hiszpania. Nielegalnie nadawano z niego audycje podtrzymujące na duchu ocalałych z pogromu, którego architektem był generalissimus Franco. Najśłynniejszy hiszpański *caudillo* nie miał litości dla swoich przeciwników politycznych. Na jego rozkaz hiszpańska policja polityczna zdzieraała im paznokcie równie ochoczo, co pracownicy 10. Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego polskim opozycjonistom w czasach, gdy komunizm święcił triumfy na wschód od Łaby.

– Mieszkam w muzeum?

– Mówiłem ci, że w Hiszpanii historia jest zrośnięta z terażniejszością. Rozgłośnia nie istnieje od lat, ale w niektórych ścianach tego budynku zachowała się instalacja zagłuszająca. Nadajniki wymontowano dawno temu. Został jeden przekaźnik – to jemu zawdzięczam wiedzę o ślimaczących się poszukiwaniach Majchrzaków.

– Łaziłeś za mną jak rasowy szpicel?

– Nie. Chroniłem cię przed samą sobą. – Piotr położył Ewie na ramieniu prawą dłoń. – Jedyne słowo, które się zgadza, to „rasowy”.

– Rasowy pies? Zawsze lepiej niż kundel.

– Miałem na myśli przynależność do elitarnego klubu wielbicieli kobiet.

– Piotr, puknij się w łeb. Masz urojenia na własny temat. – Ewa gwałtownie wstała. Piotr był szybszy i ręką wcisnął ją ponownie w fotel.

– Rasowy znawca damskich szalbierstw. Rysownik poruszający się po zagłębieniach waszych ciał równie biegle, jak wygłodniała puma po rewirze, na którym żeruje antylopa. Spowiednik, któremu powierzacie najcięższe historie waszego życia – przerwał, uniósłszy do góry wskazujący palec prawej ręki. – Bądź tak miła i nie niszc dorobku innych pań.

– Nie musiałeś.

– Musiałem. Poczułem nieodpartą chęć zwrócenia ci uwagi i mam nadzieję, że

dobrze rozumiałaś, o co mi chodziło. – Piotr pozostawił po sobie świdrującą uszy ciszę. Czekał go ciężki dzień. Kilkadziesiąt telefonów i lektura notatek spisywanych przez ostatnie trzy miesiące. Brakowało kilku szczegółów, ale o to się nie martwił. Czuł, że jest blisko. Czyli dokładnie w tym punkcie, w którym znalazł się Martinez.

## ROZDZIAŁ 10

### WSKAZÓWKA TRZECIA I OSTATNIA

We połowie września dworzec kolejowy w podmalagijskiej miejscowości Álora budził się do życia powoli. Samce cykad uruchomiły brzęczące turbinki swoich skrzydełek, podając do publicznej wiadomości przekroczenie trzydziestu stopni Celsjusza. Dziewiątego września, niespełna tydzień wcześniej, miasto oddawało hołd Virgen de Flores, patronce tych ziem. Podczas Romeria de Álora wszyscy odprowadzali Matkę Boską do rodzimego domu, niosąc jej figurę z Paroquia de Encarnación do zakonu Virgen de Flores, znajdującego się dwa kilometry za granicami miasta. W Andaluzji Maryja jest najważniejszą kobietą świata. *Guapa!* Ślicznotko! – wołają za nią mężczyźni, w nadziei, że zwróci swoje oblicze właśnie ku nim. Każdy pielgrzymuje, o ile pozwala mu na to status społeczny i zdrowie. Niektórzy pieszo. Lecz co znamienitsi przedstawiciele miejscowych patrycjuszy dosiadają konia lub elegancko moszczą się w powozach zdążających do maryjnego sanktuarium. Kobiety – często niezależnie od wieku – zakładają na tę okazję wizytowe suknie z niezliczoną liczbą falban, we włosy wpinają ozdobne grzebienie, z których zwieszają mantylki. Hiszpanie mawiają, że zwyczaj noszenia przez nie koronkowych szali w trakcie wydarzeń religijnych ściśle przynależy do kultury Półwyspu Iberyjskiego. Wystarczy jednak sięgnąć do rozdziału jedenastego nowotestamentowego *Listu do Koryntian*, by przypomnieć sobie, że brak okrycia głowy podczas liturgii hańbi modlącą się kobietę i jest oznaką braku poddania mężczyźnie zrodzonego z Boga wcześniej niż ona. Religijna geografia bywa bezwzględna.

Atmosfera wyjątkowości utrzymywała się w mieście jeszcze długo po zakończeniu święta Matki Boskiej od Kwiatów. Z miejskich trotuarów uprzątnięto ostatnie płatki mieczyków i róż. Pył unoszący się w powietrzu osiadał na każdym skrawku płaskiej powierzchni, a szczególnie ulubił sobie okienne parapety. Ewa siedziała na ławce przed wejściem do budynku dworca i zastanawiała się nad porannym monologiem Piotra. Nie mogła przyznać się sama przed sobą, że polski Andaluzyjczyk dawno temu przekroczył granice świata, który stworzyła dla siebie i córki. Co prawda nigdy mu ich nie postawiła, nie powinna się więc za każdym razem dziwić dezynwolturze, z jaką zapuszczał się coraz głębiej na cudze terytorium. Trudno karcić gościa za przyjęcie zaproszenia na ucztę, podczas której wnętrzości gospodarzy będą serwowane na talerzykach z ich własnych dusz. Czyż nie?

Sjesta nadal nie zapowiadała popołudnia, które dopiero przebijają się przez myśli mieszkańców Álory. Z odrętwienia wyrwał Ewę dźwięk pociągu, sprawnie wjeżdżającego na peron. Gdy drzwi wagonu się otworzyły, szybko weszła do środka i zajęła miejsce przy oknie. Resztę dnia planowała spędzić w Kordobie, od której dzieliły ją niespełna cztery godziny jazdy. Wyjęła z plecaka przewodnik i zatopiła się

w lekturze opisu Mezquity. Miała nawet zamiar policzyć na zdjęciu wszystkie osiemset pięćdziesiąt kolumn wspierających sklepienie katedry, lecz koła pociągu stukotały tak jednostajnie, że w końcu usnęła.

Otworzyła oczy, czując na twarzy powiew lodowatego powietrza. Siedzenia obok były puste. Przez otwarte okna wpadał do środka przedziału wiatr, który okręcał się wokół zasłon i wywlekał je na zewnątrz. Trzepotały jak wisielec, którego ciało nie chce się poddać śmiertelnemu naprężeniu sznura. Pociąg pędził przez ciemny tunel z zawrotną prędkością. Ewa wstała i rozejrzała się wokoło. Kilkanaście rzędów dalej dostrzegła zarys damskiego kapelusza. Postanowiła podejść do jego właścicielki i wymienić kilka spostrzeżeń na temat dyskomfortu, z którym musieli się mierzyć zwolennicy tego środka lokomocji. Korytarz między dwoma rzędami siedzeń oświetlało niebieskawe światło. Ewa z ciekawością wpatrywała się w nakrycie głowy, które niespodziewanie przed nią wyrosło. Było to ruchome gniazdo pełne rzeczywistej wielkości ptaków. Jeden z nich rozpostarł skrzydła i usiadł Ewie na prawym ramieniu. Z jego dzioba wydobył się dźwięk – coś jakby ludzki, tłumiony siłą woli krzyk. Postać siedziała do Ewy tyłem. Podniosła ku górze prawą dłoń obleczoną w czarną, skórzaną rękawiczkę.

– On żyje i wróci. Śmierci tragicznej nad nim nie widzę – powiedziała, odwracając się w kierunku Ewy i wbijając w nią puste oczodoły. Do nieistniejących ust przykleił się dobrotliwy uśmiech. Ramiona nieznanym, jeszcze przed momentem przepastnie rozchylające się ku redaktor Mulner, teraz rozpadały się na coraz mniejsze kawałeczki, by w końcu rozprysnąć się jak gwiazdny pył. Zwisająca ze skostniałego ciała kapeluszniczki długa peleryna zamieniła się w pohukujące sowy. Mądre ptaki po chwili rozłożyły skrzydła i opuściły niewygodne lokum. Konstrukcja skrywająca czaszkę tajemniczej jejmości zachybotła się i po chwili także wyfrunęła przez okna. Została tylko woalka z cieniutkiej metalowej siatki, przyozdobionej granatowymi perełkami. Uderzając w podłogę, ozdoba wydała ledwie słyszalny jęk. Ewa podniosła ją. Przyglądała się znalezisku, wiedząc że trzyma w dłoniach jedyny dowód istnienia szalonego pociągu. Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ. Mimo wiary w przesady, Ewa miała bardzo racjonalny stosunek do życia. Uznała tę sytuację za pomyłkę, która przydarzyła się jej bez wyraźnego powodu. Wyrzała przez okno. Wagon stał na boczniczy kolejowej dworca w Álórze. Wysiadła z niego i wróciła na peron, z którego odjeżdżały składy do Malagi. Ostatniego połączenia należało się spodziewać przed drugą w nocy. Zmęczenie nie pozwoliło Ewie czekać kolejnych dwóch godzin. Z pomocą kasjera zamówiła taksówkę. Auto zjawiono w niespełna pół godziny. Wsiadła i z radością odjechała w kierunku stolicy andaluzyjskiego wybrzeża.

Recepcjonista Hotelu Palacio przywitał Ewę z wyrozumiałym uśmiechem. Kiwnął głową na dobry wieczór i życzył redaktor Mulner spokojnej nocy. Do pokoju ledwo się dowlekała. Pokonywała kolejne metry w półśnie, pamiętając, że zatrzymała się w pokoju o numerze pięćdziesiąt pięć. Spodziewała się, że Piotr będzie czekał na nią w środku. Chwyciła klamkę i delikatnie pchnęła drzwi. Wewnątrz nikogo nie było. Rozejrzała się w poszukiwaniu listu lub skrawka papieru, na którym zostawiłby kilka

informacji o jutrzejszym dniu. Na próżno. Nerwowo przełknęła ślinę, po chwili wzięła głęboki oddech. Przyzwyczajenie robi z nas więźniów własnych oczekiwań, pomyślała, wyglądając za okno. Ulica Molina Lario nie miała zamiaru zasnąć, choć było na niej mniej gwarno, niż o tej samej porze dnia w sierpniu lub lipcu. Ewa usiadła na łóżku i otuliła dłońmi twarz. Konała ze zmęczenia. W końcu osunęła się na wezgłowie i usnęła.

Ranek przyszedł od razu. Bez żadnych ceregieli zapalił na niebie jasne światło dnia i rozsiadł się wygodnie na plażach Zatoki Malagijskiej. Ewa z chęcią pospałaby dłużej, ale nie pozwolił jej na to Piotr. Pojawił się przed drzwiami jej pokoju punktualnie o dziewiątej.

– Mam tak stać?

– Skądże. Czym chata bogata. – Ewa odsunęła się i Piotr powoli wszedł do środka.

– Pracujesz? – zapytał się, widząc notatki ułożone na dywanie według jakiegoś porządku.

– Szukam w tym wszystkim jakiejkolwiek logiki. Chyba coś mam. – Ewa spojrzała się na Piotra z nadzieją, że pociągnie ją za język.

– Cóż takiego?

– Syndaktylia. Pamiętasz, jak ci mówiłam o dłoniach Anny?

– Owszem. Ale zanim do tego wrócimy, skupmy się na samej ich właścicielce. Co ją łączy z Martinezem?

– Coś więcej niż przyjaźń, coś mniej niż nienawiść. Martinez był od zawsze. Towarzysze, których tym razem zaangażował do pomocy, też nie pojawiają się po raz pierwszy. Zwłaszcza Sepulveda. Wybitny znawca wielowymiarowości życia. Martinezowi brakowało rozmachu, Miguel miał go w nadmiarze.

– Chyba nie rozumiem.

– Panowie poznali się mniej więcej piętnaście lat temu. W burdelu.

– Gdzie?

– W domu uciech wszelakich o zapadającej w ucho nazwie Pod wrzeszczącą Magdalenką. Gdzieś w Madrycie lub w Moskwie. Otóż obaj upodobałi sobie tę samą flamę. Magdalenka słynęła ze śpiewania arii operowych w momencie szczytowania. Żaden nie chciał zrezygnować z usług szanownej, musieli zadowolić się więc systemem kolejkowym i pojawiali w alkowie Magdalenki naprzemiennie. Sława śpiewającej prostytutki zaczęła sięgać poza granice miasta, w którym znajdował się przybytek rozkoszy. Zdarzało się, że Miguel i Pedro spotykali się przy stoliku stojącym obok wejścia do pokoju, z którego dobiegały kolejne zwrotki Pucciniego, Prokofiewa czy Paderewskiego. Uczucie zażenowania skrywali za kolejną partyjką kanasty i zapijali burbonem. Z czasem zaczęli ze sobą rozmawiać. Wśród tematów szczególne miejsce zaczęła zajmować sytuacja partii komunistycznej w różnych zakątkach świata. Trudno przyszłych współpracowników podejrzewać o sympatyzowanie z lewicującą częścią globu, ale jeszcze trudniej nie przyznać, że ze szczerym podziwem wyrażali się o wojskowym talencie marszałku Budionnego. W pewnym momencie Martinez przestał pojawiać się pod drzwiami wrzeszczącej

Magdalenki. Nie chcąc tracić kontaktu z intrygującym Wenezuelczykiem, wysyłał mu co kwartał pocztówki. Widniał na nich stempel Poczty Głównej w Warszawie, a na zdjęciach można było zobaczyć stołeczny Pałac Kultury i Nauki w aureoli z białoczerwonych róż.

– Jaki to ma za związek z Anną? – Pedro ziewnął i przetarł oczy.

– Pocztówki podpisane były inicjałami P+A.

– Pedro i Anna?

– Tego nie jestem pewien, choć na razie trudno to inaczej wytłumaczyć.

– A nawet gdyby, co z tego, że znają się przeszło dziesięć lat?

– Osiem lat temu Anna bardzo przytyła. W redakcji plotkom nie było końca. Obstawialiśmy ciążę albo zajadanie depresji. Albo inną równie ciekawą przypadłość skutkującą szybkim wzrostem wagi. Po pewnym czasie nasza szefowa udała się na zwolnienie lekarskie. Wróciła z niego po wielu miesiącach, odmieniona. Po pierwsze figurą przypominała nastolatkę. Po drugie – zaczęła się ubierać na czarno. Po trzecie – z serdecznego palca prawej dłoni zniknął pierścionek, który wielkością zwracał uwagę wszystkich.

– A co z dłońmi?

– Na swoim miejscu. – Ewa zaczęła się śmiać. – Byt kształtuje świadomość, to się akurat nie zmieniło. Palce Anny pozostały zrośnięte. Przynajmniej sądząc po fakturach, na których stałą pozycją były damskie rękawiczki.

– Kupowała je na koszt firmy?

– Podobnie jak inne części garderoby. Fundusz reprezentacyjny, nie ma w tym nic niezwykłego.

– Syndaktylia występuje poza Europą częściej niż na Starym Kontynencie. U Indian przypadki są liczniejsze niż u białych. – Piotr zręcznie pociągnął temat. – Skąd pochodzi redaktor Biernacka?

– Chyba z Warszawy.

– Skąd pochodzi, pytam się. Nie gdzie mieszka.

– No tak. Trudno wyczuć.

– Więzy krwi nie są kwestią uczucia, tylko chromosomów. Syndaktylia to wada rozwojowa o nieznannej etiologii. Czasami bywa dziedziczna, ale trudno wskazać konkretny i jednoznaczny mechanizm transferu błędnego genu z jednego organizmu na drugi.

– Naczytałeś się fachowej literatury. – W głosie Ewy słychać było ironię.

– Wystarczyło zajrzeć w kilka miejsc. Wiedza – nawet bardzo hermetyczna – nie siedzi w sejfie, do którego hasłem jest ciekawość.

– Co jeszcze wiemy?

– Dauna twierdzi, że mniej więcej dziesięć lat temu widywała Martineza w towarzystwie kobiety o białym kolorze skóry. Sprawiali wrażenie zaprzyjaźnionych.

– Dziesięć lat temu Dauna była dzieckiem. Pokazałeś jej współczesne zdjęcie Anny?

- Nie musiałem. To ona wyciągnęła je ze swojej torebki i zapytała się, czy rozmawiamy o pani ze zdjęcia.
- Pojechałeś do Caracas? Kiedy?
- Nigdzie się nie wybierałem i nie wybieram. Nie dążę do kontaktu z kobietami. To one mnie szukają. W tym konkretnym przypadku Dauna zadzwoniła sama.
- Skąd miała numer?
- Tego nie wiem. Ale wiem, dlaczego to zrobiła. Chciała się dowiedzieć, czy podzieli losy swojej białej poprzedniczki.
- Piotrek, pojechało cię jak norkę w deszcz. Poprzedniczki?
- Anna Biernacka była narzeczoną pana Martineza dziesięć lat temu. I pewnego dnia ten szacowny dżentelmen rozmył się we mgle. W zasadzie z dnia na dzień. Anna została sama. Po latach historia się powtórzyła. Tylko zamiast Anny w roli porzuconej łani wystąpiła Dauna.
- Dlaczego wtedy zniknął?
- Coś go przerosło. Albo ma w zwyczaju udawać, że pewne wątki go nie dotyczą. Nie wykluczałbym także strachu lub otwartej niechęci w stosunku do...
- Strachu? Przed kim?
- Przed sytuacjami, które mają nieodwracalne skutki. A do takich zaliczamy posiadanie potomstwa.
- Martinez jest ojcem?
- Sęk w tym, że nie. Dokładniej mówiąc – już nie. Dziecko zmarło. Matką była Anna Biernacka.
- Słucham? Lobo, masz kompletnie zryty beret. Dokumentnie i dokładnie.
- Po słowach ich poznacie. Szanowna Ewcia młodnieje, jak miemam.
- Tylko nie Ewcia, dobrze? Wymyśl sobie coś innego.
- Nie muszę. Zapytałbym o coś dla odmiany.
- O co na przykład?
- Skąd szpital w Caracas miał próbki DNA Anny?
- A miał?
- Owszem. Pobrano je mniej więcej dziesięć lat temu. Nie sądzę, żeby to był przypadek.
- Musieli to zrobić podczas operacji.
- Kogo?
- Anny.
- Jak to?
- Juanita przysłała na świat przez cesarskie cięcie. Podwójny węzeł prawdziwy na pewno omal jej nie zabił. Lekarze wyciągnęli dzieciaka w ostatnim momencie. Anna leżała na sali poporodowej z kobietą, która zaklinała ją, że węzeł jest skutkiem choroby dziedzicznej. Wymogła więc na ordynatorze, by poszukał u niej nieszczęsnego genu. Nie znalazł, bo węzeł to sprawa przypadku. Ale próbki zostały pobrane i przechowywano je w szpitalnym laboratorium przez kilka lat. Bóg raczy



wiedzieć po co.

– Co się z nimi stało?

– Powinny zostać zutylicowane jako odpad medyczny. Ale tak się nie stało, przynajmniej nie tak szybko, jak powinno. Ktoś zdążył porównać łańcuch chromosomalny Anny i kilku przedstawicieli Yukpów. Były podobne.

– W jakim celu je porównano?

– I to jest najciekawsze. Nie było żadnego powodu, by to zrobić.

– Więc jak to wytłumaczysz?

– Facundo twierdzi, że Martineza zaatakowali jego własni ziomkowie, a zabójstwo mogło mieć wymiar symboliczny. Indianie chcieli pokazać, że choć jest jednym z nich, nie ominie go kara za nielojalność. Albo że właśnie dlatego go nie ominie.

– W jaki sposób Facundo wszedł w posiadanie wyników badań DNA?

– No cóż. Sztuka budowania modeli matematycznych, której jest niedościgłym mistrzem, wymaga umiejętności łączenia faktów i prawidłowego wysnuwania wniosków. Bez tego liczby pozostają bezużyteczne.

– A dokładniej?

– Anna musiała znać Martineza, zanim ich skontaktowałaś. Mieli romans. Owocem gorącego uczucia było dziecko. Dziewczynka zmarła po sześciu miesiącach od narodzin na rzadką, genetyczną chorobę występującą tylko w krajach Ameryki Południowej. Martinez – dowiedziawszy się o śmierci własnej córki – uciekł w głąb wenezuelskiej dżungli. Z bólem i samotnością po utraconym macierzyństwie Anna została sama. Starła się zapomnieć, ale nigdy Martinezowi nie wybaczyła. Facundo znał już wtedy Martineza od wielu lat. Łączyła ich szorstka przyjaźń. Choć właściwiej byłoby powiedzieć, że często stawali naprzeciwko siebie jako rywale. Szło o kobiety. Martinez potrafił rozpalić każde damskie serce, Facundo nieodmiennie wzbudzał litość. Gdy ten pierwszy ochoczo maszerował ku wzgórkowi łonowemu kolejnej piękności, genialny matematyk otwierał kolejną kopertę, w której znajdował się bilecik ze stanowczą, lecz uprzejmą odmową pojawienia się na prośzonej kolacji. Białogłowy odrzucały awanse chorego na polio Matamorosa, nie widząc siebie u boku mężczyzny, którego prawa noga była o ponad dwadzieścia centymetrów krótsza od prawej. Mimo wsparcia świętej Eulalii, przeklinał kalectwo, marząc o złożeniu swej mądrej główki między nagimi piersiami kobiety odważnej na tyle, by zadrwić z normatywnego podejścia do związków międzyludzkich. W gorsze dni zerkał na zdjęcia Stephena Hawkinga, otoczonego dziećmi zrodzonymi dzięki miłości Jane Wilde. Nie mógł – jako człowiek głęboko religijny – pielęgnować w sobie uczucia zazdrości. Uznawał ją za wyraz słabości i gardził tymi, którzy za swoje nieszczęście winili krewnych, sąsiadów lub ulicznych przechodniów. Jako mężczyzna zaś nie mógł znieść tak nierównomiernej dystrybucji szczęścia. Walczył o nie, nieraz stając do nierównej walki z Martinezem. Panowie gustowali w tym samym typie kobiet. Dziesięć lat temu na drodze obu dżentelmenów stanęła Anna. Wysoka blondynka o niebieskich oczach olśniewała egzotyczną urodą salony Caracas przez kilka miesięcy. Nie wszyscy gospodarze zdawali sobie sprawę, że wpuszczają do domu dziennikarkę. Celem pobytu Anny w stolicy Boliwariańskiej Republiki Wenezueli

było zebranie materiału na temat sierocińców prowadzonych przez katolickie zakony żeńskie w Ameryce Południowej. Facundo w domu dziecka spędził kilka lat wczesnego dzieciństwa i z radością przyjął zaproszenie Anny. Historiom nie było końca. Znakiem firmowym Matamorosa była precyzja. Z jednaką dokonywał skomplikowanych matematycznych obliczeń, co odpowiadał na pytania upartej Polki. I tak oto siedzieli naprzeciwko siebie: kobieta o syndaktylicznych palcach i mężczyzna z polio. Nić sympatii, która połączyła ich na początku, szybko przerodziła się w przyjaźń, której towarzyszyło poczucie bezwarunkowej solidarności. Jakże wielkie było więc rozczarowanie Matamorosa, gdy pewnego dnia Anna na ich spotkanie przyprowadziła Martinezę i przedstawiła go jako swojego oficjalnego narzeczonego. Słyszając tę nowinę, Facundo zbladł i nie odezwał się słowem przez godzinę. Następnie – wymówiwszy się migreną – przeprosił gości i udał się do własnej sypialni. W pustej jak nigdy dotąd alkwie zawył niczym zranione zwierzę, wyklinając wszystkich patronów rodziny. Dostało się też świętej Eulalii. Żarliwość modlitwy połączona ze złorzeczeniem na czym świat stoi zmęczyła go w końcu na tyle, że padł skonany na łóżko i obudził się, gdy pierwszy kogut obwieścił początek nowego dnia.

Piotr przerwał na chwilę, zwilżył usta wodą i mówił dalej.

– Spotykali się coraz rzadziej. Pojawiało się coraz mniej pytań, a sytuacja osobista Anny także ochłodziła wylewność Facundo. Pewnego dnia Polka nie stawiała się w umówionym miejscu. Matamoros w lot zrozumiał, że cisza jest znacznie bardziej wymowna niż potok słów. Zwłaszcza jeśli nie niosą żadnej treści, a już na pewno nie tej wiążącej. Cisza trwała długo. Facundo leczył rany, wzdychał do kolejnych flam, zaangażował się nawet w działalność polityczną. Te zabiegi przyniosły pewien skutek. W gruncie rzeczy dość mizerny, biorąc pod uwagę graniczącą z ekstazą radość po lekturze telegramu wysłanego przez Annę z Warszawy. „Juanita nie żyje. Nie mam już nic. Przyjedź. A”.

– Skąd wiedział, kim jest Juanita?

– Wtedy nie wiedział. Wystarczyła mu świadomość, że Anna potrzebuje pomocy. I to właśnie jego.

– Co ich połączyło?

– Inność i samotność, która wynikała z tej inności. Przeszli wszystkie etapy odrzucenia. Może oprócz ostatniego, pozostając wiernymi własnemu ciału. Żadne z nich nie zdecydowało się – nawet w dorosłym wieku – na operację rekonstrukcyjną. Żadne nie zaprzeczyło swojej fizycznej tożsamości. Żadne nie chciało też na niej zbijać nietrwałego kapitału karmionego współczuciem tych, którzy chcieliby kupić odrobinę cudzej niedoskonałości.

– Na czym miała polegać pomoc Facundo?

– Po przyjeździe do Polski Matamoros dowiedział się, że Juanita była córką Anny i Martinezę. Po śmierci dziecka Anna pielęgnowała w sobie obojętność w stosunku do ojca małej. Ta obojętność z czasem zaczęła być widoczna na jej twarzy. Dlatego ludzie tak często mówili, że Anna bywa nadmiernie powściągliwa w swoich reakcjach. W osobie Facundo Anna nie szukała rycerza, który pomści jej krzywdę

swoją dobrocią. Jego pomoc miała polegać na wysłuchaniu, zrozumieniu i pocieszeniu.

– Gdzie doszło do śmierci Juanity?

– W Caracas. Dziecko chorowało od momentu narodzin, być może lekarze pominęli coś podczas badań prenatalnych. Anna urodziła córeczkę, gdy skończyła czterdzieści dwa lata.

– W tych czasach taki wiek to nie tragedia. – Ewa starała się usystematyzować rewelacje Piotra. Ciągłe brakowało odpowiedzi na najważniejsze pytania. W tym to, które nieoczekiwanie okazało się najważniejsze. Należało bezwzględnie ustalić związek osoby Martineza ze zniknięciem Majchrzaków. – Rzewna opowieść, muszę przyznać. Brzmi prawdopodobnie, ale ma pewną wadę.

– Wadę?

– Specjalista od kombinatoryki nazwałby ją defektem prawdopodobieństwa. Skąd masz te informacje?

– Czekałem na to pytanie. – Piotr uśmiechnął się z zadowoleniem. – Cierpliwość powinna zostać nagrodzona – przerwał, by zaczerpnąć powietrza. – Przedwczesne ujawnienie źródła informacji może jednak wywołać katastrofalne skutki i uniemożliwić dotarcie do Majchrzaków.

– Czyli nic z tego? Długo tak będziesz milczał? – Ewa wyglądała na zaskoczoną.

– Moje milczenie nie powinno nikogo martwić. W zasadzie nie powinno nikogo w ogóle interesować. Lęk przeszkadza w zdrowym osądzie sytuacji. Muszę już iść – mówiąc to, Piotr wstał i bez słowa podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę. Przeszedł próg, przez chwilę się zawahał. Po chwili energicznie wyszedł na korytarz i nie obejrzawszy się za siebie, oddalił w kierunku windy na piątym piętrze Hotelu Palacio.

## EPILOG

Piotr wstawał z łóżka z taką energią, z jaką hetman Żółkiewski maszerował na moskiewski Kreml. Otwierał oczy, wypijał kawę, wydawał dyspozycje, ubierał się i już go nie było. W tamten słoneczny październikowy poranek wstawał jeszcze szybciej niż zazwyczaj. Był pewien, że czas nie ma już żadnego znaczenia, bo Majchrzakowie i tak nie żyją. Ciało trzeba zabrać do Polski, pocieszyć rodzinę, pomóc w godnym pochówku. Istotniejsze było zniknięcie Martineza oraz postać samej Biernackiej. W opowieściach Ewy jawiła się jako kobieta racjonalna, niepozwalająca emocjom zawładnąć sobą nawet w chwilach największego uniesienia. Pani Mulner mogła jednak chcieć przedstawić swoją chlebobawczynię jako kobietę wyzutą z wszelkich uczuć po to, by w nim samym nawet przypadkiem nie wzbudziła żadnych. Obojętność mężczyzn jest wprost proporcjonalna do niewidoczności kobiet, pomyślał, po czym puknął się w głowę. Nie powinien żadnej z tych dam poświęcić nawet kwadransa swojego cennego czasu. Każdy poprzedni przypadek tego typu kończył się zauroczeniem, to znaczy kobieta dochodziła do wniosku, że on – Piotr – byłby idealnym kandydatem do solidarnego współpłacenia kredytu na podmiejską rezydencję nowo powstałej jednostki społecznej. A stąd już bardzo blisko do planów jej – naturalnego, rzecz jasna – powiększenia. Piotr nie zwykł traktować cudzych planów poważniej od własnych, delikatnie wyprowadzał więc białogłowy z błędnego toku rozumowania, niemając zamiaru stać się jego punktem centralnym.

Przypadek Ewy był zgoła inny. Nie chciała nic. Nie tylko od niego. Sprawiała wrażenie całkowicie samowystarczalnej. Co więcej, to inni jej potrzebowali, nierzadko jak kania dżdżu. Nie wiedzieć czemu, Ewa dzieliła się ze wszystkim, co miała najlepszego. Czasem. Wiedzą. Pieniędźmi. Była szczodra. Być może do czasu. Nawet najlepsi adepci sztuki cyrkowej czasami popełniają błąd i zaczynają chcieć lewitować, zapominając o sile przyciągania ziemskiego. Być może Ewa postanowiła, że upomni się o siebie. Tym bardziej należało się przyjrzeć pani Biernackiej. Redaktor Mulner mogła nie być obiektywna w ocenie byłej przyjaciółki, tym bardziej że obie znały Martineza od lat i być może rywalizowały o jego względy, choćby nieświadomie. Rywalizacja to daleka krewna nienawiści. Śmierć wenezuelskiego kochanka mogła ją tylko podsycić.

\*\*\*

Ciała Majchrzaków przywieziono do obozu przed drugą po południu. Na przybycie prokuratora i przedstawicieli miejscowego domu pogrzebowego miały oczekiwać na werandzie domu *el comandante*. Veruska Rosales przystanął obok i wpatrywał się w dłoń wystającą z plastikowego worka. Klęska poszukiwań zdawała się go nie dotyczyć, był skupiony, uśmiechał się nawet. U szczytu palców denata niespodzianie

wyrastał czarny ptasi ogon, ale nawet ta obserwacja nie zachęciła kapitana Rosalesa do zmiany wyrazu twarzy. Interesowało go tylko zabezpieczenie zwłok w samolocie w taki sposób, by nie trzeba było chemicznie dezynfekować pokładu leciwego De Havillanda. Stał się on już własnością Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii, a oddziały Diego de Rivery wymagały przekazywania sprzętu wojskowego w nienagannym stanie. Ewentualny koszt usunięcia toksycznych pian po umarlakach spadłby na jego barki, nie mówiąc o opinii niechlują, którą musiałby sobie sam wystawić. Rosales był pedantem z wyboru, na dokładkę dość skąpym. Do jakichkolwiek dodatkowych wydatków podchodził z rezerwą, zwłaszcza jeśli miał nie być ich bezpośrednim beneficjentem. Wewnętrzne dylematy Veruski przerwał Martinez.

– Zabierzemy się na raz? – Pedro zależało na czasie. Nie kontaktował się z Anną od dłuższego czasu, a bez konkretów postanowił nie suszyć głowy Ewie. Nieoczekiwane wyrzuty sumienia rosły z każdym nieodebrany telefonem z Malagi.

– Nie mamy wyjścia. W dżungli nie ma kostnicy. Nie pogrzebiemy ich tu ot, tak. – Rosales pstryknął palcami. – Odlatujemy punktualnie za godzinę. Zbierz wszystkich. Jeszcze jedno... Dauna nie wraca.

– Nie?

– Lekarz zabronił.

– Przecież w obozie nie ma lekarza. Co ty pieprzysz? – Martinez wściekł się, czując, że Veruska łąze jak pies.

– Drogi kolego, ta pani spodziewa się dziecka. Nie wątpię, że będzie to najpiękniejszy dzidzius sezonu. Szczere gratulacje, bo...

Nie skończył zdania, gdy na jego szczęce wylądował celnie wyprowadzony prawy sierp. Siła ciosu powaliła kapitana Rosalesa na ziemię. Zaczął wymachiwać na oślep rękami, starając się obronić przed przeciwnikiem, którego ledwie widział spod powiek zalanych krwią. Martinez splunął na ziemię ze wstrętem i już miał zamiar uderzyć z lewej strony, gdy ktoś od tyłu złapał go za kark i podniósł do góry.

– Basta! – *El comandante* nie tolerował egoizmu. – Prawo to ja. I Marks. Jak chcesz wymyślać paragrafy, kup cyrkiel, narysuj na ziemi granice swojego państwa i postaw wzdłuż nich ołowiane żołnierzyki. Będziesz u siebie. Bo tu – kurwa, mówię do ciebie, dupku – jesteś w mojej jebanej gościnie. Zabierać mi te wory i wypierdalać stąd!

De Rivera nie musiał krzyżeć. Martinez przeliczał tysiące myśli w ułamkach sekund. Milczał. Przeżuł wszystkie liście koki, przetrawił je i wyrzygał. W myślach, rzecz jasna. Dokładnie godzinę później dwudziestu pięciu żołnierzy Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii zasalutowało statkowi powietrznemu, na którego pokładzie obywatele bratniej Polski rozpoczęli przedostatnią podróż w życiu. W tej drodze towarzyszyła im Dauna, wspierana ramieniem Facundo wpatrującego się z zachwytem w delikatnie zaokrąglony brzusek ukochanej. W drugim rzędzie, przekrzykując się wzajemnie, siedzieli Martinez i Sepulveda. Jeden tłumaczył drugiemu zawilności języka hiszpańskiego. To one sprowokowały szefa tej wycieczki do wymierzenia sprawiedliwości Rosalesowi, który – nakleiwszy sobie plaster na rozcięty łuk

brwiowy – zasiadał teraz za sterami samolotu.

\*\*\*

Na dźwięk wibrującego telefonu Anna wzdrygnęła się i odwróciła głowę w poszukiwaniu źródła dźwięku. Jakiś czas temu kazała odstawić stację satelitarną do magazynku administracji oddzielonego od jej własnego gabinetu cienką gipsową ścianką. Nie wyłączyła jej ani nie ściszyła w nadziei, że ktoś się do niej odezwie. W kolejce do śmierci nadzieja jest ostatnia. Czasami nie umiera nigdy. Nagroda przychodzi albo nie.

– Pedro? – Anna czekała na ten moment od kilku tygodni. – Pedro, to ty? – Powtórzyła, czując jak ponownie budzi się w niej strach o życie ojca jej nieżyjącego dziecka. – Pedro?! – Cisza zagospodarowuje każdą przestrzeń. Krzyk to cięcie, wprowadza chaos, niepewność, niezgodę na przyszłość. Jest jak trop, który nigdy nie prowadzi do szczęśliwego rozwiązania.

– Pedro. Tak. Wybacz. Nie mogłem wcześniej. Były trudności. – Martinez, jeśli nie kłamał wprost, przynajmniej mijał się z prawdą. Choć wiele osób zdawało sobie z tego sprawę, zaledwie kilka znajdowało w sobie odwagę, by przywoływać upartego awanturnika do porządku.

– Nie spodziewam się, być chciał się z czegokolwiek tłumaczyć. Kiedy będziesz w Warszawie?

– Wylądowałem wczoraj wieczorem.

– Incognito?

– Myślisz, że powinienem?

– Myślę, że jesteś mi coś winien. – Anna odetchnęła głębiej i przymknęła oczy. – Jesteś mi winien to, co wtedy obiecałeś. Przynależeś mi rodzinę. Mieliśmy ją. Juanita była twoją córką. Jej śmierć nie powinna nic zmienić, a zabrała wszystko.

– Aniu, wiem, że to było moje dziecko.

– Nie wiesz. Gdy umierała, nie miałam stuprocentowej pewności. Mam ją teraz. Ona została pochowana jako Juanita Martinez de Salabodega.

– Pochowana? Oboje byliśmy na pogrzebie. Osiem lat temu staliśmy nad trumną dwuletniej... – Martinez zawahał się przez chwilę, starając przypomnieć sobie imię dziewczynki. – Dwuletniej Joasi. Mówiłaś...

– Juanita Martinez de Salabodega. Chcesz zobaczyć wyniki badań DNA? Lekarze nie mają żadnych wątpliwości.

Martinez otarł usta chusteczką. Zagryzł wargi tak mocno, że pociekła z nich stróżka krwi.

W pierwszych dniach listopada Pedro Martinez pojawił się w progu mieszkania Anny Biernackiej. Przeprowadził się do Warszawy pod wpływem postanowienia o uporządkowaniu własnego życia i z chęci dzielenia własnych planów życiowych z chłodną Polką. Zapachu wystarczyło tylko na chwilę. Po kilku miesiącach zniknął. Anna dowiedziała się, że znowu jest w ciąży. Syn miał się urodzić za sześć miesięcy.

\*\*\*

Kancelaria Abogados Romero y Belamonte spisała się doskonale. Domu, który Ewa kupiła dzięki jej pomocy, szukała przez dobrych kilka tygodni. Ostatecznie wybór padł na skromne cortijo niedaleko Granady. W Andaluzji można czasami okazjnie kupić nieruchomości, ale ten nabytek był wyjątkowy. Niespełna dwustumetrowy bungalow był położony nieopodal Ferreiroli. To białe miasteczko, wznoszące się tysiąc metrów nad poziomem morza na południowym zboczu Sierra Nevada, nie pojawiało się w żadnych przewodnikach. Liczba stałych mieszkańców nie przekraczała czterdziestu osób, a turyści zaglądali tu rzadko. Wielbiciele plażowych obozowisk nie mieli tu czego szukać – do wybrzeża było prawie sześćdziesiąt kilometrów. Natomiast ci, którzy nie potrafili odpuścić żadnemu muzeum, wyjeżdżali zawiedzeni, nie mogąc zawiesić oka na żadnym wybitnym dziele hiszpańskiego modernizmu. Ferreirołę upodobał sobie lokalni artyści. Pracownie mieli tam malarz, tancerka flamenco oraz lutnik.

Ewa nie potrzebowała wiele. Jednak wraz z nabyciem hiszpańskiej hacjendy zaoferowała sobie samej więcej, niż to, na co we własnym mniemaniu kiedyś zasługiwała. Życie w okolicach Malagi zaczynało biec równie szybko, co warszawskie – inny okazał się tylko wektor tego ruchu. Zosia początkowo nie akceptowała wyboru matki. Wydawało się jej, że cel, na którym zależało Ewie – ponowne narodziny i dojrzałe uczestnictwo we wszystkich wymiarach życia – można osiągnąć, nie wyprowadzając się z Warszawy. Po kilku latach przyznała mamie rację. Zrozumiała, że powodzenie planu wymaga zmiany otoczenia.

\*\*\*

Z wysokości stu metrów miasto przypominało różę pustyni. Na fasadach budynków beż rozkładał się równomiernie, choć gdzieniegdzie przecinała go ceglasta czerwień dachówek. Niektóre ze starości zmurszały, ulegając wpływowi morskiej wody i wiatru. O tej porze roku było jeszcze przyjemnie ciepło, choć jeszcze kilka godzin wcześniej Bóg smagał przechodniów ostatnimi promieniami słońca.

Niebo tego dnia było niebieskie. Czarna sylwetka kruka wyróżnęła w nim sporej wielkości dziurę. Ptak przekrzywił głowę i wpatrywał się w martwy punkt, gdzieś na granicy horyzontu. Strzepnął paproszki – na metalizowanej powierzchni surdutu zdawały się większe niż w rzeczywistości. Trudno wyczuć, ile miał lat. Bił od niego spokój charakterystyczny dla starszych przedstawicieli gatunku. Przyglądał się miastu, wbiwszy szpony w metalowy krzyż na kopule północnej wieży Katedry Wcielenia w Maladze. Dobrotliwie się uśmiechał. Po chwili rozpostarł skrzydła i poszybował na Wschód. Od Ferreiroli dzieliły go trzy godziny lotu...

\*\*\*

Językoznawca Derek Bickerton, opierając się na pracach biologa Bernda Heinricha, twierdzi, że kruk należy do elitarniej grupy zaledwie czterech gatunków zwierząt – oprócz pszczoł, mrówek i ludzi – których sposób komunikowania się można nazwać

językiem. Cechą charakterystyczną języka jest przemieszczanie się.

W językoznawstwie przemieszczanie się to zdolność przekazywania informacji o przedmiotach, które nie znajdują się w bezpośrednim zasięgu rozmówcy, zarówno pod względem przestrzeni, jak i czasu.



## OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki [www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

tel. 510 043 387



**OFICYNKA**  
WYDAWNICTWO

# Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1. Kieliszek Ewy Mulner

Rozdział 2. Co się wydarzyło w La Torre?

Rozdział 3. Piotr

Rozdział 4. Martinez

Rozdział 5. Obóz w Sierra de Perijá

Rozdział 6. Wskazówka pierwsza

Rozdział 7. Jaskinia

Rozdział 8. Wskazówka druga

Rozdział 9. Głowa Martineza

Rozdział 10. Wskazówka trzecia i ostatnia

Epilog

Karta redakcyjna

Copyright © Oficynka & Katarzyna Dryńska, Gdańsk 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2019

Opracowanie redakcyjne: zespół

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © Suriya Silsaksom | Depositphotos.com,

© Jesse Kraft | Depositphotos.com

978-83-66613-03-4



*Oficynka*

[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek